

Lee Goldberg

Na podstawie serialu telewizyjnego Andy'ego Breckmana

Detektyw Monk i straż pożarna

*Tony'emu Shalhoubowi,
jedynemu na świecie
prawdziwemu Monkowi*

Monk i termity

Nazywam się Natalie Teeger. Nigdy nie słyszeliście o mnie i nic nie szkodzi, bo też nie jestem nikim specjalnym. To znaczy, nie jestem sławna. Nie dokonałam ani nie osiągnęłam niczego, z czym moglibyście mnie skojarzyć. Ot, jeszcze jedna zwykła anonimowa osoba, która pcha wózek z zakupami wzdłuż regałów Wal-Martu.

Kiedyś oczywiście miałam wielkie plany. Jako dziewięcioletce marzyło mi się, żeby zostać jednym z Aniołków Charliego. Wcale nie dlatego, żeby walczyć z przestępcami albo chodzić bez stanika - przeciwnie, niecierpliwie wyczekiwałam dnia, w którym wreszcie się zaokrąglę i będę mogła z dumą go nosić. (Niestety, wciąż czekam.) Podziwiałam Aniołki, bo były silne, niezależne i miały tupet. Ale najbardziej lubiłam w nich to, że potrafiły same się o siebie zatroszczyć.

W pewnym sensie moje marzenie się spełniło, choć może nie tak, jak bym chciała. Z troszczenia się uczyniłam profesję - o siebie, o moją dwunastoletnią córkę Julie i o jeszcze jedną osobę: Adriana Mońka.

Nie słyszeliście o mnie, ale jeśli mieszkacie w San Francisco i oglądacie telewizyjne wiadomości lub czytacie gazety, to z pewnością słyszeliście o Adrianie Monku, ponieważ on j e s t sławny. To genialny detektyw, potrafi rozwikłać zagadki morderstw, wobec których policja staje bezradna - co zdumiewa mnie

niepomniernie, ponieważ Monk nie radzi sobie z najprostszyimi sprawami dnia codziennego. Jeśli taka ma być cena geniuszu, to się cieszę, że nie jestem genialna

Opieka nad Monkiem to zazwyczaj praca dzienna. To się jednak zmieniło w tygodniu, kiedy w budynku, w którym mieści się mieszkanie Mońka, odkryto termity. Oczywiście termity odkrył Monk. W jednym z paneli ściennych zauważył dziurkę wielkości nakłucia szpilką i od razu wiedział, że jest nowa. Wiedział, ponieważ na bieżąco sprawdza wszelkie nieregularności na panelach.

Kiedy go zapytałam, dlaczego to robi, spojrział na mnie zdziwiony i odparł: „Przecież każdy to robi, prawda?”

Taki jest Monk.

Ponieważ budynek miał być szczelnie przykryty namiotem i okadzony środkiem odkażającym, właściciel powiedział, że na parę dni Monk będzie się musiał przeprowadzić do przyjaciół lub hotelu. Stanowiło to pewien problem, ponieważ jedynymi przyjaciółmi Mońka są kapitan Leland Stottlemeyer, porucznik Randy Disher z Departamentu Policji San Francisco, no i ja. Właściwie nie jestem przyjaciółką Mońka, lecz raczej jego pracownicą, choć wzięwszy pod uwagę, jak mało mi płaci za szoferowanie i załatwianie różnych spraw, to chyba nie jestem nawet jego pracownicą.

Najpierw poszłam do Stottlemeyera, bo swego czasu pracowałam z Monkiem w policji, i zapytałam, czy nie wzięłby go do siebie. Jednak Stottlemeyer powiedział, że gdyby sprowadził do domu Mońka, odeszła-by od niego żona. Dodał, że on również by odszedł, gdyby mimo wszystko Monk się u niego pojawił. Z tą samą prośbą zwróciłam się do Dishera, ale Disher ma tylko jedną sypialnię, więc brakuje w jego mieszkaniu miejsca dla drugiego lokatora, choć miałam

poczucie, że znalazłby się mały kącik, gdybym to ja szukała noclegu; ja czy każda inna kobieta przed trzydziestką, u której da się wyczuć puls.

Tak więc zaczęliśmy się rozglądać za hotelem. Dla zdecydowanej większości ludzi nie przedstawiałoby to poważniejszego problemu, ale Adrian Monk nie należy do zdecydowanej większości. Patrzcie choćby, jak się ubiera.

Koszule, zawsze zapięte pod szyję, muszą być uszyte ze stuprocentowej bawełny w kolorze złamanej bieli, mieć dokładnie osiem guzików, rozmiar kołnierzyka 38, a długość rękawa 78. Liczby wyłącznie parzyste. Raczenie zauważyć; to bardzo istotne.

Spodnie, z zaprasowanymi zakładkami i mankietami, muszą mieć osiem szlufek (zwykle spodnie mają ich siedem, więc spodnie Mońka muszą być szyte na zamówienie) i rozmiar 84 w pasie i 84 centymetry długości, choć z uwagi na mankiety rzeczywista długość szwu w nogawce wynosi 78. Wszystkie buty Mońka, dwanaście identycznych par, są brązowe i mają rozmiar 42. Znowu parzyste liczby. Żaden to przypadek ani zbieg okoliczności. To naprawdę ma dla niego znaczenie.

Bez wątplenia Monk cierpi na pewnego rodzaju zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Nie wiem dokładnie jakie, ponieważ nie jestem pielęgniarzką jak jego poprzednia asystentka, Sharona, która zostawiła go z dnia na dzień, by powtórnie wyjść za byłego męża (z tego, co słyszałam, nie był wcale wyjątkowym facetem, ale wystarczyło popracować trochę z Mon-kiem, by zrozumieć, że to nie ma znaczenia. Gdybym miała byłego męża, do którego mogłabym wrócić, też bym do niego wróciła).

Nie mam żadnych kwalifikacji zawodowych. Zanim zatrudnił mnie Monk, pracowałam jako barmanka, ale wcześniej byłam między innymi kelnerką.

instruktorką jogi, dozorczynią domów pod nieobecność właścicieli czy krupierem przy grze w oczko. Wiem od Stottlemeyera, że z Monkiem nie zawsze było tak źle. Jego stan gwałtownie się pogorszył kilka lata temu, kiedy zamordowano jego żonę.

Potrafię to zrozumieć. Mój mąż Mitch, pilot myśliwca, zginął w czasie misji nad Kosowem i sama na długo straciłam rozum. No, oczywiście nie tak jak Monk - n o r m a l n i e straciłam rozum.

Może właśnie dlatego rozumiemy się z Monkiem lepiej, niż ktoś mógłby pomyśleć (zwłaszcza ja). Jasne, że on mnie irytuje, ale dobrze wiem, jak wiele jego dziwactw bierze się z głębokiego, nieopisanego cierpienia, przez które nikt, naprawdę nikt, nigdy nie powinien przechodzić.

Pozwalam mu więc na wiele, choć nawet moja cierpliwość ma swoje granice.

No właśnie, tu wraca kwestia poszukiwania pokoju dla Mońka. Zacznijmy od tego, że w grę wchodziły wyłącznie oferty hoteli czterogwiazdkowych, ponieważ cztery to liczba parzysta, a hotele dwugwiazdkowe nie były w stanie spełnić norm czystości Adriana Mońka. W dwugwiazdkowym hotelu Monk nie umieściłby nawet własnego psa - gdyby miał psa, ale nie ma i nigdy nie będzie miał, bo psy to zwierzęta, które wylizują się i piją wodę z muszli klozetowej.

Pierwszym hotelem, do którego w ten deszczowy piątek pojechaliśmy, był hotel Belmont przy Union Square, jeden z najznakomitszych w San Francisco.

Monk się uparł, aby najpierw obejrzeć każdy nie wynajęty pokój w zacnym Belmoncie, a dopiero potem zdecydować, w którym zamieszka. Oczywiście brał pod uwagę wyłącznie pokoje o parzystych numerach i wyłącznie na parzystych piętrach. Mimo że wszystkie były identycznie umeblowane i na każdym piętrze identycznie rozmieszczone, to w każdym z nich

Monk znalazł coś niewłaściwego. Na przykład jeden z pokoiów wydał mu się nie dość symetryczny. Z kolei inny był nazbyt symetryczny. Jeszcze inny w ogóle nie zachowywał symetrii.

Ściany wszystkich łazienek wyklejone były drogą, włoską tapetą z kwiecistym wzorem. Jeśli jednak pasma tapety nie nachodziły idealnie na siebie, jeśli nie pasowały do siebie kwiaty albo łodyżki po obu stronach cięcia, to Monk uznawał, że pokój jest nie do zamieszkania.

W dziesiątym pokoju dyrektor hotelu zaczął nerwowo wypijać małe buteleczki wódki z barku, a ja czułam, że mam ochotę się do niego przyłączyć. Monk klęczał w łazience i dokładnie lustrował tapetę pod blatem jednej z szafek — tapetę, której nikt nigdy nie ujrzy na oczy, chyba że też uklęknie, też wejdzie pod blat i wyszuka coś, co „zasadniczo do siebie nie pasuje”. Wówczas się zламаłam. Nie mogłam tego dłużej znieść i zrobiłam coś, czego nie zrobiłabym nigdy, gdybym nie była pod takim emocjonalnym i mentalnym stresem.

Powiedziałam Monkowi, że może zamieszkać u nas.

Powiedziałam to tylko po to, żeby przerwać własną udrekę, nie zdając sobie, w tej chwili wielkiej słabości, sprawy z ostatecznych i potwornych skutków tego czynu. Zanim zdążyłam cofnąć słowa, Monk skwapliwie przyjął zaproszenie, a kierownik hotelu niemal wycalaował mnie z wdzięczności.

- Ale nie chcę słyszeć żadnego zrzędzenia na temat tego, że mam źle urządzone mieszkanie, że wy daje się panu brudne albo że zauważył pan w nim coś, co „zasadniczo do siebie nie pasuje”, mówiłam do Mońka, kiedy zaczęliśmy schodzić do holu.

- Och, jestem pewien, że mieszkanie jest idealne.

- Właśnie o tym mówię, panie Monk. Już pan zaczyna.

Spojrzał na mnie obojętnym wzrokiem.

- Przecież powiedziałem tylko, że jestem pewien, że twoje mieszkanie jest idealne. Większość ludzi przyjąłaby to jako komplement, bo to miał być komplement.

- Ale większość ludzi, kiedy mówi „idealne”, w rzeczywistości nie myśli „idealne”.

- Ależ oczywiście, że tak - odparł Monk.

- Nie. Mają na myśli „miłe”, „sympatyczne”, ewentualnie „wygodne”. Ale tak naprawdę nie spodziewają się, że wszystko w nim będzie „idealne”. Natomiast pan tak uważa.

- Ależ zaufaj mi, proszę. - Monk potrząsnął głową.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Przed chwilą nie chciał pan zamieszkać w pokoju, który oglądaliśmy w hotelu, ponieważ pod umywalką nie pasowały do siebie wzorki kwiatków na tapecie.

- To co innego - zachnął się. - To kwestia bezpieczeństwa.

- Jak to bezpieczeństwa? - zapytałam.

- Wyszło na jaw partactwo rzemieślników. Jeśli byli tak nieuważni w wypadku tapety, to wyobraź sobie, jak musiała wyglądać reszta budowy - przekonywał Monk. - Założę się, że byle trzęsienie ziemi zmiecie cały budynek.

- Budynek runie, bo nie pasują do siebie paski tapety?

- Powinien być przeznaczony do rozbiórki. Kiedy weszliśmy do holu, Monk nagle stanął.

- Co się stało? - zapytałam.

- Powinniśmy ostrzec innych — oświadczył.

- Jakich innych?

- Gości hotelowych — wyjaśnił Monk. - Powinni zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Bo paski tapety do siebie nie pasują?

- To kwestia bezpieczeństwa - powtórzył. — Potem do nich zadzwonię.

Nie chciało mi się z nim spierać. Szczerze mówiąc, byłam zadowolona, że udało nam się wyjść z hotelu, nie potykając się o martwe ciało. Wiem, to może brzmieć zabawnie, ale kiedy człowiek spędza z Mon-kiem tyle czasu, trupy mogą się pojawić wszędzie. Jak się niebawem okazało, co się odwlecze, to nie uciecze.

Monk mieszkał w modernistycznej kamienicy przy ulicy Pine, w granicznym pasie dwóch zamożnych dzielnic, ciągnącym się między najdalej wysuniętym na północ obrzeżem Western District, z jej bogaczącymi się szybko rodzinami wyższej średniej klasy, a południowym krańcem dzielnicy Pacific Heights, z jej wielkimi fortunami rodowymi, misternie zdobionymi wiktoriańskimi domami i bujnymi ogrodami wysoko nad miastem.

W słoneczne sobotnie przedpołudnie Monk czekał na mnie przed domem, na lśniącym od deszczu chodniku, i patrzył, jak nianie w uniformach z Pacific Heights i gospodynie domowe w ciuchach Juicy Cou-ture z Western District pchają wózki Peg Perego z bobasami, czy to pod górkę, czy w dół, w kierunku parku Alta Plaža, i patrzył w dal, na przystań portową, zatokę i most Golden Gate.

Stał ze smętną miną między dwiema identycznymi, wielkimi walizami. Ubrany był w swój brązowy płaszcz zapinany na cztery guziki, ręce trzymał głęboko w kieszeniach, co w jakiś sposób czyniło go jeszcze mniejszym. W jego wyglądzie było coś wzruszającego; przypominał zasmucone, samotne dziecko, które pierwszy raz wyjeżdża na obóz harcerski. Miałam ochotę przygarnąć go do siebie, ale na szczęście dla nas obojga uczucie to szybko przeminęło.

W weekend trudno w tej okolicy znaleźć miejsce do zaparkowania, więc zaparkowałam podwójnie, blokując inne samochody, przed samym wejściem do budynku, który miał tak opływowe kształty, że wydawał się bardziej aerodynamiczny od mojego samochodu.

Wysiadłam i wskazałam palcem walizy.

- Będzie pan u mnie tylko przez parę dni, panie Monk.

- Wiem—odpowiedział. — Dlatego spakowałem niewiele rzeczy.

Otworzyłam bagażnik mojego cherokee i sięgnęłam po jedną z walizek. Nieomal zwichnęłam sobie rękę.

- Co pan tam włożył, sztaby złota?

- Osiem par butów - wyjaśnił.

- To dość, żeby nosić jedną parę dziennie przez okrągły tydzień.

- Bardzo się śpieszyłem.

- Musi pan tu mieć coś jeszcze. — Z trudem wtaszczyłam walizkę do bagażnika. - Jest za ciężka.

- Spakowałem także czternaście par skarpetek, czternaście koszul, czternaście par spodni, czternaście...

- Czternaście? — zapytałam. — Dlaczego akurat czternaście?

- Wiem, że to może nie wystarczyć, ale taki już jestem. Żyję na krawędzi. To bardzo podniecające - powiedział Monk. — Myślisz, że wystarczy mi rzeczy do ubrania?

- Ma pan ich całe mnóstwo - odparłam.

- Może powinienem zabrać więcej.

- Wystarczy panu.

- Może chociaż dwie pary więcej?

- Czego?

- Wszystkiego.

—Sądziłam, że jest pan człowiekiem, który żyje na krawędzi.

—A jeśli krawędź się przemieści?

—Nie przemieści się.

—Jak uważasz... - odrzekł Monk. - Jeśli jednak się przemieści, ten dzień stanie się naszym przekleństwem.

Dla mnie już się stał, choć nie bardzo byłam pewna, co w ogóle miał na myśli.

Monk tkwił dalej w tym samym miejscu, z drugą walizką u boku. Kiwnęłam na nią ręką.

—Nie chce jej pan włożyć do środka, panie Monk? Chyba nie planuje pan zostawić jej na ulicy?

—Mam włożyć walizkę do twojego samochodu?

—A pan sądził, że zrobię to za pana?

—To twój samochód — podkreślił.

—No i? Wzruszył ramionami.

—Sądziłem, że masz system.

—Mój system jest taki, że pan pakuje swój bagaż do mojego samochodu.

—Ale to ty wzięłaś pierwszą walizkę i włożyłaś ją do bagażnika.

—Chciałam być uprzejma - odparłam. - Nie próbowałam dać do zrozumienia, że chętnie załaduję wszystkie walizki sama.

—Dobrze wiedzieć. - Monk podniósł walizkę i wsunął ją do bagażnika obok pierwszej. - Chciałem tylko uszanować twoją przestrzeń.

Moim zdaniem po prostu mu się nie chciało, choć z Monkiem nigdy nie można być niczego pewnym do końca. Nawet gdyby tak było, nie będę mu tego wytykać, bo jest moim szefem, a nie chcę stracić pracy. Poza tym w ten sposób dał mi długo wyczekiwany pretekst, by poruszyć pewną delikatną kwestię.

—Oczywiście. Chciał pan uszanować moją prze-

strzeń, panie Monk, to wspaniale. Bardzo się z tego cieszę, ponieważ wiele rzeczy robimy z Julie w sposób, który raczej się różni od pańskiego.

—Na przykład co?

O Boże, pomyślałam. Od czego tu zacząć? ~ Cóż, choćby nie wygotowujemy codziennie szczoteczek do zębów po ich użyciu. Jego oczy otworzyły się szeroko.

- Och, to bardzo niedobrze.

—Nie zawsze po umyciu rąk wycieramy je w świeży, sterylnie czysty ręcznik.

—Rodzice cię nie uczyli, co znaczy higiena osobista?

- Chodzi mi o to, panie Monk, aby potrafił pan uszanować dzielące nas różnice, gdy będzie pan z nami mieszkał, i zaakceptował nas takimi, jakie jesteśmy.

- Hipiskami.

Było to słowo, którego nie słyszałam już od dziesięciu lat i które z całą pewnością nie odnosiło się do mnie. Puściłam je mimo uszu.

—Chcę tylko, abyśmy w trójkę nie wchodzili so bie w drogę - powiedziałam.

- Ale nie palicie trawki?

—Nie. Oczywiście, że nie. Panie Monk, za kogo pan mnie uważa? Zaraz, niech pan lepiej nie odpo wiada na to pytanie. Chcę powiedzieć tylko tyle, że w moim własnym domu ja jestem szefową.

- Oczywiście, jeśli nie będę musiał palić tego ziel-ska.

- Nie będzie pan musiał.

—Bombowo.

Wypowiedziawszy to słowo, Monk wsiadł do sa-mochodu i zapiął pasy.

2

Monk się wprowadza

Mieszkam w Noe Valley, na południe od wiele bardziej kolorowej, sławnej dzielnicy Castro z jej prężną społecznością gejowską, i na zachód od wielonarodowościowej dzielnicy Mission, zapewne następnej w kolejce do zawojowania przez niepowstrzymane zastępy klasy średniej, które napierają zewsząd z katalogami urzędowania wewnątrz „Williams-Sonoma” w zaciśniętych pięściach.

W Noe Valley człowiek się czuje jak w małym miasteczku odległym od zgiełku i chaosu San Francisco, choć już dwadzieścia przecznic dalej, po północnej stronie stromego wzgórza, znajduje się Civic Center, tętniące życiem centrum administracyjne miasta, zatłoczone rzeszą polityków i wagabundów.

Kiedy kupowaliśmy z Mitchem nasz dom, Noe Valley była dzielnicą robotniczą. Wydawało się, że wszyscy jeżdżą volkswagenem rabbitem, a domy były trochę zapuszczone; brakowało im świeżej farby i odrobiny serca ze strony właścicieli.

Dziś każdy jeździ minivanem albo samochodem terenowym, przy co drugim domu wznosi się rusztowanie, a na Dwudziestej Czwartej Ulicy—wzdłuż której ciągnęły się niegdyś piekarnie, tanie bary i zakłady fryzjerskie - powstało istne zagłębienie wytwornych cukierni, restauracyjek i salonów fryzjersko-kosmetycznych. Jednak nie wszystkim mieszkańcom udało się tak wzbogacić. Wciąż jest wiele domów czekających na remont (choćby mój), sklepików z drobnymi

pamiątkami, antykwariatów i niewielkich rodzinnych pizzerii, dzięki którym Noe zdołała zachować swój osobliwy klimat lokalnej bohemy (tyleż autentyczny, ile nieco jednak fabrykowany). Dla swoich mieszkańców dzielnica wciąż jest tylko sypialnią, zamieszkaną przez borykające się ze wszystkim młode rodziny i wygodnie żyjących emerytów, bez śladu turysty jak okiem sięgnąć.

Kiedy zjeźdzaliśmy ulicą Divisadero w kierunku mojego domu, Monk poprosił, żebym przesunęła swój fotel i zrównała go z jego siedzeniem. Wyjaśniłam, że jeśli to zrobić, nie będą mogła dosięgnąć paru istotnych rzeczy w samochodzie, jak pedał gazu, hamulec czy nawet kierownica. Zaproponowałam, aby to on przesunął swoje siedzenie, ale Monk nawet na mnie nie spojrzął. Zaczął natomiast manipulować lusterkiem wstecznym od strony pasażera, próbując ustawić je dokładnie pod tym samym kątem, pod którym ustawione było lustro z mojej strony, co zapewne miało mu zrekompensować naturalną nierównowagę stworzoną przez niesymetryczne ustawienie siedzeń.

Tak, ja też nie widzę w tym logiki. Dlatego zawsze wożę tabletki od bólu głowy w schowku. Nie dla niego. Dla siebie.

Kiedy wreszcie dojechaliśmy do mojego małego wiktoriańskiego domu stojącego w długim rzędzie innych, zostawiłam Mońka, by wyjął z samochodu walizki, a sama pobiegłam do środka, chcąc po raz ostatni sprawdzić, czy nie ma czegoś, co mogłoby go zwalić z nóg. Oczywiście Monk odwiedzał mnie już wcześniej, ale pierwszy raz miał przebywać u mnie dłużej niż godzinę. Drobiazgi, na które kiedyś nie zwrócił może uwagi, zebrawszy w sobie całą siłę woli, teraz mogły się dla niego okazać nie do zniesienia.

Stałam w progu, rozejrzałam się po niewielkim salonie i raptem zdałam sobie sprawę, że moje miesz-

kanie to Monkowe pole minowe. Jego wystrój lubiłam nazywać „szykiem z komisu”; meble i lampy stanowiły istną eklektyczną mieszankę stylów i epok. Było tu i art deco, i trochę chintzu lat siedemdziesiątych, bo kupowałam, co mi wpadło w oko i na co było stać mój wąty budżet. Moje podejście do wystroju wnętrza było takie, by nie mieć żadnego podejścia.

Mówiąc inaczej, cały mój dom i całe moje życie stanowiły antytezę osoby Adriana Mońka. Ale nic już nie mogłam z tym zrobić. Pozostało mi jedynie otworzyć szeroko drzwi, zaprosić go do środka i przygotować się na najgorsze.

Tak też zrobiłam. Monk wszedł, rozejrzał się uważnie po mieszkaniu, jakby był w nim pierwszy raz w życiu, i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Podjęliśmy bardzo słuszną decyzję - orzekł. — To o wiele lepsze niż hotel.

Były to ostatnie słowa, jakich się po nim spodziewałam.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo wyczuwa się, że ktoś od dawna tu mieszka — odpowiedział.

- Myślałam, że nie lubi pan miejsc, w których ktoś długo mieszka.

- Jest oczywiście różnica między pokojem hotelowym, zamieszkiwanym bez ustanku przez tysiące rozmaitych osób, a domem, który jest... - zawiesił na chwilę głos, a potem spojrzał na mnie z tęskną zadumą i dokończył: - ...domem.

Uśmiechnęłam się. Jak na Mońka była to najprzyjemniejsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedział.

- Proszę za mną, pokażę panu pokój, panie Monk.

Poprowadziłam go korytarzem, obok zamkniętych drzwi do pokoju Julie, na których wisiała przyklejona taśmą duża, żółta kartka z wypisanym odręcznie ostrzeżeniem: „Teren prywatny. Przejścia nie ma.

Wstęp wzbroniony. Przed wejściem pukać". Ponieważ zwykle przebywamy w domu tylko we dwie, odebrałam wywieszkę jako młodzieńczy, trochę przesadny manifest. Co prawda w jej wieku również miałam podobne ostrzeżenie na drzwiach swojego pokoju, ale ja miałam na karku paru braci. Ona miała tylko mnie. Pod żółtym ostrzeżeniem Julie dokleiła jeszcze znaną gdzieś żółtą tabliczkę w kształcie karo z napisem: „Uwaga! Szkodliwe odpady!"

Monk spojrział na tabliczkę, a potem na mnie.

—To chyba żart, prawda?

Przytaknęłam.

—Bardzo dowcipny. - Próbował zachichotać, ale zabrzmiało to tak, jakby się czymś dławił. — Sprawdzasz to od czasu do czasu?

—Co takiego?

—Że to na pewno żart — powiedział. — Nawet nie wiesz, jak dzieciaki potrafią swawolić. Raz, kiedy miałem osiem lat, przez cały dzień nie myłem rąk.

—Ma pan szczęście, że przeżył...

Monk westchnął ciężko i pokiwał głową.

—Kiedy człowiek jest młody, wydaje mu się, że jest nieśmiertelny.

Wskazałam pokój sąsiadujący z pokojem Julie.

—To nasz pokój gościnny.

Do wczoraj wieczór był to jeszcze skład rupieci, do którego wkładaliśmy wszystko, co nie mieściło się nigdzie indziej. Teraz wszystkie graty wcisnęliśmy na jakiś czas do garażu.

Monk postąpił parę kroków naprzód i przyjrzał się meblom. Stało tam dwuosobowe łóżko, pierwsze łóżko, które kupiliśmy z Mitchem, na ścianach wisiało kilka marnie oprawionych rycin z pejzażami Paryża, Londynu i Berlina, kupionych u ulicznych sprzedawców podczas naszej romantycznej wyprawy do Europy, a komódka była znaleziskiem na jakiejś do-

mowej wyprzedazy - w jednej z jej szuflad brakowało uchwytu i miałam cichą nadzieję, że Monk tego nie zauważy, choć wiedziałam, że na pewno zauważy. W końcu jest tak znakomitym detektywem właśnie dzięki swojej wręcz nieprawdopodobnej spostrzegawczości. Patrząc na rycinę katedry Notre Dame, potrafiłby zapewne określić, czy rysownik był prawo-, czy leworęczny, co zjadł na lunch i czy udusił poduszką swoją starą babkę.

Monk ostrożnie postawił walizki przed łóżkiem.

- Pokój jest czarujący.
- Naprawdę?

Sprawy rozwijały się dużo lepiej, niż to sobie wyobrażałam, choć dostrzegłam, że Monk zasłania sobie dłonią komódkę, jakby bił od niej jakiś oślepiający blask.

- Och tak - powiedział. - On... wydziela urok.

Zanim zdążyłam zapytać, co właściwie ma na myśli, mówiąc, „wydziela”, usłyszałam dzwonek do drzwi. Przeprosiłam Monka i poszłam zobaczyć, kto przyszedł.

Na ganku stał tęgi mężczyzna z jakimś zeszytem w ręku. Za jego plecami spostrzegłam dwóch innych mężczyzn, wyciągających z ciężarówki przed moim domem lodówkę.

- Czy tu mieszka pan Adrian Monk? - usłyszałam pytanie.

Mężczyzna pachniał old spice'em i cutty sarkiem. Nie byłam pewna, co bardziej wzbudziło we mnie lekki niepokój: dziwna mikstura woni czy to, że tak łatwo rozpoznałam oba zapachy.

- Nie. Ja tutaj mieszkam - odparłam. - Pan Monk jest tylko gościem.

- Wszystko jedno — odpowiedział tęgi mężczyzna, po czym odwrócił się i gwizdnął na kompanów. - Możecie zaczynać rozładunek.

- Hola! — krzyknęłam. - Co wy rozładowujecie?
- Pani rzeczy - odparł mężczyzna, podając mi zeszyt i długopis. — Proszę podpisać.

Spojrzałam na wpięte do zeszytu kartki. Była to faktura wystawiona przez firmę przeprowadzkową, szczegółowo wymieniająca meble, pościel i sprzęt gospodarstwa domowego, który zostaje przewieziony do mnie z mieszkania Adriana Mońka. Takie ma pomysły na spartańskie życie?

- W samą porę — usłyszałam nagle za sobą głos Mońka, odwróciłam się i zobaczyłam, jak otwiera szeroko drzwi dwóm osiłkom taszczącym lodówkę. -Tylko ostrożnie, panowie.

- Stop! - krzyknęłam do tragarzy, a potem zwróciłam się do Mońka. - Co to jest?

- Tylko parę niezbędnych rzeczy.
- Jest wielka różnica między goszczeniem u kogoś a wprowadzeniem się do jego domu.

- O, wiem - zapewnił.

- Więc jak mi pan to wyjaśni? - Wskazałam palcem lodówkę.

- Jestem na specjalnej diecie.
- Przywiózł pan lodówkę pełną jedzenia?
- Nie chciałem sprawiać kłopotu.

Machnęłam fakturą przed jego oczami.

- Przecież tu jest wymienione wszystko, co pan posiada, panie Monk - powiedziałam. - Żeby pomieścić cały pański dobytek, musiałabym najpierw wynieść z domu swoje rzeczy.

Monk kiwnął na tragarzy.

- Jestem pewien, że chętnie pomogą. To zawo dowcy.

Wzięłam głęboki oddech, wcisnęłam fakturę tęgiemu mężczyźnie w dłoń i powiedziałam do niego:

- Zabierajcie wszystko z powrotem tam, skąd to przywieźliście!

- Ależ nie mogą — odezwał się Monk.
- A to czemu?
- Budynek jest zakryty namiotem - wyjaśnił Monk. - I pełen trucizny.

- W takim razie musi pan wynająć pomieszczenie magazynowe, panie Monk, albo zostawić te rzeczy na trawniku przed domem, bo w tym domu na pewno nie znajdzie się dla nich miejsce.

Wróciłam ciężkim krokiem do środka, każąc Monkowi samemu załatwić sprawę z tragarzami, i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Kiedy stałam w salonie, z trudem próbując opanować gniew, uświadomiłam sobie nagle, że jestem w domu od piętnastu minut, a jeszcze nie widziałam ani nie słyszałam mojej córki. Podeszłam do jej pokoju i zapukałam.

- Julie? — Przyłożyłam ucho do drzwi. - Jesteś tam?
- Jestem - odpowiedziała miękko głosem. — Przestań mnie podsłuchiwać.

Odruchowo cofnęłam się o krok z poczuciem winy, choć wiedziałam, że mnie nie widzi.

- Wszystko w porządku?
- Tak.
- Przyjechał pan Monk - powiedziałam.
- Wiem — odpowiedziała.
- Dlatego się chowasz w pokoju?
- Nie chowam się.
- Myślałam, że lubisz pana Mońka.
- Lubię.

Ponieważ jestem tylko człowiekiem i samotną matką, i do tego byłam wściekła na Mońka i tragarzy, nie miałam nastroju na takie irytujące zachowanie.

- W takim razie rusz tyłek, wyjdź i bądź grzeczna! — powiedziałam ostro.

- Nie mogę - odparła Julie.
- Dlaczego nie?
- Bo pan Monk pomyśli, że jestem dzieckiem - odpowiedziała i dopiero wtedy usłyszałam coś, co przypominało stłumione chlipnięcie.

Natychmiast poczułam wyrzuty sumienia, że nie udało mi się na nią, zamiast się zachować jak przenikliwa, troskliwa i wszytkowiedząca mama, którą powinnam być. Bardziej się przejmując ostrzeżeniem w głosie córki niż ostrzeżeniem na drzwiach jej pokoju, postanowiłam wkroczyć do środka. Otworzyłam drzwi.

Julie siedziała na łóżku, a po jej policzkach toczyły się łzy. Obok leżały wszystkie jej pluszowe zwierzątka, które pół roku temu gremialnie wrzuciła do garderoby, oświadczając, że „jest już na nie za stara”. Teraz ułożyła je dookoła i tuliła do siebie.

Usiadłam przy niej na łóżku i otoczyłam ją ramieniem.

- Co się stało, kochanie?
- Na pewno pomyślisz, że to głupie. — Pociągnęła nosem.

Pocałowałam ją w policzek.

- Obiecuję, że nie.
- Dzwoniła Maddie - powiedziała; Maddie to jej koleżanka z klasy. - Sparky nie żyje. Ktoś go zabił.

Po tych słowach znowu się rozchlipała. Kompletnie zaskoczona przyciągnęłam ją do siebie i pogłaskałam po włosach. Choć z bólem serca, musiałam postawić to pytanie.

- Kto to jest Sparky?

Julie uniosła głowę, mocno pociągnęła nosem i otarła z oczu łzy.

- Dalmatyńczyk ze straży pożarnej. Strażak Joe przychodzi z nim co roku do naszej szkoły na pogańki o bezpieczeństwie pożarowym.

- Ach, ten Sparky... - Wciąż nie miałam pojęcia, o jakim psie mówi Julie. - Co się stało?

- Dzisiaj w nocy ktoś uderzył go kilofem w głowę - wyjaśniła z drżeniem Julie. - Kto chciałby zamordować takiego kochanego, ufnego i niewinnego pieska?

- Nie mam pojęcia — odpowiedziałam.

Julie zaczęła płakać i mocniej się do mnie przytuliła.

- Ja się tego dowiem. — Ciepły głos Mońka.

Podniosłyśmy z Julie głowy i zobaczyłyśmy go w progu pokoju. Jak długo tu stał?

- Naprawdę?

- Tym się przecież zajmuję. - Monk przestąpił z nogi na nogę. — Rozwiązywanie kryminalnych zagadek to, można powiedzieć, moja specjalność.

Julie sięgnęła po papierową chusteczkę z pudełka stojącego na szafce przy łóżku, mocno wydmuchała nos, zmięła chusteczkę i rzuciła ją do kosza na śmieci. Niestety chybiła.

- Naprawdę sądzi pan, że uda się złapać tego, kto zabił Sparky'ego? - zapytała.

Monk wpatrywał się w chusteczkę na podłodze, jakby oczekiwał od niej, że zaraz sobie pójdzie.

- Tak.

Julie spojrzała na mnie.

- Czy stać nas na takiego detektywa?

Dobre pytanie. Spojrzałam na Mońka, który wciąż patrzył na chusteczkę i kręcił karkiem, jakby uwierał go w nim jakiś supel.

- Stać nas? - zapytałam go.

- Doprowadzę przestępcę przed wymiar sprawiedliwości, Julie, jeśli spełnisz moją jedną ważną prośbę.

- Jaka? - zapytała Julie.

Miałam głęboką nadzieję, że nie chodziło o wnie-

sienie do mojego domu wszystkiego, co posiadał, bo to absolutnie nie wchodziło w rachubę, bez względu na to, ile szczeniaków, foczek czy króliczków padłoby ofiarą mordercy.

- Podnieś chusteczkę, włóż ją do zamykanego foliowego woreczka i natychmiast wynieś z domu.

- Och, nie ma sprawy - zawołała Julie.

- Dziękuję. - Monk zerknął na mnie, skinął głową na tabliczkę wiszącą na drzwiach i dodał: - To wcale nie jest żart.

Monk i wóz strażacki

Sobota to dla Julie „dzień aktywności”. Taekwondo. Trening piłki nożnej. Lekcja hip-hopu. I zawsze gdzieś jakieś nieuchronne przyjęcie urodzinowe. Bądźmy szczerzy: żaden rodzic nie ma ochoty spędzić weekendu jako szofer własnych dzieciaków. Ustaliłam więc z kilkoma innymi matkami z sąsiedztwa (bo ta niewdzięczna robota zwykle spada na matki), że będziemy wozić nasze dzieci na przemian. Tak się akurat złożyło, że tę sobotę miałam jako szofer wolną. Jakaś inna przepracowana, padająca z nóg matka miała rozwozić dzisiaj gromadę niesfornych dzieciaków na treningi, lekcje i urodziny.

Zawsze sobie obiecuję, że ten szczególny czas, gdy jestem „sama”, spędzę, zapomniawszy o bożym świecie, przy dobrej książce, na spacerze lub w cudownej, gorącej kąpiel. Ale niezmiennie kończy się tak samo: na załatwianiu niezliczonych domowych spraw i nadrabianiu zaległości z minionego tygodnia; praniu, zakupach, domowych porządkach i płaceniu rachunków.

Niemniej jednak w tę sobotę miałam czas, by przez całe popołudnie towarzyszyć Adrianowi Monkowi, zatrudnionemu przez moją córkę do rozwiązania tajemniczej zagadki morderstwa dalmatyńczyka w remizie strażackiej.

Pierwszy przystanek zrobiliśmy w siedzibie straży pożarnej w North Beach, znanej dzielnicy położonej między Chinatown a przystanią Fisherman's Wharf. Oczywiście nie ma tam teraz żadnej plaży,

jak sugerowałaby nazwa - zasypano ją swego czasu, a linia brzegowa już od dziesiątków lat ciągnie się dalej na północ, więc nazwa jest nieco zwodnicza. Niewykluczone, że ta część miasta jest lepiej znana pod nazwą Little Italy, choć prawdę mówiąc, Chińczyków mieszka tu dzisiaj tyle samo co Włochów, zatem i ta nazwa jest myląca.

North Beach słynie również z pisarza bitnika Jacka Kerouaca oraz striptizerki Carol Dody, której gigantyczne cycki błyskały niegdyś w neonie klubu nocnego Condor. Wciąż można tu znaleźć ślady ery bitników, ale głównie ze względu na turystów. Na Broadwayu wciąż też zipie jeszcze kilka nocnych klubów ze striptizem, ale ich tchnący starością powab wydaje się dziś niemal komiczny, toteż w szybkim tempie wypierają je kawiarenki i galerie sztuki.

Bogacenie się, upiększanie, odnawianie - to króluje dzisiaj wszędzie, moi drodzy. Nie dzieje się tak wyłącznie tutaj i wyłącznie z budynkami. Wystarczy się wybrać do Los Angeles, by zobaczyć, że tam wzbogacają, upiększają i odnawiają również ludzi.

Ulice wciąż były mokre od piątkowych przelotnych deszczów, ale niebo było jasne i bezchmurne, a znad zatoki, upstrzonej białymi grzywami fal, wiała rześka, chłodna bryza. Wyczuwałam zapach morza, zmieszany z przywiewaną od Chinatown wonią smażonego jedzenia.

Budynek straży pożarnej stał na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się niebywały widok na wieżowiec Transamerica Pyramid i wieżę widokową Coit Tower. Był to ceglany budynek z początków dwudziestego wieku, nad którego łukowatą bramą wjazdową widniał, wyryty w kamieniu, emblemat Departamentu Straży Pożarnej San Francisco - orzeł wznoszący się nad pełznącymi płomieniami, ściskający w szponach skrzyżowane topory.

—Kiedy byłem dzieckiem — powiedział Monk - chciałem zostać strażakiem.

—Naprawdę?

—Uwielbiałem wszystko, co się wiązało ze strażą pożarną - dodał. - Poza gaszeniem pożaru.

- W takim razie co pan uwielbiał?

- To.

Monk odwrócił się w kierunku budynku i rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał przygarnąć do siebie widok, który miał przed sobą. Obie pary drzwi garażowych były szeroko otwarte, wpuszczając powiew bryzy do wnętrza, gdzie kilku strażaków myło i pucowało dwa błyszczące wozy strażackie. Promienie słoneczne odbijały się z błyskiem od lśniących chromów i wypolerowanego metalu.

- Czy to nie cudowne? - westchnął cicho Monk.

Podążałam za jego wzrokiem, gdy patrzył na węże strażackie, zwinięte równiutko na wozach i ułożone jeden na drugim; na nieskazitelnie czystą, betonową posadzkę, tak wyszorowaną i wytartą mopem, że błyszczała niczym marmur; na równe rzędy czapek, płaszczy i hełmów, powieszonych na błyszczących stojakach ze stali; na kilofy, łopaty i inne narzędzia, wiszące w szeregu na ścianie, według wielkości, kształtu i przeznaczenia. Oto całe piękno czystości, kompetencji i porządku.

Monk miał szeroko otwarte oczy w dzieciennym zadziwieniu i wyrazie uwielbienia. Znowu miał dziesięć lat, choć muszę przyznać, że czasem się zastanawiam, czy on w ogóle kiedykolwiek wydorósł.

Monk podszedł do kapitana, który stał w pobliżu kosza na brudy i wózka z równo ułożonymi, bielutkimi ręcznikami i obserwował pracę podwładnych. Jego niebieska koszula z krótkimi rękawami była idealnie wyprasowana i wykrochmalona, odznaka na piersi błyszczała z taką mocą, że zdawała się po prostu ema-

nować światłem. Mężczyzna był grubo po pięćdziesiątce. Rysy jego twarzy były ostre, takie jakie spotyka się tylko u żołnierzy, postaci komiksowych lub posągów.

- W czym mogę państwu pomóc? - zapytał uprzejmie.

- Właściwie to my chcielibyśmy wam pomóc - odpowiedział Monk. - Nazywam się Adrian Monk, a to moja asystentka, Natalie Teeger.

- Kapitan Mantooth. - Mężczyzna wyciągnął do Monka dłoń. - Pan jest tym detektywem, tak?

Monk uściśnął rękę, a potem wyciągnął do mnie otwartą dłoń po chusteczkę dezynfekującą, którą zaraz mu podałam. Jeśli Mantooth poczuł się dotknięty, to nie dał tego po sobie poznać.

- Zlecono mi zbadanie sprawy morderstwa Sparky'ego — mówił Monk, wycierając ręce.

- Joe pana zatrudnił? - zapytał Mantooth.

- Kto to jest Joe? — zapytał z kolei Monk, oddając mi chusteczkę.

- Joe jest strażakiem - pośpieszyłam z wyjaśnieniem, wpychając chusteczkę do zamykanego woreczka foliowego, których zapas trzymałam w torebce. Pod koniec dnia moja torebka pęczniała od małych woreczków z chusteczkami. - Sparky z nim pracował.

- Łączyło ich coś znacznie więcej niż praca, panno Teeger - powiedział Mantooth. — Dziesięć lat temu Joe Cochran wybawił Sparky'ego od klatek schroniska. Od tego czasu byli nierozłączni. Sparky nie był moim psem, ale czuję, jakbym dziś w nocy stracił jednego ze swoich ludzi. Wszyscy tak się czujemy.

Monk wziął do ręki jeden ze złożonych czystych ręczników i skinął w stronę wozu strażackiego.

- Mogę?

Mantooth wzruszył ramionami.

—Oczywiście.

Monk zaczął delikatnie czyścić lśniące chromy reflektorów. Kiedy znowu się do nas odwrócił, na jego twarzy jaśniał radosny, chłopiący uśmiech.

—Wow...-powiedział.

Patrzyliśmy z kapitanem, jak Monk poleruje zawór wody. Inni strażacy również zaczęli mu się przyglądać. Zrozumiałam, że być może przyjdzie nam tu spędzić trochę czasu, więc postanowiłam posunąć sprawę do przodu.

—Może nam pan powiedzieć, co się stało dzisiaj w nocy? — poprosiłam.

—Mieliśmy wezwanie do pożaru cztery ulice dalej. Musiało być około dziesiątej wieczorem, ale dla pewności mogę sprawdzić dziennik wyjazdów. Jakaś kobieta zasnęła na kanapie z zapalonym papierosem w ręku. Jak świat długi i szeroki to najczęstsza przyczyna śmierci w wyniku pożaru i niewątpliwie najprostsza do zapobieżenia — stwierdził Mantooth. -Ugasiliśmy pożar i wróciliśmy około drugiej w nocy. Gdy tylko otworzyliśmy drzwi garażowe, wiedzieliśmy, że coś nie gra. Sparky zawsze wybiegał nam na spotkanie, merdając ogonem jak szalony, ale tym razem nie wybiegł...

Podszedł do nas Monk, jednak wcale nie po to, żeby zadać pytanie czy włączyć się w poważniejszy sposób do prowadzonego przez siebie dochodzenia. Podszedł, aby wrzucić ręcznik do kosza z brudami i wziąć nowy.

—Supersprawa - powiedział, uśmiechając się do nas szeroko i naiwnie, i zaraz wrócił do polerowania nieskazitelnie czystej klamki u drzwi.

Mantooth nie przestawał na niego patrzeć.

—Są ślady włamania? - zapytałam.

—Nie - odpowiedział. Oderwał wzrok od Mońka i znowu popatrzył na mnie. - Budynek nie był zamknięty.

- Zawsze zostawiacie budynek otwarty, a psa samego? - zapytałam.

- Nie ma w tym nic niezwykłego - odpowiedział Mantooth. — To jeden z powodów, historycznie rzecz ujmując, dla których trzymaliśmy dalmatynczyka. To psy, które zawsze strzegły straży pożarnej. Joe zna wiele opowieści na ten temat. O dalmatynczykach może opowiedzieć wszystko.

- Czy były wcześniej jakieś próby włamania do waszej jednostki?

- Nie, dopiero tej nocy — odparł Mantooth. — Jednak, na ile się zorientowałem, niczego nie brakuje. To bezpieczna dzielnica. W każdym razie była zawsze bezpieczna.

Nie wiedziałam, o co jeszcze zapytać, więc odwróciłam się do Mońka, który w końcu, cokolwiek by o tym mówić, był tutaj sławnym detektywem.

- Panie Monk - powiedziałam.

Dalej polerował kławkę.

- P a n i e Monk!- powtórzyłam głośniej i Monk się odwrócił. — Nie chciałby pan o coś zapytać kapitana Mantootha?

Monk strzelił palcami.

- Oczywiście. Dziękuję, że mi przypomniałaś. Wrzucił kolejny ręcznik do kosza z brudami i spojrzął na kapitana.

- Macie tu takie okolicznościowe odznaki strażackie?

- Ma pan na myśli gadzety dla dzieci?

- Nie. Odznaki, którymi dekorujecie zasłużonych strażaków - wyjaśnił Monk.

- Sądzę, że tak - odparł Mantooth. - Chciałby pan jedną?

Monk kiwnął tylko głową. Mantooth wszedł do biura, a Monk spojrzął na mnie zadowolony.

- Wow... - powtórzył.

- Tylko tyle pan powie?
 - Juhuu!
 - Nie chce pan o nic zapytać w kwestii morderstwa?
- Choćby o to, co tu się mogło stać dzisiaj nocy?
- Już wiem, co się stało.
 - Już pan wie?!
 - Wiem od chwili, gdy tu weszliśmy.
 - Jak?

Palcem nakreślił w powietrzu trójkąt.

- To prosta geometria.

W geometrii nic nie jest proste. W szkole średniej oblałam końcowy egzamin z geometrii i do dzisiaj mi się śni, jak pani Ross, nauczycielka matematyki w dziesiątej klasie, goni mnie zawzięcie i każe zdawać poprawkę.

- Możemy nie mieszać w to geometrii? - zapytałam.
- Pies był tam. - Monk wskazał odległy narożnik po prawej stronie garażu. — Pierwszy wierzchołek naszego trójkąta. Lubił tam leżeć, gdy nie było w garażu wozów strażackich.

- Skąd pan to wie?

- Widać, gdzie drapał ściany - wyjaśnił Monk.

Podążyłam za jego wzrokiem i zmrużyłam oczy.

Rzeczywiście, na ścianie znajdowały się delikatne zadrapania, które musiał zrobić pies, gdy przewracał się z boku na bok lub leżał przy samej ścianie.

- Kiedy nie było wozów, Sparky mógł stamtąd do skonałe obserwować wjazd - dodał Monk. — Jeśli jed nak wozy tu garażowały, przesłaniały mu widok, więc wolał sypiać w koszu w kuchni, gdzie zapewne spadł mu czasem ze stołu jakiś smakołyk i gdzie kręciło się wokół niego więcej osób.

Skinął głową w kierunku kuchni i ujrzałam wystający zza kuchennych drzwi brzeg koszyka dla psa. Wystawał z niego gumowy hot dog do zabawy.

Nie potrafiłam się nawet domyślić, kiedy i w jaki sposób Monk dostrzegł zadrapania na ścianie i kawałek psiego legowiska w kuchni. Miałam wrażenie, że od chwili, gdy tu weszliśmy, całą swoją uwagę skupiał wyłącznie na wozach strażackich. Myliłam się jednak.

Monk zadarł głowę, rozejrzał się po garażu, potem zrobił parę kroków naprzód, ostrożnie, jakby stawiał stopy w śladach pozostawionych na piasku.

- Morderca wślizgnął się do środka przez otwarte drzwi i doszedł tutaj, to drugi wierzchołek naszego trójkąta, ale w tym momencie dostrzegł go pies i ruszył na intruza - mówił Monk. — Człowiek szukał czegoś do obrony i znalazł to.

Monk odwrócił się i stanął naprzeciw toporów, łopat i bosaków, równo ułożonych na swoich miejscach wzdłuż ściany po naszej lewej stronie. Wiem przynajmniej, dlaczego akurat to miejsce przyciągnęło uwagę Monka.

- Podbiegł tutaj, ale pies szybko się do niego zbliżał, więc porwał ze ściany kilof i dosłownie w ostatniej chwili uderzył zwierzaka z półobrotu. - Monk podszedł parę kroków, zatrzymał się przed stojakami z płaszczami, hełmami i butami i pacnął lekko nogą o podłogę. — Sparky zginął w tym miejscu. To trzeci wierzchołek naszego trójkąta.

- Skąd ta pewność?

- Prosta geometria - powtórzył Monk.

- Pan Monk ma rację, panno Teeger - powiedział kapitan, który podszedł do nas za moimi plecami. - Właśnie tutaj znaleźliśmy biedne psisko po powrocie z akcji, tutaj, naprzeciw naszych zaprzęgów.

- Naprzeciw czego?

- Tak nazywamy nasz strażacki rynsztunek - wyjaśnił. - Wszystko, co musimy zabrać ze sobą na akcję.

Monk spojrzął ponad moim ramieniem.

- Och...

- Och co? — zapytałam.

Podszedł do stojaka z ciężkimi strażackimi płaszczami, które wisiały jeden za drugim w równym rzędzie. Jednak jeden z płaszczy wisiał skierowany w przeciwną stronę niż pozostałe.

Monk naturalnie zdjął płaszcz, obrócił go na drugą stronę i powiesił z powrotem, zwracając przy tym uwagę, aby rękawy idealnie się wpasowały w linię płaszczy wiszących przed nim i za nim.

Mantooth potrząsnął ze zdumieniem głową.

- Jeśli chodzi o porządek, jest większym pedantem niż ja.

- Niż ktokolwiek-dodałam.

- Życzyłbym sobie, żeby wszyscy moi chłopcy tacy byli.

- Niech pan lepiej uważa, czego pan sobie życzy - poradziłam.

Monk wrócił do nas i pomachał przede mną dłońmi, domagając się chusteczek. Sięgnęłam do torebki i podałam mu dwie.

- Jest pan absolutnie pewny, że nic nie zginęło? - zapytał Monk, wycierając dłonie.

- Cały sprzęt mamy policzony, a żaden z chłopaków nie zgłaszał, by zniknęło coś z osobistych szafek — oświadczył Mantooth.

- Może coś z rzeczy, które wydają się panu mało ważne? - pytał Monk. - Coś tak nieistotnego, tak trudno zauważalnego i nic nie znaczącego, że wcześniej nikt tego nawet nie dostrzegał?

- Jakże w takim razie mógłbym stwierdzić, że tego teraz nie ma?

- Udało mi się kiedyś rozwiązać sprawę pewnego morderstwa. Zabójcy chodziło wtedy o skrawek papieru, który się zaklinował w kserokopiarce.

- Nie mamy kserokopiarki.
 - Innym razem rozwiązałem sprawę, w której zabójcy chodziło wyłącznie o kamień z akwarium ze złotymi rybkami.
 - Nie mamy też złotych rybek.
- Monk zerknął na mnie.
- To będzie trudna sprawa - mruknął.
 - Jak się zastanowić — odezwał się Mantooth — to właściwie brakuje nam dwóch ręczników.
 - Jakich ręczników? - zainteresował się Monk.
 - Tych, których używamy do czyszczenia i polewania wozów — wyjaśnił Mantooth. - Przed pożarem mieliśmy trzydzieści cztery ręczniki, a po pożarze mamy tylko trzydzieści dwa. Wiem, że to idiotyczne, ale przeliczam je ciągle, niemal obsesyjnie.
 - To zupełnie naturalne - odparł ze zrozumieniem Monk.
- Znalazł pokrewną duszę.
- Naprawdę pan uważa, że ktoś chciał ukraść dwa ręczniki?
- Monk wzruszył ramionami.
- Gdzie je trzymacie?
 - W piwnicy, koło pralki i suszarki.
- To powoli zaczynało być śmieszne. Niemożliwe, żeby ktoś zabił psa dla dwóch ręczników. Żeby powstrzymać te niedorzeczności, wyskoczyłam z własnym pytaniem.
- Kapitanie Mantooth - zaczęłam. - Czy przychodzi panu do głowy powód, dla którego ktoś miałby skrzywdzić Sparky'ego?
 - Musiałaby pani zapytać Joego — odpowiedział Mantooth. - Był bliżej tego psa niż ktokolwiek z nas. Po służbie zabierał go do domu.
 - Gdzie znajdziemy Joego?
 - Nadal jest na służbie, ale nie chciał tu przebywać, nie dzisiaj, nie bez Sparky'ego — mówił Man-

tooth. - Odesłałem go do tego domu, gdzie gasiliśmy pożar, żeby doglądał porządkowania pogorzelniska i pomógł śledczym sprawdzającym ewentualność podpalenia. Powinien tam jeszcze być.

- Dziękuję panu, kapitanie - powiedział Monk. - To było wspaniałe.

- Może pan przyjść, kiedy tylko będzie pan miał ochotę.

Monk ruszył już do wyjścia, kiedy Mantooth zawołał:

- Proszę zaczekać, chyba nie chce pan wyjść bez tego.

Mantooth wpiął odznakę w klapę marynarki Mońka. Widniał na niej czerwony hełm, pod nim emblemat przedstawiający wóz strażacki otoczony złotym węzłem strażackim, a jeszcze niżej wypisane wielkimi literami słowa: MŁODY STRAŻAK. Na samym dole można było przeczytać: STRAŻ POŻARNA SAN FRANCISCO.

Monk spojrział na odznakę i uśmiechnął się.

- Woow...

Monk i zepsuty weekend

Ponieważ miejsce pożaru znajdowało się zaledwie cztery przecznice dalej, a dzień był piękny, pomyślałam, że miło będzie przejść się tam pieszo, mimo że w drodze powrotnej do samochodu czekała nas wspinaczka pod strome wzgórze. Nie przeszkadzało mi nawet, że w czasie marszu Monk liczył wszystkie mijane parkometry i dotykał ich. Za bardzo zajmowały mnie wysiłki, by ułożyć sobie w logiczną całość wszystko, co usłyszałam w straży pożarnej.

Jeśli ten facet planował zabicie Sparky'ego, to dlaczego nie przyniósł ze sobą broni? Jeśli przyszedł coś ukraść, a Sparky'ego zabił w obronie własnej, to dlaczego nic nie zginęło?

Zadałam te pytania Monkowi. Odpowiadał mi między liczeniem kolejnych parkometrów, czego szczegółów wam zaoszczędzę.

- Mógł obserwować straż od wielu dni i czekać, aż załoga wyjedzie do pożaru, by wejść i zamordować psa — odpowiedział Monk.

- Dlaczego miałby to zrobić?

—Może pies obsikał mu rózę?

Domyślałam się, że dla Mońka mógłby to być wystarczający motyw do popełnienia morderstwa.

—Dobrze, ale nawet zakładając, że jakiś stuknięty ogrodnik postanowił zgładzić Sparky'ego - mówiłam dalej - to dlaczego czekał, aż pies zaatakuje pierwszy? Dlaczego po prostu nie podszedł do niego i nie zatłukł go kijem baseballowym?

- Musiałby przynieść kij ze sobą - odparł Monk. - Potem musiałby się go pozbyć, a to się wiąże z ryzykiem, że kij zostanie odnaleziony i ostatecznie doprowadzi do sprawcy.

- Z kolei jeśli go zatrzyma, to może on skierować śledztwo na jego osobę.

Monk przytaknął.

Właściwie to miało ręce i nogi. Taka wersja wcale nie mieszała mi już w głowie.

- Z drugiej strony — ciągnął Monk - może wcale się Sparky'ego nie spodziewał.

- Ale Sparky zawsze tam był.

- Tylko wtedy, kiedy Joe pełnił służbę - zaprzeczył Monk. - Po służbie zabierał go do domu.

Kapitan Mantooth powiedział nam to zaledwie parę minut temu, ajajuz zdążyłam zapomnieć. Z całą pewnością nie nadawałam się na detektywa.

- Uważa pan więc, że śmierć Sparky'ego to przypadek? - zapytałam. — Zabójca przyszedł po coś innego, ale został zaskoczony przez psa?

- Niekoniecznie — odpowiedział Monk. — Mimo wszystko mógł się tam pojawić z zamiarem zamordowania Sparky'ego.

Znowu zaczęło mi się mieszać w głowie.

- Jak można zabić psa, wiedząc, że go tam nie ma?

- Można zatruć jego pożywienie.

Zastanowiłam się nad tym. Zabójca wie, kiedy nie ma na służbie Joego z psem, i w ten dzień obserwuje straż pożarną. Czeka, aż strażacy wyjadą na akcję; zakrada się do środka i zatruwa jedzenie. Wówczas jednak niespodziewanie zostaje zaatakowany przez psa, którego miał zabić, psa, którego w ogóle nie powinno tam być, więc musi się bronić kilofem.

Mogło tak być.

Mogło też być inaczej.

W każdym razie nie wydawało się to zbyt skomplikowane. Jakoś potrafiłam to pojąć.

- Pies mógł też zostać zabity przez zupełny przyrutek - odezwał się Monk, znowu mieszając mi w głowie. - A ten człowiek mógł się znaleźć w budynku z całkowicie innych powodów.

- Na przykład jakich? - zapytałam.

Po tym pytaniu zrezygnowałam już z szukania logicznej całości. To miało być zadanie Mońka, nie moje.

- Nie wiem - odparł. - Ale kiedyś udało mi się rozwikłać zagadkę morderstwa, którego przyczyną była wyłącznie jednocentówka...

Dom, w którym wybuchł pożar, stał wciąż na swoim miejscu, jednak parter spłonął doszczętnie, wewnątrz było wypalone, a okna miały wybite szyby i czarne obramowania po kopcących płomieniach. Całą posesję ogrodzono żółtą taśmą, kilku strażaków przekopywało pogorzelisko kilofami, a paru innych polewało jeszcze niektóre miejsca wodą.

W powietrzu unosił się duszący zapach spalenizny. Ulicę i rynsztok wypełniała szerniała od sadzy wodna maź, a kanały odpływowe zatkałe były spalonymi odpadkami. Przed domem stał wóz strażacki, a obok niego osobowy samochód straży pożarnej i nie oznakowany radiowóz policyjny.

Okoliczni mieszkańcy wystawali na gankach lub gromadzili się nieopodal na chodniku, patrzyli na spalony dom i żywo wymieniali między sobą uwagi. Nic tak nie jednocy lokalnej społeczności jak pożar.

Spalony dom był jednym z sześciu typowych, identycznych, pozbawionych wyrazu domów miejskich, zbudowanych jeden obok drugiego w latach pięćdziesiątych. Musiał je projektować ktoś pozostający pod silnym wpływem „międzynarodowego modernizmu”, spopularyzowanego przez Le Corbusiera, Richarda

Neutrę i Mięsa van der Rohe, tyle że projekt realizowano bez wycucia arcyzmu i tanim kosztem (jak się zapewne domyślacie, zaliczyłam kiedyś parę kursów z historii architektury i czekam tylko okazji, by się pochwalić tym, co jeszcze pamiętam). Domów tych nie zdobiły żadne gzymsy, nad ich styl przedkładano funkcjonalność, a okna i drzwi zrównane były z licem gładkich, jednolitych ścian, co stawiało tę architekturę w ostrym (by nie powiedzieć odstręczającym) kontraście z gzymsami, dachowymi zwieńczeniami i wykusami, widocznymi na urzekających, wiktoriańskich domkach po drugiej stronie ulicy.

Zastanawiałam się, ilu spośród patrzących sąsiadów myślało teraz to samo co ja; źle się stało, z punktu widzenia architektury, że ogień nie strawił wszystkich sześciu brzydactw stojących z tej strony ulicy. Domy sąsiadów, dla porównania, wzniesione na drewnianych konstrukcjach w stylu wiktoriańskim Eastlake, stały ramię w ramię wzdłuż ulicy, piękne, smukłe i wysokie. Każdy miał nieodzowne, duże okno wykuszowe, zwiększające dopływ światła, a do tego ozdobne gzymsy dodające indywidualnego wyrazu i malutkie garaże, w których ledwie mieścił się jeden samochód.

Strzegący zamkniętego pogorzelniska umundurowany policjant rozpoznał Mońka, uniósł żółtą taśmę i kiwnął do nas ręką, byśmy przeszli.

Wnętrze pokoju gościnnego stanowiło teraz pusty, zwęglony szkielet tego, czym było dawniej; spalone resztki mebli i stopiona obudowa telewizora nadal sterczały ponuro na swoich miejscach. Murzynka w jasnoniebieskiej wiatrówce straży pożarnej, z dużym, żółtym napisem PODPALENIA na plecach, uważnie oglądała zgłiszcza w odległym narożniku tego, co pozostało po pokoju. Włosy miała splecione w war-koczyki i spięte kolorowymi, różowymi i białymi, kora-likami. Julie od dawna dopraszała się pozwolenia na

taką fryzurę, przeciwko której nawet nie mam, poza tym że kosztowałyby mnie sto dwadzieścia dolarów.

Monk ostrożnie wszedł do środka, uważając, aby nie osiadł na jego ubraniu ani jeden pyłek sadzy, co zresztą nie było możliwe. Ledwie przestąpiliśmy próg, a powitała nas jakże znajoma twarz.

Z boku stał kapitan Leland Stottlemeyer, z wielkim cygarem w ustach i rozluźnionym krawatem pod rozpiętym kołnierzykiem. Kapitan był człowiekiem nieustannie zmęczonym, jego wąsy zdawały się rosnąć, w miarę jak ubywało mu włosów na czole. Nie wyglądał na ucieszonego naszym widokiem.

- Co tu robisz, Monk? - zapytał.

- Szukamy pewnego strażaka - wyjaśnił Monk. - Dziś w nocy zabito psa w remizie.

- Zajmujesz się teraz zejściami czworonogów? — zapytał Stottlemeyer.

- Śledztwo zlecił mi szczególnie klient - powiedział Monk.

Nie udało mi się powstrzymać uśmiechu, a Stottlemeyer to zauważył. Natychmiast się domyślił, że to ja jestem tym klientem. Było nie było, Stottlemeyer również był detektywem.

- Powiedziano nam, że ten pożar to wypadek.

- Prawdopodobnie tak - odpowiedział Stottlemeyer.

- Jednak kobieta straciła tu życie, więc dopóki śledczy nie wykluczy podpalenia, musimy traktować to miejsce jako miejsce popełnienia przestępstwa. W takich wypadkach zawsze wysyłamy kogoś, żeby wszystkiego dopilnował. To rutynowe działania.

- Dlaczego nie wysłał pan porucznika Dishera?

Stottlemeyer wzruszył ramionami.

- Przez cały tydzień padał deszcz, dzisiaj mamy słoneczny dzień, więc nabrałem ochoty, by wyjść z domu. Mogę przynajmniej w spokoju wypalić cygaro.

Monk kichnął. Po chwili kichnął jeszcze raz.

- Lokator trzymał tu koty — oświadczył.
- Skąd wiesz? - zapytał Stottlemeyer.
- Mam alergię na kocią sierść.
- Masz alergię na plastikowe owoce, mlecz, brązowy ryż, że wymienię tylko przekąskę - stwierdził Stottlemeyer. — Dlaczego uważasz, że to właśnie kocia sierść wywołała u ciebie kichnięcie?

Monk znowu kichnął.

- To zdecydowanie kocie kichnięcie.
- Potrafi pan odróżnić swoje kichnięcia? - zapytałam.
- Oczywiście - odparł Monk. - Chyba każdy potrafi, prawda?

Stottlemeyer zaciągnął się głęboko cygarem i strzepnął popiół na podłogę.

Monk obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

- Coś nie tak? - zapytał Stottlemeyer.
- Nie posprzątasz tego?
- To popiół, Monk. Rozejrzyj się trochę. Wszystko dookoła zamieniło się w popiół.
- Ale to popiół z cygara - zauważył Monk.
- Och - westchnął Stottlemeyer, kiwając głową ze zrozumieniem. - Oczywiście. Nie pasuje do reszty popiołu.

Monk się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że to zrozumiesz.
- Niezupełnie.

Stottlemeyer znowu strzepnął popiół z cygara, jednak Monk rzucił się do przodu i nim popiół spadł na podłogę, zdążył go złapać w złożone dłonie. Z ulgą spojrzął w górę, a potem kichnął znowu, ale tak, żeby nie zdmuchnąć z dłoni popiołu.

- Czy ktoś ma plastikowy woreczek?

Stottlemeyer patrzył na niego wielkimi oczami, potem wygasił cygaro na szerniałej ścianie i wrzucił niedopałek w otwarte dłonie Monka.

- Ze wszystkiego umiesz czerpać przyjemność, Monk. Wiesz o tym? Porozmawiaj lepiej z Gayle, sprawdza, czy to było podpalenie. — Stottlemeyer kiwnął głową w kierunku Murzynki w wiatrówece. — Na pewno ci pomoże.

Monk podszedł do kobiety, stawiając kroki tak, jakby przeniósł przez pole minowe fiolkę nitrogliceryny. Stał z rozwagą i ostrożnie, uważając, by nie ubrudzić ubrania sadzą i nie upuścić z dłoni ani pyłka.

Obserwowaliśmy ze Stottlemeyerem jego powolny marsz. Było w nim coś dziwnie fascynującego.

- Jak dajesz sobie radę z Monkiem w domu? - zapytał mnie Stottlemeyer.

- To dopiero kilka godzin.

- Kilka godzin z Monkiem może się wydawać dziesięciolecia - powiedział. Wyjął z kieszeni długopis, napisał coś na odwrocie swojej wizytówki i wręczył mi ją. — To mój numer domowy. Zadzwoń, jeśli poczujesz, że masz dość. Mogę go zabrać na myjnię samochodową.

- Dziękuję, kapitanie — odpowiedziałam. — To bardzo miło z pana strony.

- Jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy się nim zajmują. Musimy się nawzajem wspierać.

- W pewnym sensie jesteście więc współnikami?

- W pewnym sensie.

- Monk lubi myjnię samochodową?

- Uwielbia.

Tymczasem Monk dotarł do śledczej od podpalen, która się pochylała, odwrócona do niego plecami, i oglądała coś na podłodze. Usłyszałam, jak Monk chrząka, by przyciągnąć jej uwagę. Gayle się wyprostowała i odwróciła.

- Witaj, Gayle. Nazywam się Adrian Monk. Jestem policyjnym konsultantem. - Monk poruszył ra-

mieniem, chcąc zwrócić jej uwagę na odznakę MŁO-DEGO STRAŻAKA, wpiętą wciąż w klapę marynarki.
— Jestem jednym z twoich braci. Gayle podniosła brwi.

- Czyżby?

- Mógłbym prosić o woreczek foliowy?

Kobieta wyciągnęła z wiatrówki specjalny woreczek do przechowywania dowodów przestępstwa.

- Może mi go pani otworzyć i potrzymać?

Gayle zrobiła, o co prosił. Monk strząsnął popiół i niedopałek cygara do woreczka i otrzepał dokładnie ręce, strącając jakieś mikroskopijne pyłki, które być może na nich pozostały. Potem jeszcze na wszelki wypadek kilkadziesiąt razy wytarł o siebie ręce.

- Dziękuję — powiedział w końcu, zostawiając ją z woreczkiem w palcach i podchodząc do stolika do kawy.

Blat z grubego szkła i metalowe nogi właściwie bez szwanku przetrwały pożogę. Stolik stał przed przyrmą popiołu i osmalonych sprężyn, które niegdyś były zapewne kanapą. Po drugiej stronie stolika znajdowały się dwie mniejsze przyrmy sprężyn i popiołu, z pewnością pozostałości po fotelach.

Gayle zamknęła woreczek i nie wiedząc, co z nim zrobić, włożyła go z powrotem do kieszeni, by później wyrzucić. Doskonale wiedziałam, co czuje.

- Gdzie znaleziono zwłoki? - zapytał Monk.

Przykucnął przy stoliku i mrużąc oczy, obejrzał uważnie popielniczkę, kubek i bryłkę plastiku, która przypominała pilota do telewizora.

Gayle zerknęła pytająco na Stottlemeyera, a kapitan pokiwał z przyzwoleniem głową.

- Na kanapie - odpowiedziała.

- Gdzie na kanapie?

Kobieta wskazała najbardziej oddalony od Mońka narożnik kanapy.

- Siedziała w samym narożniku, z ręką na oparciu. Papieros wysunął się spomiędzy jej palców i spadł prosto na stertę leżących na podłodze gazet, które błyskawicznie się zapaliły. Ogień się rozprzestrzenił na kanapę i kotary, a w końcu na cały pokój. Niestety miała tu mnóstwo starych gazet. Do tego wszędzie papierosy i zapalki. To było igranie z ogniem, wystarczył przypadek i nieszczęście gotowe.

Monk przeszedł ostrożnie pod telewizor, patrząc stamtąd w kierunku kanapy, a potem na to, co zostało z obu foteli.

- Znalazła pani ślady jakichś łatwopalnych środków? - zapytał Stottlemeyer.

- Nic. — Gayle pokręciła głową. — Z całą pewnością ogień zaprószył upuszczony papieros. To mi wygląda na wypadek.

Monk przytaknął.

- Tak to wygląda.

- Świetnie. — Stottlemeyer zatarł ręce. — Wróć wcześniej do domu, a jutro będę się rozkoszował wolną niedzielą.

- Ale tak nie jest - dodał Monk.

- Słucham? - zapytała Gayle, kładąc ręce na biodra.

- To nie był wypadek - oświadczył Monk. - To było morderstwo.

- Do diabła... — syknął Stottlemeyer.

- On nie ma racji - stwierdziła Gayle.

- Ma. On ma rację... - jęknął Stottlemeyer zrezygnowanym głosem. - Jeśli chodzi o morderstwo, nigdy się nie myli.

- Wykonuję swoją robotę od dziesięciu lat. — Gayle rozpięła wiatrówkę, by pokazać Monkowi przypiętą do munduru odznakę. - To jest prawdziwa odznaka departamentu straży pożarnej, panie Monk. I ręczę panu, nie ma w tym domu ani skrawka dowodu na to, że było to podpalenie.

Monk podszedł nad nie istniejącą już krawędź kanapy.

- Powiedziała pani, że ona zmarła w tym miejscu.

- Tak - odpowiedziała Gayle. - Nazywała się Es-ther Stoval, miała sześćdziesiąt cztery lata, była wdową. Sąsiedzi mówią, że odpalała jednego papierosa od drugiego. W ustach albo w palcach zawsze miała papierosa.

- Mieszkała sama? - zapytał Monk.

- Jeśli nie liczyć pół tuzina kotów - powiedziała Gayle. - Uciekły w czasie pożaru i powoli wracają. Trzymamy je na zewnątrz, czekają na przedstawiciela schroniska dla zwierząt.

- Cholera — mruknął Stottlemeyer i spojrzał na mnie. — Potrafisz odróżnić swoje kichnięcia?

- Nie - odpowiedziałam.

- Ja też nie - odetchnął z ulgą. - Więc to nie tylko ja.

- Nie, nie tylko pan — powiedziałam.

- Jeżeli była sama, to dlaczego usiadła tutaj? — pytał Monk. - Z brzegu kanapy.

- Może tu było jej najwygodniej? - odpowiedziała Gayle. - Cóż to za różnica?

- Jej kubek z kawą, pilot do telewizora i popielniczka stoją na stoliku po przeciwnej stronie kanapy - zauważył Monk.

Podążyłam za jego spojrzeniem. Pilot przedstawiał już tylko bryłkę stopionego plastiku, ale kubek i popielniczka były właściwie nietknięte.

- Gdyby siedziała tam, mogłaby oglądać telewizję. - Monk wskazał przeciwny brzeg kanapy. — Jednak patrząc z tej strony, gdzie znaleziono jej ciało, telewizor był zasłonięty przez fotel. Po co miałyby oglądać pusty fotel?

Stottlemeyer patrzył przez chwilę to na kanapę, to na telewizor, to na resztki po fotelach.

- Nie patrzyłaby na pusty fotel, gdyby ktoś na nim siedział - powiedział Stottlemeyer. — Ktoś tu musiał być.

Gayle spojrzała na Mońka.

- Do diabła...

Była pod wrażeniem.

Ja również pozostawałam pod wrażeniem. Już drugi raz w ciągu jednego dnia Monk potrafił wydedukować i odtworzyć ciąg zdarzeń, opierając się wyłącznie na tym, gdzie w danej chwili znajdowała się dana osoba (czy pies). Kto by przypuszczał, że tyle zależy od miejsca, w którym się siedzi?

Stottlemeyer wyjął telefon komórkowy, otworzył go jednym ruchem i wybrał numer.

- Randy? To ja. Musisz się przejechać do kostnicy. Powiedz koronerowi, żeby przesunął sekcję Esther Stoval na początek listy. To zabójstwo. Jeśli masz na sobotę jakieś plany, to możesz je odwołać.

Zatrzasnął kłapkę telefonu i spojrzał na Mońka.

- Cieszę się, że wpadłeś, Monk. Ten przypadek mógł nam się całkowicie wymknąć z rąk.

Wtedy właśnie przypomniałam sobie, jaki był pierwotny cel naszej wizyty.

Monk uczy się dzielić z innymi

Joego Cochрана znaleźliśmy w ogródku za domem; siedział na wiadrze odwróconym do góry dnem, nalewał do miseczek mleko i pozwalał chodzić po sobie kotom. Był postawnym mężczyzną po trzydziestce, z którego emanowały siła i stoicki spokój, przymioty zdające się nie pasować do tkliwości, jaką właśnie okazywał zwierzacom. Głaskał je łagodnie, wsadzał ich noski w swój wielodniowy zarost i mruczał do nich przyjaźnie. Przemknęło mi raptem przez głowę, że chętnie zamieniłabym się miejscami z którymś z kotków.

Ta myśl mnie zaskoczyła. Od śmierci Mitcha spotykałam się z paroma mężczyznami, ale z żadnym poważnie, a ostatnio w ogóle z żadnym. Przez długi czas udawało mi się nawet nie myśleć o mężczyznach, więc trochę mnie uderzyło nagłe odkrycie, jak blisko powierzchni pozostają w człowieku takie uczucia. Wystarczyło jedno spojrzenie na strażaka, może nieokrzesanego i twardego, ale za to słodkiego i czulego, żeby je wszystkie nagle z powrotem przywołać.

Dobry Boże, kogo ja oszukuję? Każda kobieta poczułaby przy nim to samo. Był jakby żywcem zdjęty z okładki taniego romansidła. Miałam tylko nadzieję, że kiedy się odezwie, nie usłyszę piskliwego, skrzeczącego dyszkanciku albo potwornego seplenienia.

Monk, zniesmaczony, stanął jak wryty.

— Jak on może?

- Najwyraźniej jest człowiekiem, który kocha zwierzęta - powiedziałam.

- Ja nie jestem.

- Naprawdę? - zapytałam z drwiną.

- Idź z nim porozmawiaj - stwierdził. — Ja tutaj poczekam.

- Nie chce pan mu zadać kilku pytań?

- Potrafię czytać z ruchu warg.

- Naprawdę?

- Każdy moment jest dobry, żeby się czegoś nauczyć - stwierdził Monk.

Zdażyłam już udowodnić, że w kwestiach detektywistycznych nie grzeszę wielkim talentem. Ale z drugiej strony, czyż nie byłoby miło porozmawiać z Joem bez Mońka?

- Mogę poprosić, żeby do nas podszedł - zaproponowałam słabym głosem.

- Lepiej nie — sprzeciwił się Monk. — Koty za nim przyleżą. Chyba umarłbym od kichania. Potworna śmierć.

- Ma pan dla mnie jakieś wskazówki?

- Wyraźnie się wysławiaj.

Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam w stronę fajowego strażaka. Fajowy. W takich kategoriach myślałam! Jak miałam mu teraz zadać serię wnikliwych, detektywistycznych pytań, skoro mentalnie cofnęłam się do okresu dojrzewania?

- Joe Cochran? Spojrzał na mnie z dołu.

- Tak, proszę pani.

„Proszę pani!”. Był umięśniony, krzepki i bardzo uprzejmy. I, Boże, co za uśmiech.

- Nazywam się Natalie Teeger - przedstawiłam się. - Pracuję dla Adriana Mońka. Detektywa.

Skinęłam głową w kierunku Mońka, który pokiwał z daleka ręką.

Joe wstał i pokiwał Monkowi. Koty zeskoczyły na ziemię.

- Dlaczego nie podejdzie?

- To długa historia - odpowiedziałam. - Jesteśmy tu z powodu mojej córki Julie. Chodzi do szkoły, którą odwiedza pan raz w roku. Słyszała, co się stało ze Sparkym.

Na dźwięk tego imienia oczy Joego nagle się zaszkliły, czym jeszcze bardziej mnie ujął.

- Dzieci tak się przejęły? - zapytał.

- Tak bardzo, że córka zatrudniła pana Mońka, by odszukał zabójcę psa.

- Pani wybaczy.

Joe odwrócił się plecami, odszedł parę kroków i otarł z oczu łzy. Nawet nie wiecie, jak bardzo pragnęłam go objąć, pocieszyć i otrzeć płynące po jego policzkach krople. Przełknęłam głośno ślinę i czekałam. Po chwili znowu stanął przodem do mnie.

- Proszę mi wybaczyć, panno Teeger.

- Oczywiście. Proszę mówić mi Natalie.

- Tylko wtedy, jeśli pani będzie się do mnie zwracać Joe.

Odwrócił do góry dnem drugie wiadro, postawił je obok swojego i poprosił, abym przy nim usiadła. Chętnie przyjąłam zaproszenie.

Monk zagwizdał i zakręcił w powietrzu palcem. Zrozumiałam sygnał.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy się obrócili? - zapytałam, siadając przodem do Mońka.

- Dlaczego? - zapytał Joe.

- Pan Monk chciałby widzieć nasze twarze — wyjaśniłam. — Czyta z ruchu warg.

- Jest głuchoniemy?

- Nie - odparłam.

- Hm, no dobrze — powiedział. - Czy jest dobrym detektywem?

- Najlepszym - zapewniłam. — Choć trochę ekscentrycznym.

- Jeśli rzeczywiście potrafi ująć sukinsyna, który zabił Sparky'ego, to jest mi obojętne, czy lubi biegać na golasa po parku Golden Gate i podśpiewywać sobie musicalowe przeboje. — Po tych słowach zamilkł i zaczerwienił się ze wstydu. - O mój Boże. Zapomniałem. Czy rzeczywiście potrafi czytać z ruchu warg?

- Wątpię - odpowiedziałam i pokiwałam Monko-wi, a on pokazał w odpowiedzi wyprostowany kciuk.

Joe odetchnął z ulgą i wziął w ręce jednego z kociaków.

- Co chciałabyś wiedzieć, Natalie?

Miło było słyszeć, jak wypowiada moje imię. Wspominałam już, że jego głos nie był ani trochę piskliwy?

- Przychodzi ci do głowy ktoś, komu zależałoby na skrzywdzeniu Sparky'ego?

Joe ściągnął brwi w głębokim namyśle, nie przestając przy tym delikatnie głaskać kota.

- Tylko jedna osoba. Gregorio Dumas. Mieszka parę domów od straży.

Łatwo mógł więc zaobserwować, kiedy strażacy wyjeżdżają do akcji i czy remiza zostaje pusta.

- Co mu się nie podobało w Sparkym?

- Miłość - odparł Joe. - Sparky zadurzył się we francuskim pudelku Gregoria, suczce Letitii.

- Panu Dumasowi nie podobał się ten związek?

- Letitia jest psem wystawowym - wyjaśnił Joe. - Gregorio się obawiał, że Sparky zniszczy jej karierę. Ostrzegł mnie kiedyś, że jeśli jeszcze raz zobaczy Sparky'ego w swoim ogrodzie, to go zabije.

- Może jeszcze ktoś miał problemy z twoim psem?

Joe pokręcił przecząco głową.

- Sparky był pojętnym, słodkim i ufnym zwierzęciem. Kiedy zabrałem go na oddział onkologiczny dzie-

cięcego szpitala, był nadzwyczaj przyjazny wobec dzieciaków, nawet wobec najmniejszego i najslabszego brzdąca. Wszyscy go kochali.

- Jednak nie wszyscy... - powiedziałam i natychmiast pożałowałam swoich słów.

Oczy Joego znowu zwilgotniały, ale tym razem nie starał się tego przede mną ukryć.

- To nie był dla mnie zwykły pies, Natalie. To był mój najlepszy przyjaciel. Wiem, to brzmi ckliwie, „chłopczyk i jego piesek”. Ale mój zawód, te godziny pracy, nie służą utrzymywaniu kontaktów... Wiesz chyba, o czym mówię.

Niestety wiedziałam. Samotna matka pracująca dla detektywa cierpiącego na nerwicę natręctw również nie prowadzi bogatego życia towarzyskiego.

- Dużo czasu spędzam sam - mówił dalej. — Ale ze Sparkym wcale się nie czułem samotny. Teraz tak. Czuję się jakiś pusty, jakby niesiony przez fale. Wiesz, co to za uczucie?

Wzięłam go za rękę, ścisnęłam ją lekko i przytaknęłam.

- Tak, wiem.

Nagle poczułam się skrepowana. Cofnęłam dłoń i wstałam.

- Pan Monk znajdzie sprawcę, Joe.

- Skąd ta pewność?

- Bo to jest Monk.

- Mówiłaś, że z Monkiem to długa historia - powiedział Joe. - Chciałbym ją kiedyś usłyszeć.

- Proszę, to moje numery - powiedziałam, spisując je na kartce. - Zadzwoń, jeśli przyjdzie ci do głowy coś, co mogłoby pomóc panu Monkowi w śledztwie.

- Zadzwonię - powiedział z uśmiechem.

Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć, więc odwzajemniłam tylko uśmiech i wróciłam do Monka. Nie ruszył się ani na krok z miejsca, w którym go zostawiłam.

- Ile udało się panu zrozumieć? - zapytałam.
 - Niewiele, tylko te fragmenty o lewatywie, sztucznej trawie i włosach Wayne'a Newtona.
 - Nie rozmawialiśmy o żadnej z tych rzeczy.
 - Rozumiem — stwierdził krótko Monk. — Widocznie odgąłem jedynie podtekst rozmowy.
- Owszem, rozmowa miała swój podtekst, ale chodziło w niej o coś zupełnie innego.

Na obiad przygotowałam piersi z kurczaka Dijon, z groszkiem i ziemniakami puree. Monk pomógł przy obiedzie, nakładając na talerze groszek — liczył ziarna (każdy miał otrzymać dokładnie dwadzieścia cztery groszki) i układał je w równe rzędy. Natomiast ziemniaki nakładał łyżką do lodów, formując z nich idealne kulki, które ostrożnie wygładzał nożykiem do smarowania masła.

Julie przyglądała się temu wszystkiemu wniebowzięta. Jedno było pewne, to rozwiła trochę jej smutek.

Przy obiedzie opowiedziałam jej o wszystkim, czego się dotychczas dowiedzieliśmy, co w moim odczuciu nie było niczym konkretnym, ale na Julie zrobiło ogromne wrażenie. Uściskała Mońka i pobiegła do pokoju, by przez Internet podzielić się wiadomościami z przyjaciółmi.

Kiedyś jej powiedziałam, że gdy ja byłam dzieckiem, nie było komunikatorów internetowych do rozmowy z koleżankami i kolegami. Używaliśmy prostego urządzenia, które się nazywało telefonem. Wiecie, co mi odpowiedziała? „Co za szczęście, że żyję w dobie nowoczesności”. Poczułam się jak dinozaur.

Monk się uparł, że pozmywa naczynia po obiedzie, a ja bynajmniej nie oponowałam. Kiedy Monk się uwijał w kuchni, usiadłam przy stole i zrelaksowałam się przy kieliszku wina. Stwierdziłam, że gosz-

czenie u siebie kogoś, kto ma fioła na punkcie czystości, bez wątpienia ma swoje plusy. Zaczęłam się zastanawiać, jak nakłonić Mońka, żeby się zajął domowym praniem, ale wyobraziłam sobie, jak usiłuje posortować nasze biustonosze i majtki, nie dotykając ich, a nawet na nie nie patrząc, i doszłam do wniosku, że jest to jednak niewykonalne. Z drugiej strony oglądanie czegoś takiego byłoby bardzo zabawne. Zadzwoił telefon. Ciekawe, co dzisiaj będzie mi próbował wcisnąć jakiś anonimowy telemarketer z Bangladeszu. Kusiło mnie, żeby pozwolić Monkowi odebrać telefon, i żeby Rajid przeszedł przez piekło, na które sobie zasłużył, ale wzięła mnie litość i złapałam za słuchawkę.

- Słucham?

- Natalie Teeger? Mówi Joe Cochran. Mam nadzieję, że nie zakłócam ci spokoju.

Owszem, zakłócał, ale w dobrym sensie tego słowa. Sięgnęłam po kieliszek i dla uspokojenia rozdygotanego serca dopiłam resztkę wina. Nie pomogło.

- Ależ skąd.

- Pomyślałam sobie, że może miałabyś ochotę wybrać się ze mną na kolację.

- Wspaniały pomysł - odpowiedziałam, próbując zachować zwykły ton, choć, prawdę mówiąc, chciało mi się wrzeszczeć z radości.

- Może jutro, jeśli to nie za wcześnie? Przez następne kilka dni mam służbę.

- Jutro? Tak... Pasuje mi.

Za dziesięć minut też by mi pasowało, ale nie chciałam dać po sobie poznać, że tak bardzo mi zależy. Ustaliliśmy godzinę i podałam mu swój adres.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, Monk wycierał naczynia i zerkał na mnie pytającym wzrokiem.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Umówiłaś się na randkę ze strażakiem Joem?

- Hm, na to wygląda — odparłam, uśmiechając się frywolnie.

- Kto się zajmie Julie?

Ta kwestia nie interesowała mnie tak bardzo jak pytanie, kto się w tym czasie zajmie Monkiem. Będę musiała wydać Julie szczegółowe dyspozycje.

- Miałam nadzieję, że pan - odpowiedziałam, a potem skłamałam: — W tak krótkim czasie trudno znaleźć opiekuna. Ma pan coś przeciwko temu?

- Czy będą mnie czekać jakieś diabelskie psoty?

- Nie sądzę.

- Czy będę musiał wymyślić dla niej jakieś zajęcie?

- Prawdopodobnie Julie będzie siedziała cały czas w pokoju - powiedziałam. — Jest w takim wieku.

- Ja też.

W niedzielne poranki lubimy z Julie wskoczyć rano w nasze najbardziej znoszone dresy, chwycić z ganku weekendowe wydanie „San Francisco Chronicle” i pójść do cukierni Valley Bakery. Zamawiamy jagodowe bułeczki z kawą dla mnie i gorącą czekoladę dla Julie i zatapiamy się w lekturze gazety.

Julie oczywiście najbardziej lubi czytać komiksy i recenzje filmowe w dodatku kulturalnym, zwanym popularnie „częścią różową”, z uwagi na kolor stron. Każda krótka recenzja opatrzona jest rysunkiem człowieczka w meloniku, który siedzi w kinowym fotelu. Przy świetnym filmie człowieczek wytrzeszcza z podziwu oczy, klaszcze i zrywa się z fotela, gubiąc melonik. Przy kiepskim człowieczek jest znudzony, zapada się w fotelu i drzemie. Czasem wyobrażam sobie, jak reagowałby fotelowy człowieczek, gdyby to moje życie się rozgrywało przed jego oczami. Przez większość czasu byłby zapewne średnio zainteresowany filmem i siedziałby wyprostowany, jakby połknął kij

od szczotki, co w recenzji oznacza mierną ocenę. Bardzo rzadko wyobrażam sobie, by z mojego powodu człowieczek skakał na fotelu w ekstatycznej radości.

Po śniadaniu idziemy z Julie na długi spacer stromym wzniesieniem do parku Delores, skąd roztacza się zapierający dech w piersiach widok na dzielnicę Castro, na Civic Center i centrum finansowe miasta. Ale nie idziemy tam po to, żeby oglądać widoki. Lubimy usiąść pod palmą na trawiastym pagórku i przyglądać się przechodzącym ludziom. A widzimy rozmaitych ludzi wszystkich ras i bodaj we wszystkich możliwych konfiguracjach.

Weźmy na przykład pary. Mijają nas mężczyźni z kobietami, mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami i ludzie, którzy mieszczą się gdzieś pomiędzy tymi układami. Widzimy pokazujących swoje sztuki mimów, dokazujące dzieciaki, rodziny na pikniku, muzykujące kapele, jakieś protestujące grupki — wszystko na tle okazałej panoramy miasta. Najlepszy spektakl w całym mieście.

Zwykle zostajemy w parku przez jakąś godzinę, rozmawiamy o minionym tygodniu i o tym nadchodzącym, a potem, złapawszy drugi oddech i napatrzysz się na wszystko, wolnym krokiem schodzimy ze wzgórza. Kiedy około południa docieramy do domu, kąpiemy się, przebieramy w czyste rzeczy i zabieramy się do porządkowania i załatwiania różnych domowych spraw.

Jednak w tę niedzielę dwie rzeczy naruszyły nasz zwyczaj. Pierwszą z nich była pieska pogoda. Miasto utonęło w gęstej mgle i oparach dżdżu. No i był jeszcze Monk.

Zbudził mnie o szóstej rano wytrzymałym, nieprzerwanym szorowaniem. Zwlokłam się z łóżka w spodniach dresowych i T-shircie i znalazłam go w łazience. Monk, w gumowych rękawiczkach do zmywania naczyń, kłę-

czał w wannie i polerował szczotką odpływ wody. Miał na sobie dwuczęściową, idealnie dopasowaną piżamę i bamboszki z owczej wełny, które wyglądałyby na nim uroczo, gdyby nie miał już swoich lat.

Oczywiście czyściłam łazienkę przed jego przyjazdem, jednak nie do tego stopnia, żeby przy spojrzeniu na lśniące linoleum trzeba było zakładać przeciwsłoneczne okulary, a on właśnie to z nim uczynił. Na umywalce leżała kostka mydła, jeszcze w opakowaniu, nowiutka szczoteczka do zębów w plastikowym pudełeczku i nowa, pełna tubka pasty do zębów. Elektryczna maszynka do golenia była włączona do gniazdka.

- Panie Monk, jest szósta rano - powiedziałam szeptem, żeby nie obudzić Julie.

- Nie wiedziałem, że z ciebie taki ranny ptaszek.

- Bynajmniej, nie jestem rannym ptaszkiem - odpowiedziałam. - Co pan robi?

- Przygotowuję prysznic - odparł.

- Robi pan tak przed każdą kąpielą?

- Przed i po.

Pokiwałam tylko głową i ciężkim krokiem przeszłam do kuchni. Dwie godziny później Monk wciąż siedział w łazience. Julie dawno już była na nogach. Siedząc przy stole w szlafroku, jadła płatki z mlekiem i potrzasała nerwowo nogą.

- Mamo, naprawdę muszę iść do łazienki.

- Jestem pewna, że pan Monk lada moment wyjdzie.

- To samo mówiłaś godzinę temu - odpowiedziała. -

Od tego czasu wypłam dwie szklanki soku pomarańczowego.

- To chyba nie było najmądrzejsze, prawda?

- Do głowy mi nie przyszło, że będzie tam siedział wiecznie — odparła. — Nie możesz zapukać?

- Jest aż tak źle?

- Jest bardzo źle.

Wstałyśmy i podeszłyśmy do łazienki. Zapukałam.

- Panie Monk? Chciałybyśmy skorzystać z łazienki — powiedziałam.

- Czy to musi być ta łazienka? - zapytał.

- To jedyna w tym domu - odparłam.

Otworzył drzwi, trzymając w ręku szczoteczkę do zębów. Wnętrze lśniło dokładnie tak samo jak o godzinie szóstej. Nie widać było śladu po tym, żeby Monk korzystał z natrysku. Julie stanęła z przodu, przestępując z nogi na nogę.

- Dobrze żyjecie z sąsiadami? - zapytał Monk.

- Nie aż tak dobrze — rzuciłam. - Będziemy musieli dzielić się jedną łazienką.

- Nie bardzo widzę, aby było to możliwe — odpowiedział Monk.

Julie warknęła ze wściekłością, przecisnęła się desperacko obok Mońka i ruszyła prosto w kierunku sedesu. Przerażony Monk wyskoczył czym prędzej z łazienki i zanim Julie zdążyła unieść klapę, zatrzasnął drzwi.

Stał i patrzył na mnie. Ja patrzyłam na niego.

- Łazienka jest jedna, a nas jest troje - powiedziałam.

- To barbarzyństwo—stwierdził. - Czy służba zdrowia jest o tym poinformowana?

- Będzie się pan musiał przyzwyczaić.

- Jak możecie tak żyć?

- Nie musiałybyśmy, gdyby płacił mi pan trochę więcej - powiedziałam.

To zamknęło mu usta. Wiedziałam, że mu zamknie.

Silniejsze od natręctwa czystości u Mońka było tylko jego sknerstwo.

Monk poznaje królową

Na godzinę zamieniłam się w osobistą sekretarkę Julie — udało mi się zorganizować jej wizytę w domu jednej z koleżanek, dzięki czemu wiedziałam, że przez cały dzień pozostanie pod okiem dorosłych, a ja będę mogła towarzyszyć Monkowi przy śledztwie.

Ponieważ Monk pracował dla Julie, przynajmniej w sensie formalnym, ta nie miała nic przeciwko temu, żebym zostawiła ją w tym czasie u koleżanki. Nie bolało jej nawet, że przyjaciółka ma jakiś Xbox, jakieś PlayStation, jakiegoś Game Boya i inne dziwolagi, które człowiek zdołał wymyślić, niezbędne do gier komputerowych. Minusem tego rozwiązania było dla mnie to, że Julie po powrocie do domu zapewne znowu zacznie się domagać, chyba po raz setny, żebym jej to wszystko kupiła.

O dziesiątej rano wyszliśmy z domu. Na początek Monk chciał złożyć wizytę Gregoriowi Dumasowi, mężczyźnie, który mieszkał naprzeciwko straży pożarnej i według tego, co mówił strażak Joe, był wrogiem numer jeden Sparky'ego, a zatem i pierwszym podejrzanym.

Pół godziny później zapukaliśmy do drzwi Dumasa. Gospodarz wyglądał tak, jakby regularnie odwiedzał tego samego stylistę co jego piesek. Bujna grzywa złocistych włosów ufryzowana była w potężny, podniesiony w górę, falisty pompadour. Cała jego sylwetka od razu przywodziła na myśl francuskiego pu-delka — zwierzaka, którego przecież miał.

Przypadek? Nie sędzę.

Mężczyzna był niski i korpulentny. Na każdym palcu miał złoty pierścionek, a na szyi jakieś naszyjniki i łańcuszki z medalionami. Cała ta jubilerska wystawność miała tandetną, psią tematykę - jak choćby ta wielka, inkrustowana diamentami kość na złotym łańcuchu. Dumas stał w drzwiach w jedwabnym kimonie, uśmiechając się głupkowato, z pogardą i wyższością, patrząc z wyraźnym niesmakiem na stojących w progu gości, którymi byliśmy my -Monk i ja. Za naszymi plecami wznosił się budynek straży pożarnej, gdzie został zabity Sparky.

- Pan chyba lubi psy - powiedział Monk, kiedy już się przedstawił i wyjaśnił, kim jesteśmy.

- Pan podobno jest detektywem — powiedział Gregorio głosem, który równie dobrze przypominał głos znanego aktora Ricarda Montalbana, jak i aktorki Frañ Drescher. - Zawsze dedukuje pan w tak błyskotliwy sposób?

Cofnął się o krok i wpuścił nas do środka. Można było odnieść wrażenie, że meble domowe pan Dumas odziedziczył po sędziwym krewnym, który sporo kupował w sklepie Levitza w 1978 roku. Sama tapicer-ka wywołała we mnie wspomnienie chevroleta impa-li, kombi, który mieli moi rodzice.

Wszystkie półki regału, który zajmował całą ścianę, zastawione były trofeami z wystaw psów rasowych i oprawionymi w ramki fotografiami Letiti z jej dumnym właścicielem. Patrząc na fotografie, nabrałam całkowitej pewności, że pan i jego piesek chodzą do tego samego stylisty.

- Jeśli tak bardzo lubi pan psy - zaczął Monk — to z pewnością jest pan załamany tym, co się przytrafiło Sparky'emu.

- To był gwałciciel - odparł Gregorio. - Psi zbo-czeniec.

- Ależ proszę pana - powiedziałam. — To tylko psy.
- Letitia to nie pies, to symbol doskonałości i piękna, to królowa władająca psim światem — mówił Gregorio.
- A raczej władała, dopóki Sparky nie zrujnował jej życia. - Przeciągnął ręką przed galerią trofeów. - Wygrała setki konkursów Amerykańskiego Towarzystwa Kynologicznego, w tym Nagrodę Główną w Konkursie Czempionów. Tylko w ubiegłym roku Letitia zarobiła w nagrodach i premiach sześćdziesiąt tysięcy dolarów.
- O, zatem utrzymuje się pan z psa — zauważył Monk.
- Letitię cieszą sukcesy - oświadczył Gregorio. - Żyje lepiej niż ja.
- Gorzej jej być nie może — mruknął pod nosem Monk.

Gregorio poprowadził nas przez kuchnię na tyły domu. Pralnia za kuchnią była przerobioną spiżarnią. Monk się zatrzymał na chwilę, żeby rzucić okiem na ułożone na suszarce świeże ubrania, bieliznę i złożone równo ręczniki.

- Panie Monk - ponagliłam go, chcąc odciągnąć jego uwagę od pralni, zanim zacznie wszystko jeszcze raz układać lub, co gorsza, wygłosi kazanie na temat znaczenia układania rzeczy w oddzielne kupki według przeznaczenia.

Tymczasem Gregorio otworzył drzwi do ogrodu, którego znaczną część zajmował niewielki domek w stylu wiktoriańskim, z dachem pokrytym cedrowym gontem, frontonami, kopułką, wykuszami i biegnącą dookoła werandą, udekorowaną kwiatami w skrzyneczkach. Na werandzie można było zobaczyć kilka gumowych zabawek — kość, piszczącą piłeczkę, hot doga i kota. Cały teren otoczony był wysokim płotem ze spiralą drutu kolczastego na samym szczycie.

- Jej królewską mość trzeba traktować jak królewską mość — stwierdził Gregorio.

- To dla psa? - zapytałam. — Sama mogłabym tu zamieszkać.

- Ile jest łazienek? - zainteresował się Monk.

- Psy wystawowe ocenia się po zębach, napięciu mięśni, strukturze kości, ułożeniu włosa i, co najważniejsze, po ruchu, jak chodzą, jak balansują ciałem i jak te wszystkie elementy się komponują. Tylko pies, który mieszka w pałacu, porusza się jak królowa. Tym właśnie była, królową.

- Wciąż mówi pan o Letitii w czasie przeszłym — zauważył Monk. - Co się z nią stało?

- Chuć Sparky'ego - wyjaśnił krótko Gregorio i zagwizdał na psa.

Letitia wyskoczyła z rezydencji. Francuski pudelek zachował niesamowicie białe, puszyste loki i królewską postawę, lecz był nie mniej zaokrąglony od swojego pana.

- Sparky zrobił jej brzuch — powiedział Gregorio.

Suczka podeszła wprost do Mońka i wyciągnęła nos w kierunku jego krocza. Monk zasłonił się dłońmi i pisnął, gdy tylko nos zetknął się ze skórą jego ręki.

- Dostałem -jęknął, wycofując się do salonu, a pies napierał za nim, próbując ciągle wetknąć nos między jego ręce.

- Teraz to tylko ciężarna suka - stwierdził Gregorio, wracając do salonu, a ja poszłam jego śladem. — Wkrótce będzie jak bania od nabrzmiąłych wymion. Ale to nic w porównaniu z tym, jak będzie wyglądała potem, kiedy wycisnie z siebie ten szczenięcy pomiot.

Monk chwycił poduszkę z kanapy i zapobiegawczo przesłonił nią okolice pachwin. Podniecony piesek okrążył go i usiłował obwąchać mu tyłek. Monk przy-

siadł szybko na kanapie, z poduszką na brzuchu, pochylił się i złączył kolana.

Oczywiście mogłam mu pomóc, ale po porannych przejściach z łaźniarką z radością mu się teraz odpłacałam.

- Na pewno wróci do dawnych kształtów — powie działałam.

Pomyślałam, że w końcu mnie samej po narodzinach Julie szybko się udało wrócić do dawnej formy, prawda?

- Obwisłe sutki, pomarszczona skóra i przekrwione oczy, oto jej przyszłość — wymieniał Gregorio. — Tyle zostanie z dawnej Letitii. Ostrzegąłem strażaków, że to się źle skończy, jeśli nadal będą pozwalać hasać tej cętkowanej bestii po okolicy za każdym razem, kiedy wyjeżdżają.

Na ścianie wisiało lustro. Przyjrzałam się ukradkiem własnemu odbiciu, zastanawiając się, czy właśnie to Joe zobaczy dzisiaj wieczorem w restauracji: obwisłe sutki, pomarszczona skóra i przekrwione oczy.

- Co innego, gdyby miała się oszczeniść z rasowym psem wystawowym. Ale Sparky to uliczny śmieć — prawil dalej Gregorio. — Wyobrażacie sobie, jak będą wyglądać te skundlone potworki? Nad Sparkym nie uронię ani jednej łzy.

Letitia wskoczyła na kanapę obok Mońka i zaczęła lizać jego policzek.

- Pomocy - zakwiczal cicho Monk.

- Wydaje mi się, że wystarczająco nienawidził pan Sparky'ego, żeby go zabić.

- Tyle tylko, że go nie zabiłem.

- To najlepsze, co może pan powiedzieć na swoją obronę? - zapytałam.

- Pomocy - piszczał dalej Monk.

Chwyliłam Letitię za obrożę i odciągnęłam ją od

Mońka, który zerwał się na nogi, natychmiast wyskoczył za drzwi wejściowe i zatrzasnął je za sobą.

—Gdybym rzeczywiście chciał go zabić, zrobiłbym to, zanim się dobrał do Letitii — odparł Gregorio, biorąc ode mnie pudelka. - Teraz co by mi to dało?

—A motyw zemsty? - Zza drzwi dobiegł nas przytłumiony głos Mońka.

—Nie powiem, że nie przeszło mi to przez głowę — przyznał Gregorio.

—Słucham? - zapytał Monk.

—Przeszło mi to przez głowę! - krzyknął Gregorio. —Ale wołałem podać do sądu departament straży pożarnej za utratę dochodów.

—Gdzie był pan wczoraj w nocy między dwudziestą drugą a drugą? - zapytałam.

—Tutaj - odpowiedział Gregorio. - Sam.

—Wątpliwe alibi - zauważyłam.

—Ja nie potrzebuję alibi — odparł Gregorio. — Ponieważ ja tego nie zrobiłem.

—Czy może pan mówić głośniejsze?! - zawołał Monk zza drzwi.

—Ja tego nie zrobiłem! - odkrzyknął Gregorio. - Zapytajcie lepiej tego strażaka!

Monk uchylił drzwi, na tyle tylko, by wsunąć głowę do środka.

—Jakiego strażaka?

—Tego, którego widziałem, jak o wpół do jedenastej wychodził z remizy.

—Przecież wszyscy strażacy o dziesiątej wyjechali do akcji — powiedziałam.

—Wiem. Myślicie, że nie mam uszu? Uwierzcie mi, mieszkać naprzeciwko straży pożarnej to bajeczna sprawa. Ale mniejsza z tym. Było tak: o dziesiątej zawyły syreny, a pół godziny później to strażackie diabelskie nasienie zaczęło ujadać jak najęte. Podszedłem do okna, żeby sprawdzić, czy nie biegnie tu-

taj, żeby znowu splugawić Letitię, ale ujadanie ustało i nic nie zauważyłem. Piąt minut później Letitia zaczęła szczeleać, więc znowu wyjrzałem przez okno, myśląc, że może Sparky ma jeszcze jakieś zamiary, i wtedy zobaczyłem, jak z budynku wychodzi ten strażak.

- Skąd pan wiedział, że to strażak? — zapytał Monk.

- Widziałem hełm i płaszcz strażacki — odpowiedział Gregorio.

- Ale twarzy pan nie widział? - zapytałam.

- Był odwrócony plecami - wyjaśnił Gregorio. - Poza tym było ciemno, a on był po drugiej stronie ulicy. Teraz przepraszam, jeśli pozwolicie, mam ważne rzeczy do zrobienia.

Odprowadził mnie do drzwi. Gdy wyszłam za próg, Monk zaczął gwałtownie machać rękami, jakby obla- zło go stado mrówek.

- Chusteczka, chusteczka, chusteczka - powtarzał.

W czasie drogi do samochodu, który stał zaparko- wany przed strażą pożarną, podałam mu chyba z trzy- dzieści chusteczek.

- Potrzebny mi prysznic - powiedział Monk. — Przez okrągły rok.

- Niech mu się nie wydaje, że nas wystrychnął na dudka - powiedziałam. — Naprawdę sądzi, że uwie- rzymy mu, że Sparky'ego zabił jakiś strażak? Mętne tłumaczenia. Próbuje odciągnąć uwagę od własnej osoby.

- To nie on — oświadczył Monk.

- Skąd pan może wiedzieć? Sparky zapłodnił kurę, która znosiła mu złote jaja, czy raczej pudła... W każdym razie chodzi o to, że Gregorio stracił dochód w wy- sokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Aż nad- to starczy, by chcieć zamordować psa, a do tego Dumas mieszka po drugiej stronie ulicy, więc doskonale wie, kiedy strażacy wyjeżdżają i kiedy wracają z akcji.

- To nie on - powtórzył Monk.
- Sam przyznał, że nienawidził Sparkyego i wiedział, że strażacy o dziesiątej wyjechali — przekonywałam. — Prawdopodobnie było tak, jak pan mówił. Poszedł, aby zatruć karmę dla psa, a Sparky go zaskoczył.
- To nie on.
- Niechże pan przestanie powtarzać w kółko to samo - powiedziałałam. - Widział pan jego fryzurę? To musiał być on. Skąd pan wie, że to nie on?
- Jest za gruby - odpowiedział Monk. - Nigdy w życiu nie zdążyłby dobiec do kilofa przed atakiem Sparky'ego. Ale kłamie.
- W czym kłamie?
- Kłamie, bo tej nocy, kiedy zginął Sparky, był w remizie.
- Skąd ta pewność?
- Pralnia - powiedział Monk. - Obok jego skarpetek widziałem oba ręczniki, które zginęły strażakom. Dasz wiarę? Obok skarpetek!
- Dlaczego pan nic nie powiedział?
- Byłem zanadto zajęty obroną przed tą dziką bestią i jej zaślinionymi szczękami śmierci.
- Słusznie przypuszczałam, że kwestia ślinienia do-
kuczwała mu najbardziej. Nieraz wystarczyło, że obli-
załam wargi, a on już mi wytykał, że się ślinię.
- W takim razie Gregorio Dumas jest w dalszym
ciągu w posiadaniu cudzej własności - zauważyłam. -
Z drugiej strony można się zastanawiać, po co ukradł
te ręczniki.
- Właśnie się zastanawiam - powiedział Monk. -
Zastanawiam się także, w jaki sposób Sparky zapłodnił
Letitię.
- Mogłabym to panu wyjaśnić - powiedziałałam. -Ale
czy to konieczne?
- Nie chodzi mi o to, w jaki sposób to zrobił, tylko
jak udało mu się tego dokonać.

—Cóż, i to pies, i to pies, w tym momencie to chyba najważniejsze, jak mi się zdaje — stwierdziłam. -Chyba dlatego nazywa się je psami.

—Chodzi mi o coś innego. Ogródek za domem jest otoczony płotem ze spiralą z drutu kolczastego, który tnie ciało jak żyłeczka. Jakim cudem Sparky dostał się do ogrodu?

- Może Gregorio postawił płot dopiero po uczynku Sparky'ego?

Nie mieliśmy już sposobności, by dogłębniej roztrząsać tę zagadkę, ponieważ zadzwonił mój telefon. To był Stottlemeyer. Chciał natychmiast spotkać się z Monkiem w *swoim* gabinecie.

Gabinet Stottlemeyera był czymś więcej niż zwykłym biurowym gabinetem. To był azyl. Stottlemeyer mógł tu robić wszystko, czego w domu zabraniała mu żona. Mógł palić cygara. Mógł się objadać niezdrową żywnością. Dłubać w nosie. Mógł zdjąć buty i położyć na biurku nogi w skarpetkach. Mógł też przeglądać osławiony grudniowy numer „Sporfs Illustra-ted” z modelkami w strojach kąpielowych. Ponadto gabinet wypełniony był rzeczami, których w domu żona nigdy nie pozwoliłaby mu wystawić, jak choćby pamiątki z meczów baseballowych, plakat z filmu *Serpico*, kolekcja etykietek z pudełek do cygar czy pocisk, który kilka lat wcześniej wydobyto mu z ramienia.

Chociaż Stottlemeyer często i głośno się skarżył, że musi pracować do późnego wieczoru i w weekendy, to wiedziałam, że w swoim gabinecie znajduje więcej wytchnienia i pociechy, niż byłby to skłonny szczerze przyznać.

- Nie znoszę tu przychodzić w dzień wolny od pracy- powiedział Stottlemeyer, kiedy się zebraliśmy w jego gabinecie.

W pomieszczeniu przed gabinetem siedziało przy biurkach kilku innych detektywów. Stottlemeyer był ubrany w sweter, dżinsy i tenisówki, aby nie zapomnieć (i aby nie zapomnieli nikt, kto na niego spojrzy), że powinien teraz siedzieć w domu i zażywać odpoczynku.

Dla porównania porucznik Randall Disher jak zawsze miał na sobie źle leżący garnitur z konfekcji i prosty krawat, jakby był to normalny dzień roboczy. Disher idealizował Stottlemeyera, więc w jego obecności nigdy się nie czuł swobodnie. Każde słowo porucznika, każde jego działanie podkreślone były gorliwą chęcią usatysfakcjonowania szefa.

- Chcielibyśmy skorzystać z twojej pomocy, Monk— powiedział Stottlemeyer. - Skoro zwróciłeś naszą uwagę na tę nierozwiązywalną zagadkę, to myślę, że masz obowiązek ją dla nas rozwiązać.

- Nierozwiązywalną zagadkę? - zapytał Monk. - Coś takiego nie istnieje.

- Oto właściwy duch! - ucieszył się Stottlemeyer. — Powiedz mu, Randy, co mamy.

Disher sięgnął do notesu.

- W przypadkach, kiedy osoba zapada w sen z tłącym się papierosem w ręku, zwykle nie ogień jest przyczyną śmierci, lecz dym.

- Czy sekcja wykazała w płucach lub drogach oddechowych ofiary sadzę lub ślady dymu? - zapytał Monk.

- Nie - odpowiedział Stottlemeyer. — To znaczy, że Esther Stoval nie żyła, zanim wybuchł pożar.

- No i proszę - stwierdził Monk. — Morderstwo. Sami do tego doszliście. Gdzie tu jest coś nierozwiązywalnego?

- Cierpliwości - powiedział Stottlemeyer. - Czytaj dalej, Randy. Powiedz całą resztę.

- W tchawicy ofiary, w krwawych wybroczynach w spojówkach oczu, które wystąpiły w wyniku zwią-

szonogo ciśnienia krwi w żyłach koroner znalazł fragmenty włókien tkaniny...

- Bla, bla, bla... - przerwał mu Stottlemeyer. -Innymi słowy, ktoś ją udusił poduszką.

- Jednak nie uda nam się zdobyć choćby kawałka narzędzia zbrodni, ponieważ spłonęło wraz z mieszkaniem - wyjaśnił Disher. — Podobnie ma się rzecz z odciskami palców czy innymi śladami, które przestępca mógł zostawić na miejscu zbrodni.

- Nie ma też świadków — ciągnął dalej Stottlemeyer. - Przesłuchaliśmy okolicznych mieszkańców. Nikt nic nie widział i nie słyszał.

- Zatem twierdzicie, że możecie udowodnić morderstwo, ale kto je popełnił, już nie - mówił Monk. — I nigdy wam się nie uda dowieść, kto go dokonał, bo dowody poszły z dymem.

- Trafnie to ująłeś — stwierdził Stottlemeyer. - Mamy do czynienia z morderstwem doskonałym.

Monk przechylił niezgrabnie głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Widziałam wcześniej, jak to robi. Wygląda to tak, jakby próbował rozluźnić sobie zeszywniały kark, ale według mnie, tak naprawdę to chwila, kiedy jego umysł nie chce przyjąć do wiadomości faktów, o których Monk właśnie usłyszał lub które właśnie zobaczył.

- Nie sądzę - powiedział Monk.

- Czyżbyś dostrzegł błąd, jaki popełnił przestępca? - zapytał Stottlemeyer.

Monk przytaknął.

- Nie powinien był zabijać Esther Stoval.

- Może masz na początek coś bardziej treściwego? — rzucił Stottlemeyer.

- Jeszcze nie - odpowiedział Monk. - Ale pracuję nad tym.

- Miło słyszeć — orzekł Stottlemeyer. - Zawsze to jakiś początek.

—Co wiecie o ofierze? - wtrąciłam pytanie.

—Z rozmów z sąsiadami wiemy, że Esther była potworną palaczką i jędzą, której nikt nie cierpiał — powiedział Stottlemeyer. - Gorzej, dla każdego sąsiada była przeszkodą na drodze do grubych pieniędzy.

Jak wyjaśnił, Lucas Breen, szef firmy deweloperskiej specjalizującej się w rewitalizacji starej, zniszczonej zabudowy i nowatorskim przekształcaniu jej w centrum mieszkalno-handlowe, chciał zburzyć sześć brzydkich kamienic i zbudować w ich miejsce aparta-mentowiec w stylu wiktoriańskim oraz małą sieć sklepików. Esther Stoval była jedyną właścicielką domu w całym kwartale, która nie zgadzała się na sprzedaż nieruchomości, czym doprowadzała sąsiadów do białej gorączki, ponieważ ci zadeklarowali już sprzedaż Breenowi swoich domów, a finalizacja projektu uzależniona była również od jej zgody.

—Wygląda na to, że podejrzanych nam nie zabraknie — zauważyłam.

—Każdy z nich mógł to zrobić - stwierdził Stottlemeyer. - Mogli się ustawić do niej w ogonku i kolejno dociskać poduszkę do jej twarzy. Jednak nie ma możliwości, aby udało nam się udowodnić którejkolwiek z tych osób, że była u Stoval w wieczór, kiedy jej dom stanął w płomieniach.

—Może dlatego, że żadna z nich nie dopuściła się tego czynu... - stwierdził Disher.

—Chodzi ci coś po głowie, Randy? - zapytał znużony Stottlemeyer.

—Mam pewną hipotezę - orzekł Disher. - Jest trochę, że tak powiem, niestandardowa.

—Niech będzie - zachęcił go Stottlemeyer.

—Może to koty? - rzucił Disher.

—Koty? - Stottlemeyer na chwilę zaniemówił. -Jak koty mogłyby to zrobić?

—Jak w tym słynnym filmie, w którym gra Robert

Culp. W dalekim laboratorium w Arktyce naukowcy prowadzą badania nad efektami izolacji u małp. Naukowcy są mordowani jeden po drugim i nikt nie wie, kto jest zabójcą. Ci, którzy jeszcze żyją, boją się nawet odwrócić do siebie plecami - mówił Disher. — W końcu zostaje tylko Robert Culp i jakiś jeszcze naukowiec, i...

- To małpy - odgadł Stottlemeyer. - Odwróciły sytuację i tak manipulowały naukowcami, by ci wzaajemnie się pozabijali.

- Skąd pan wie? - zapytał Disher.

Stottlemeyer westchnął ciężko.

- Bo zacząłeś nam opowiadać tę nie kończącą się historię, chcąc podeprzeć próżną hipotezę, że Esther Stoval zabiły koty.

- Może koty celowo zrzuciły na jej twarz poduszkę, potem jeden na nią usiadł, a drugi wytrącił jej z ręki papierosa, który spadł na gazety? — ciągnął Disher. - Może to był akt kociej rebelii przeciwko okrutnej pani?

- To nie jest hipoteza niestandardowa, Randy - powiedział Stottlemeyer. - To jest hipoteza niedorzeczna.

- Koty potrafią być bardzo inteligentne, kapitanie - bronił się Disher.

- Dość już.

Disher otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale Stottlemeyer wyciągnął rękę, żeby go powstrzymać.

- Jeszcze słowo i cię zastrzelę - ostrzegł Stottlemeyer, a potem spojrzał błagalnie na Mońka. - Sam widzisz, jak potrzebna nam jest twoja pomoc.

Monk i guziki

W niedzielę po południu mgła się podniosła. Nad miastem zebrały się za to ciemne chmury, gnane przez zimny wicher, który kręcił poszarpaną, żółtą taśmą policyjną przed spalonym domem Esther Stoval, niczym poporczykami na hucznej imprezie.

Co prawda żadne przyjęcie tu się akurat nie odbywało, jednak w ruchach mieszkających obok młodych małżonków, Neala i Kate Finneyów, którzy ładowali do wynajętej ciężarówki duże, popakowane kartony, zdecydowanie widać było ożywczą energię. Mieszkali w jednym z pięciu domów, które przeznaczono do rozbiórki, aby Lucas Breen *mógł* wybudować swój mieszkalno-handlowy kompleks.

- Mieliśmy u siebie tylko trochę dymu i drobne zniszczenia spowodowane przez wodę, ale teraz, kiedy pani Stoval nie żyje, nie ma już powodu, by pozostawać tu choćby jeden dzień dłużej. - Kate pchała do ciężarówki dwukołowy wózek, załadowany pudłami. - Formalnie dom należy do firmy Lucasa Breena, a wyprowadzka oznacza, że wreszcie dostaniemy należny nam czek.

- Honolulu czeka! - zaśpiewał Neal z wnętrza ciężarówki.

Mimo chłodu miał na sobie hawajską koszulę w krzykliwych kolorach i luźne spodenki. Bił z niego prawdziwy entuzjizm.

- Nawet nie usiłujecie ukryć, że śmierć pani Stoval bardzo was uszczęśliwiła — zauważył Monk.

- Nie - odparł krótko Neal.
- Byliście jej najbliższymi sąsiadami. Esther Stoval stała Breenowi na drodze do wybudowania apartamentowca, a wam do wielkiej wypłaty. Teraz ona nie żyje, a wy pierwszym samolotem lecicie na Hawaje - mówił Monk. - Nie obchodzi was, jak ludzie będą na was patrzeć?
- Bez obaw, zostawiamy policji nasz nowy adres. — Kate podtoczyła pudła do męża, wysunęła spod nich wózek i wróciła do domu po kolejną partię.
- Mielicie doskonały motyw, żeby ją zamordować, a nawet się nie staracie tego ukryć — powiedział Monk.
- To najlepsza obrona - stwierdził Neal, układając pudła w ciężarówce. — Bylibyśmy kompletnymi imbecylami, gdybyśmy chcieli ją puścić z dymem, wiedząc, ile mamy do zyskania.
- To właśnie może być wasz chytry plan - zauważył Monk. - Jest tak oczywiste, że mogliście to zrobić, że nikt nie pomyśli, że to zrobiliście, a tymczasem rzeczywiście to zrobiliście...
- Kiedy wybuchł pożar, siedzieliśmy w restauracji Ruggieros z czwórką znajomych — powiedział Neal. - Gdybym wiedział, co się dzieje, zamówiłbym jeszcze dwie butelki wina i zapłacił za wszystkich rachunek.
- W pożarze zginęła samotna stara kobieta - powiedziała. - Czy to dla was nic nie znaczy?
- Droga pani, nic pani nie wie ani o niej, ani o tym, co znaczyło być sąsiadem Esther Stoval, więc niech mnie pani nie osądza.
- Nie podobali mi się ci ludzie, ich samolubność i nie skrywana chciwość. Czy wraz z domem sprzedali Lucasowi Breenowi swoje dusze?
- Pomyślałam o własnym domu i o tym, ile dla mnie znaczy. Wyszukaliśmy go razem z Mitchem, od razu

pokochaliśmy i wspólnie kupiliśmy. Pod jego dachem urodziła nam się córka. W jego ścianach, w powietrzu, w świetle wpadającym przez okna, wciąż czuję obecność Mitcha. Ten dom to obok Julie ostatni, jaki mi został, prawdziwy łącznik między mną a nim. Nigdy bym tego domu nie sprzedała, bez względu na to, jak bardzo domagaliby się tego ode mnie sąsiedzi.

- Nie przyszło wam do głowy choćby przez sekundę, że pani Stoval chciała zatrzymać dom nie po to, żeby rzucać wam kłody pod nogi lub odmawiać wam bogactwa z jakichś niskich pobudek? - powiedziałam. - Może miał dla niej głęboką wartość sentymentalną? Może kochała to miejsce i nie chciała się z nim rozstawać?

- Mogła tu przecież zostać - powiedziała Kate, która właśnie nadeszła, pchając wózek z kolejnymi pudłami. - Deweloper zaproponował jej mieszkanie w nowym apartamentowcu, wolne od czynszu do końca jej życia, niezależnie od sówitej zapłaty za dom, który by od niej kupił. Doprawdy, trudno o bardziej szczodrego przedsiębiorcę. Mimo to odmówiła.

- To jednak nie to samo.

Zdegustowana odeszłam kilka kroków dalej, by nie słyszeć, co mówią, ale na wypadek gdyby mnie Monk potrzebował, pozostałam w zasięgu jego wzroku. Nie mogłam wytrzymać z tymi ludźmi ani minuty dłużej.

Monk zadał im jeszcze parę pytań. Nie wiem jakich. Może pytał ich, jak to jest żyć bez duszy w ciele. Może pytał ich, jak to jest, kiedy pieniądze przedkłada się nad prawo do szczęścia innego człowieka. Znając jednak Mońka, jestem pewna, że prosił ich, aby ułożyli bagaż w ciężarówce w równe pryzmy, po osiem pudeł z każdej strony, przodem do siebie.

Aubrey Brudnick, intelektualista po czterdziestce, zatrudniony w jednym z instytutów badawczych

w San Francisco, sąsiadował z Esther Stoval z drugiej strony.

- Płacz mi za myślenie - prawil, mówiac przez nos i gryząc w zębach fajkę. — Jeśli nie mogę myśleć, głoduję, dlatego nie znosiłem Esther Stoval.

Patrzac na jego podwójny podbródek i okrągły brzuch, doszłam do wniosku, że trochę głodówki by mu nie zaszkodziło. Brudnick miał na sobie sweter zrobiony ścięciem warkoczowym na drutach, pod nim biały T-shirt, a poza tym luźne brązowe spodnie i skórzane buty do biegania marki Ecco. Nogi trzymał na zarzuconym książkami biurku, ustawionym na wprost okna, które wychodziło na osmalone zgliszcza domu Esther.

- Nie potrafił pan przy niej myśleć?—zapytał Monk.

- Nie tyle przy niej - powiedział Brudnick — ile raczej przy jej kotach.

- Słyszeliśmy, że przygarniała wiele bezpańskich kotów — powiedziałam.

- Miała ich dziesiątki. Ale to nie były zwykłe dachowce — powiedział Brudnick. - To były bardzo egzotyczne koty. Chodziła po schroniskach i wyszukiwała rzadkie rasy. Nie dalej jak parę dni temu przyniosła do domu puszystego tureckiego vana.

Sięgnął po opasłe tomisko z biurka, poszukał jakiejś strony i podał mi książkę. Był to atlas kocich ras, a Brudnick otworzył na stronie ze zdjęciem tureckiego vana, białego kota o sierści przypominającej kaszmir.

- Pan odnotowywał, jakie trzyma koty? - zapytał Monk.

- To moja słabość. Jeśli przeleci obok ptak, muszę wiedzieć, co to było. Jeśli zaparkuje przed moim domem jakiś samochód, muszę poznać historię tej marki. Kiedy ktoś gwizdże jakąś melodyjkę, muszę poznać nazwisko i biografię jej kompozytora - mówił

Brudnick. — Intelktualna dociekliwość to moja wielka słabość, ale zarazem talent.

—Znam to uczucie - powiedział Monk.

—To jedna z przyczyn, dla których koty pani Stoval nigdy nie dawały mi spokoju. Za każdym razem, gdy któregoś z nich widziałem, musiałem zdobywać informacje na temat cholernego zwierzaka - mówił Brudnick. - Naturalnie inna sprawa to odór. Jej dom wydawał się gigantycznym kubłem na śmieci i w wietrzne dni smród niósł się wszędzie razem z kłębkami kociej sierści.

—Próbował pan jakoś zareagować? - zapytał Monk.

- Rozmawiałem z nią - przyznał Brudnick. - Ale powiedziała, żebym pilnował swoich spraw, co w jej ustach wydało mi się cokolwiek ironiczne.

- A to dlaczego?

—Bo ta stara baba nieustannie się gapiła w moje okna, grzebała w mojej skrzynce na listy i czytała moje gazety - wyliczał Brudnick. - Kiedyś zacząłem chodzić po mieszkaniu nago, żeby zapewnić sobie trochę prywatności.

Monk wzdrygnął się na samą myśl o tym. Ja również.

- Nigdy nie pomyślał pan o tym, by zadziałać bardziej bezpośrednio?

- Na przykład spalić jej dom? To pan ma na myśli?

Monk przytaknął. Brudnick się uśmiechnął.

- Ta myśl przychodziła mi do głowy codziennie - odpowiedział. - Jednak zrobiłem co innego, sprze dałem wszystko Breenowi i czekałem na nowy dom w niedalekiej przyszłości, za to daleko od Stoval i jej kociej menażerii.

—Zatem Esther Stoval nie tylko czyniła pańskie życie piekłem - powiedziałam. — Stała się dla pana także przeszkodą na drodze do ogromnej fortuny.

- Nie była moją ulubioną sąsiadką, nie ukrywam. Ale nie życzyłbym jej niczego złego.

- Gdzie pan był w piątek wieczorem między dziewiątą a dziesiątą? - zapytał Monk.

- Zążywałem rozkoszy gorącej kąpeli i oddawałem się lekturze najnowszego numeru „American Spectator” - odparł Brudnick.

Idylla, której obrazek będzie mi się śnił po nocach.

- Był pan sam? - pytał dalej Monk.

- To smutne, ale niestety tak - odpowiedział Brudnick. - Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz znalazłem panią, która zechciałaby dzielić ze mną kąpiel i lekturę „American Spectator”.

Spojrzał przy tym na mnie i uśmiechnął się. Moim zdaniem należy mi się prawdziwe uznanie, mnie i mojemu nieprawdopodobnemu opanowaniu, że w tym momencie nie zwymiotowałem i nie wybiegłem z krzykiem z jego domu.

- Widział pan lub słyszał coś niezwyčajnego? — zapytał znowu Monk.

- Nic, dopóki jej dom nie stanął w płomieniach - odpowiedział Brudnick. - Nie powiem, było to z pewnością coś niezwyčajnego.

To było przygnębiające. Wszyscy sąsiedzi Esther mieszkający po jej stronie ulicy mieli na jej temat to samo zdanie co Finneyowie i Brudnick. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał i nikogo nie obchodziło, co się stało. Wszyscy wyczekiwali z niecierpliwością swojego czeku i kuli, która miała zburzyć ich domy.

Przeszliśmy na przeciwną stronę ulicy, aby sprawdzić, co mają do powiedzenia inni sąsiedzi, ci, którzy nie sprzedawali swoich domów i którzy w żaden sposób nie zyskali na śmierci Esther Stoval.

Najpierw trafiliśmy na Burtona Joynera, kościstego programistę komputerowego, aktualnie bezrobot-

nego, który naprawiał w swoim garażu starego amc pacera, samochód wyglądający jak ford pinto w ciąży (tak na marginesie, pinto był moim pierwszym w życiu samochodem, ale tylko do czasu, kiedy mój tato usłyszał, że pinto eksplodują po uderzeniu owada w przednią szybę, i natychmiast kupił mi plymoutha duste-ra). Poza pacerem Joyner miał jeszcze amc gremlina i amc ambassadora, które stały zaparkowane na ulicy.

- Będę z panem szczerzy, panie Monk. Cieszę się, że już jej tu nie ma — stwierdził sucho Joyner, dociskając coś kluczem francuskim.

- Ona nigdzie nie wyjechała - wtrąciłam. — Pan mówi w taki sposób, jakby się przeprowadziła do Palm Springs. Tymczasem pani Stoval została zamordowana.

- Padła ofiarą złej karmy, którą sama wyhodowała — odpowiedział Joyner. — Była podłą i mściwą osobą, która uprzykrzała życie, komu tylko się dało w całym sąsiedztwie. Już teraz można wyczuć różnicę. Poziom stresu gwałtownie opadł.

- A wartość nieruchomości gwałtownie pójdzie w górę - wpadł mu w słowo Monk - gdy tylko po drugiej stronie ulicy stanie nowy kompleks.

- Prawdę mówiąc, ten kompleks niewiele dla mnie znaczy. Jego budowa nie zmieni mojej sytuacji, dlatego trzymam się z dala od tej sprawy. Jestem typem faceta, który lubi utrzymywać z wszystkimi dobre stosunki. - Joyner się wyprostował i wytarł ręce w dzinsy, brudząc je smarem. - Jak to mówią, żyj i pozwól żyć innym.

- Ja też jestem takim człowiekiem - powiedział Monk. - Wytarł pan ręce w spodnie.

- Tymczasem Esther nie była taka jak ja czy pan. Siadała z lornetką w oknie, robiła notatki, zdjęcia, nieustannie wtykała nos w nie swoje sprawy. Kiedyś

podejrzała, jak na kanale ESPN oglądam baseball, więc zadzwoniła do operatora telewizji kablowej i doniosła, że podkradam sygnał przez nielegalny konwerter.

- A podkradał pan? - zapytałam.

- Nie w tym rzecz - odpowiedział Joyner. — Co jej szkodziło, że siedzę sobie wygodnie w fotelu w salonie i oglądam w telewizji mecz baseballowy?

- Pan pobrudził sobie spodnie - powiedział Monk.

- Nie szkodzi, to robocze spodnie - odpowiedział Joyner. — Dam jeszcze jeden przykład. Moim hobby jest remontowanie i kolekcjonowanie starych samochodów amc. Parę aut musiałem jednak ostatnio sprzedać, żeby utrzymać płynność finansową do czasu znalezienia nowej pracy. Esther zrobiła zdjęcia osób kupujących ode mnie auta na ulicy i zawiadomiła urząd miejski, który nałożył na mnie grzywnę dwóch tysięcy dolarów za nielegalne prowadzenie działalności gospodarczej poza obrębem miejsca zamieszkania.

- Co miała przeciwko panu? - zapytał Monk.

- Absolutnie nic. Nigdy nic jej nie zrobiłem. Każdego tak traktowała. Miała swój pogląd na życie i wymagała, żeby trzymał się go również każdy inny. Chore, prawda?

- Kompletnie chore - zgodził się Monk. — Może pan iść zmienić spodnie. My tu zaczekamy.

- Nie chcę zmieniać spodni.

- Doprawdy, powinien pan - nie ustępował Monk.

- W tych jest mi dobrze.

- Później mi pan podziękuj.

- Nie podziękuję - odpowiedział Joyner. — Macie jeszcze jakieś pytania? Chciałbym już wrócić do pracy.

- Gdzie był pan w piątek między dziewiątą a dziesięcią wieczór?

- Tu, w domu. Robiłem pranie.

- Rozumiem - wtrącił Monk - Zatem nie za-

przeczy pan, że ma do dyspozycji parę czystych spodni, w które mógłby się pan teraz przebrać?

—O co panu chodzi? - zniecierpliwił się Joyner.

—Niech pan pomyśli o złej karmie, jaką tworzą te spodnie - powiedział Monk. - Czy widział pan, by ktoś odwiedzał panią Stoval w piątek o tej porze?

Joyner pokręcił głową.

—Nie podglądam, co się dzieje u sąsiadów. Nie patrzę, kto do nich przychodzi, kto od nich wychodzi ani co oglądają w telewizji.

Wytał ręce w koszulę - celowo, jak mi się wydawało - wziął do ręki klucz francuski i wrócił do pracy.

—Dlaczego pan to robi? — zapytał jeszcze Monk. — Teraz będzie pan musiał zmienić również koszulę.

—Chodźmy już, panie Monk - powiedziałam. — Musimy porozmawiać z innymi sąsiadami.

—Ale nie możemy go tak zostawić - upierał się Monk.

—Chodźmy. - Pociągnęłam go za płaszcz i wyprowadziłam na ulicę.

Monk poszedł za mną, choć niezbyt szczęśliwy. Wciąż się odwracał i patrzył na dom, z którego właśnie wyszliśmy.

—Nie wiem, jak możesz przymykać oczy na cierpienia innych ludzi.

—On wcale nie cierpi - zaprzeczyłam.

—Ja cierpię.

Po wysłuchaniu opowieści Joynera i jego sąsiadów zaczynałam się zastanawiać, czy jednak zbyt pochopnie nie oceniłam Kate i Neala Finneyów. Wyglądało na to, że Esther Stoval nie robiła nic, by wzbudzić sympatię i zrozumienie. Zastanawiałam się także, jak ja sama bym się czuła, gdyby przyszło mi mieszkać rok za rokiem w sąsiedztwie takiej Esther Stoval. Może też tańczyłabym z radości nad jej grobem.

Wkrótce została nam ostatnia osoba, z którą Monk koniecznie chciał porozmawiać, choć chyba tylko dlatego, że po każdej stronie ulicy stało sześć domów i nie zdzierżyłby, gdyby się spotkał z nieparzystą liczbą sąsiadów Esther.

Lizzie Draper mieszkała w wiktoriańskim domu na samym rogu - jej mieszkanie było jednocześnie pracownią artystyczną. Było to jasne, przestronne i widne miejsce, urozmaicone kolorowymi bukietami kwiatów, z których jeden wykorzystywała do malowanej właśnie martwej natury. Łatwo pojęłam dlaczego. Bukiet tworzył urzekający melanż zielonych orchidei, niebieskich hortensji, czerwonych i żółtych lilii, pomarańczowych róż, koralowych piwonii, purpurowego trachelium, żółtej celozji i czerwonego amarylisu.

Szkoda tylko, że Lizzie Draper brakowało talentu, by uchwycić na płótnie te żywe barwy i naturalne piękno bukietu. Dookoła widać było inne jej obrazy, szkice, rzeźby i muszę powiedzieć, że lepsze prace widziałam na szkolnej wystawie w podstawówce Julie.

Jedyną rzeźbą, którą można było szczerze podziwiać, był jej biust; dwa olbrzymie implanty, niczym dwie piłki koszykowe wetknięte za luźną, dzinsową koszulę. Trzy górne guziki koszuli miała rozpięte, prowokująco ukazując głęboki rowek między piersiami.

- Nazywam się Adrian Monk, a to Natalie Teeger - przedstawił nas Monk. - Pomagamy policji w śledztwie w sprawie morderstwa Esther Stoval.

Monk wpatrywał się w dekolt Lizzie Draper. Jej wyraźnie to schlebiało, ale ja wiedziałam, że wcale nie dekolt przyciąga jego wzrok. Trzy guziki. Jeśli nie zapnie jednego z nich lub nie odepnie czwartego, to Monk może dostać wylewu.

—Chciałbym zadać pani we trójkę pytania - po wiedział.

- We trójkę? - zapytała.
- Sądę, że chodzi o trzy pytania - wtrąciłam. —
Prawda, panie Monk?

- Czy w piątek wieczorem usłyszała pani lub zauważyła coś niezwykłego? - To pytanie Monk rzucił w kierunku guzików.

- Nie było mnie w domu - padła odpowiedź. - Pracowałam. Jestem barmanką w klubie Flaxx.

Znałam ten przybytek. Był to modny i gorący klub na Market Street — miejsce, gdzie ludzie piękni, młodzi i bogaci przychodzą się napawać tym, że są piękni, młodzi i bogaci. Kiedyś nawet starałam się tam o pracę, ale nie miałam wystarczających kwalifikacji. Tymczasem Monk wciąż wpatrywał się w kwalifikacje Lizzie Draper.

- Nie jest pani artystką? - zapytałam.

- Jestem artystką, ale nie pracuję jako artystka. Nie utrzymuję się z tego, jednak to trzyma mnie przy życiu. To...

- Chyba zrozumiałam - przerwałam jej.

Znowu spojrzała na Mońka, który wciąż nie mógł oderwać oczu od guzików.

- O której wróciła pani do domu?

Coraz trudniej było mu się skoncentrować. Nawet oddychać.

- Po północy - odpowiedziała Lizzie. - Ulica była już zamknięta. Wszędzie było widać strażaków. Nie chciało mi się wierzyć, że coś takiego mogło się tutaj zdarzyć.

W końcu także ona nie wytrzymała zainteresowania, jakim Monk obdarzał jej dekolt. Ugięła się lekko w kolanach, by spojrzeć mu w twarz, lecz Monk poszedł za jej ruchem i pochylił się, aby nie stracić guzików z oczu.

- Panie Monk, odkąd wszedł pan do mojego domu, ani razu nie spojrzał mi pan w oczy.

- Najmocniej przepraszam, to te, ee... — Monk wskazał guziki. - Wciąż odwracają moją uwagę.

- Piersi, och, jak miło. - Lizzie się wyprostowała i uśmiechnęła z fałszywą skromnością. - Nie było moim zamiarem krępować pana. Są nowe i nie kryję, że po prostu lubię je trochę pokazać.

- Powinna być para — stwierdził Monk.

- I jest para, tak jak wymyślił sobie Bóg.

- Ewentualnie cztery.

- Cztery?

- To w każdym razie nie jest naturalne - powiedział Monk, kierując palec mniej więcej na rowek między pierśmi. — Pani koniecznie musi coś z tym zrobić.

- Co. ..Co pan powiedział?!

W ułamku sekundy jej uśmiech przeistoczył się w pełen gniewu, szydery półuśmieszek. Nie wyglądało to ładnie.

- Chyba zaszło pewne nieporozumienie — pospieszyłam z wyjaśnieniem, co można było jednak porównać z próbą zatrzymania rozpędzonego pociągu, który wyskoczył z szyn i sunie wprost na przedszkole. -Pan Monk nie ma na myśli tego, o czym pani myśli...

- Nie ma powodu do gniewu - odezwał się Monk. - To bardzo łatwo da się poprawić. Sama może to pani zrobić.

Lizzie Draper podeszła zdecydowanym krokiem do drzwi i otworzyła je szeroko.

- Wyñoście się. Natychmiast.

Monk podniósł ręce w geście poddania, rzucił mi znaczące spojrzenie i wyszedł. Próbowałam jeszcze przeproszać, ale Draper wyprosiła mnie z domu i zastraszyła za nami drzwi.

- Rozumiesz coś z tego? - Monk kręcił głową w nie dowierzaniu. - Dzisiaj ludzie wściekają się o byle co.

Monk co nieco wyrównuje

Julie siedziała na wannie, przypatrując się, jak czeszę się przed lustrem, nakładam delikatny makijaż i przygotowuję się do randki ze strażakiem Joem. Drzwi do łazienki były zamknięte, więc wiedziałam, że Monk nie może zakłócić nam chwili prywatności. Julie też to wiedziała.

—Chyba nie zamierzasz mnie z nim zostawiać, prawda? - zapytała.

—Pan Monk to bardzo sympatyczny człowiek — powiedziałam.

—To dziwak.

—Większy niż pani Throphamner? — zapytałam, mając na myśli jej opiekunkę. - Przynajmniej podczas oglądania telewizji nie będzie wyciągał z ust sztucznej szczęki i trzymał jej obok w szklance z wodą.

—Mamo, dzisiaj rano nie pozwolił mi zawiązać butów, ponieważ końcówki sznurowadeł nie miały tej samej długości. Potem, kiedy ponownie nawlekłam sznurowadła, dla pewności zmierzył końcówki!

—W ten sposób stara ci się pokazać, jak bardzo o ciebie dba.

—To jeszcze nie wszystko. Uparł się, że sam mi zawiąże buty, ponieważ kokardki, które zawiązuję, jego zdaniem nie są symetryczne.

—Zapewniam cię, dziś wszystko będzie dobrze, wystarczy postępować według paru prostych reguł. Nie prosz go, żeby podjął jakąś decyzję. Niczego mu

nie dezorganizuj. Nie wiem, co masz w planie, ale absolutnie nie smaż popcornu.

- Dlaczego nie?

- Bo w popcornie nie ma dwóch takich samych ziaren. Wpada przy tym w szal.

- Jezu... To można je odróżnić?

Zupełnie niedawno Julie odkryła siłę sarkazmu, idealne dla niej narzędzie do wyrażenia rosnącej frustracji, powszechne wśród dzieciaków w jej wieku, zmuszonych tolerować władzę rodzicielską.

- Najbardziej lubi płatki Wheat Thins. Są kwadratowe. W spiżarni mamy jedno nie otwarte pudełko.

- Dlaczego nie mogę iść z tobą?

- To randka - odpowiedziałam.

- Kto powiedział, że córki nie można zabierać na randki?

- Czy ja się wpraszam do twoich koleżanek, kiedy znikasz u nich na dwa dni?

- Chcesz z nim spędzić noc?

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziałam. - Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o to, że muszę mieć trochę czasu dla siebie. Chciałabyś, żebym chodziła z tobą na twoje randki?

- Nie chodzę na randki - odpowiedziała. - Jeszcze mi nie pozwalasz.

- No dobrze, ale gdybyś chodziła, to chciałabyś mnie wziąć ze sobą?

- Niech ci będzie... - Westchnęła ciężko, a westchnienie to zabrzmiało jak gniewny pomruk. - To co mam robić, gdy ty się będziesz bawić w najlepsze?

Zaczęłam sprzątać bałagan, który zostawiłam na umywalce.

- Rób to, co zawsze. Obejrzyj jakiś film. Poczytaj trochę. Pogadaj z przyjaciółmi przez Internet.

- A co z panem Monkiem?

Spojrzałam na mokre ręczniki rzucone niedbale na prąt od zasłony prysznicowej, na żyletką, którą goliłam sobie nogi, i na waciki na podłodze, którymi nie trafiłam do kubelka... I w mojej głowie zrodził się podstępny, diabelski plan. Postanowiłam to wszystko zostawić.

- Nie martw się o pana Mońka - powiedziałam, całując ją w policzek. - Będzie zajęty przygotowywa niem łazienki na poranny prysznic.

Rzuciłam jeszcze w lustro ostatnie krytyczne spojrzenie i uznając, że bez kosztownej ingerencji chirurga plastycznego nic więcej nie da się zrobić, wyszłam z łazienki. W samą porę, bo Joe pukał już do drzwi.

Otworzył je Monk, chwytając klamką przez chusteczkę - może na wypadek, gdyby wcześniej, kiedy nikt z nas tego nie widział, dotykał jej jakiś osobnik zarażony dżumą.

W krótkiej skórzanej kurtce, polo i sztruksowych spodniach Joe prezentował się równie znakomicie jak w strażackim mundurze. Miałam wrażenie, że we wszystkim jest mu do twarzy. W jednej ręce trzymał śliczny bukiet róż, goździków i powoju, a w drugiej małe zawiniątko.

- Przyszedł pan bardzo punktualnie. - Monk postukał w zegarek. - Co do sekundy. Niesamowite.

- Pan Monk? - powiedział Joe, unosząc ze zdumieniem brwi. - Nie wiedziałem, że pan i Natalie...

- Ależ skąd - przerwałam mu. - Pan Monk mieszka u nas tymczasowo, bo w jego domu zarządzono dezynsekcję. Wyglądasz świetnie, Joe, tak na marginesie. I wcale nie jest to spóźniona uwaga, zauważyłam to zaraz, kiedy wszedłeś, to znaczy, chodzi mi o to, że...

- Mamo — powiedziała Julie.

Wie, że kiedy jestem podenerwowana, mam skłonność do paplania w nieskończoność, i zawsze stara

się mnie powstrzymać, głównie po to, żeby sobie, nie mnie, zaoszczędzić wstydu.

- To dla was - powiedział Joe, wyciągając do mnie bukiet kwiatów, a do Julie zawiniątko.

- Z jakiej okazji? - zapytała Julie.

- Otwórz i zobacz - zachęcił Joe.

Julie aż jęknęła z wrażenia, kiedy zobaczyła, co jest w pudełeczku. Wyjęła z niego małą czerwoną odznakę, podobną do tej, którą kapitan Mantooth wręczył Monkowi, tyle że miała emblemat z kością dla psa.

- To strażacka odznaka Sparky'ego — powiedziała Julie. - Nie mogę jej przyjąć.

- Chciałbym, żebyś właśnie ty ją dostała — oświadczył Joe. - Za to, że tak bardzo go kochałaś i że wynajęłaś najlepszego detektywa w San Francisco, żeby odnaleźć jego zabójcę.

Nie miało już dla mnie znaczenia, co Joe może mówić czy robić w czasie randki; już zdobył moje serce. Również serce Julie, która uścisnęła Joego.

- Mama powiedziała, że mogę iść z wami.

- Wcale tak nie mówiłam - wtrąciłam szybko, zanim Joe zdążyłby cokolwiek odpowiedzieć. - Zostajesz z panem Monkiem.

- Będzie wesoło - zapewnił Monk. - Pobawimy się klockami lego.

- Mam już dwanaście lat - oświadczyła Julie z oburzeniem. - Nie mam lego!

- Całe szczęście, że przyniosłem swoje - powiedział Monk.

- Pan się bawi klockami lego? — zapytała oszołomiona Julie.

- Żartujesz sobie? Jestem ich namiętym wielbicielem, prawdziwym demonem lego! Już mnie rozpała klockowa gorączka.

Julie spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem, jakbym zostawiała ją wilkowi na pożarcie.

—Mamo, błagam. Ten człowiek ma klocki lego.

—Och, to może być naprawdę ekscytujące — powiedział Monk - Zanim jednak zwiększymy sobie dawkę emocji, zaczniemy od prostych konstrukcji.

—Niech Julie się za bardzo nie emocjonuje - zwróciłam Monkowi uwagę. - Jutro idzie do szkoły.

Dałam jej buziaka i czym prędzej wyprowadziłam Joego z domu.

To nie jest opowieść o mnie ani o moich miłosnych przygodach, lecz o Adrianie Monku i o tym, jak rozwikłał dwa zagadkowe morderstwa, więc nie będę was zanudzać szczegółami mojej randki ze strażakiem Joem. Ech, kogo ja chcę oszukać? To moja książka i będę pisała, na co mam ochotę. Jeśli wam się to nie podoba, pomińcie te parę stron i czytajcie sobie dalej.

Niektórzy mężczyźni na pierwszej randce próbują zrobić na kobiecie dobre wrażenie; zapraszają ją do wytwornej albo modnej restauracji lub proponują jakąś małą podróż w nieznane. Ale moim zdaniem na pierwszej randce chodzi o to, żeby się zaprezentować drugiej osobie, pokazać, kim jesteś, co jest dla ciebie ważne, jaki masz stosunek do życia. Rozumiem, że w pewien sposób dowiadujesz się tego, kiedy jakiś facet próbuje zaszpanować ekstrawagancją lub błyskotliwymi uwagami. Jednak w ten sposób mówi mi po prostu, że nie jest chłopakiem dla mnie.

Joe zabrał mnie do swojej ulubionej restauracji w Chinatown, małej, prowadzonej przez jedną rodzinę, z dziesięcioma stolikami i wypchanymi kaczkami w oknach, które miały skusić przechodnia, by wszedł i zamówił jakąś potrawę. Monk uciekłby stąd z wrzaskiem.

Joegowszyscy tu znali, więc czułam się tak, jakbym jadła obiad z całą jego rodziną. Jedzenie było

smaczne. I tanie. Inna kobieta odeszłaby może w przeświadczeniu, że Joe jest dusigroszem. Ale ja nie. Joe pokazał się w moich oczach jako człowiek ufny, nie robiący problemu z byle czego, lubiany przez innych i pogodzony z życiem. Poza tym, będąc samotną matką z ograniczonymi dochodami, sama zwykle szukam restauracji na moją kieszeń. Joe pokazał się również jako ktoś stateczny i godny zaufania — mężczyzna, który ucieka od stałej znajomości i zobowiązań, nie chodzi od lat do jednej restauracji i nie ma dobrych znajomych wśród jej personelu.

Rozmawialiśmy o tym, o czym zwykle dwie osoby rozmawiają na pierwszej randce. W skrócie opowiedzieliśmy sobie historie naszego życia. Staralam się mówić głównie o sobie, nie wdając się szczegółowo w okoliczności śmierci Mitcha, aby nie wpędzać siebie i Joego w ponury nastrój. Od niego natomiast dowiedziałam się, że dorastał w Berkeley, że jego ojciec był poetą, a matka strażniczką w parku narodowym i że nigdy nie był żonaty.

Niebawem rozmowa zeszła na straż pożarną. Joe opowiedział mi parę pasjonujących opowieści o pożarach i barwną historię swojej remizy. Zbudowano ją po trzęsieniu ziemi w 1906 roku w miejscu jakiegoś starego pensjonatu, który był ostatnią kryjówką sławnego zabijaki Rodericka Turlocka, który napadał na pociągi i ośmieszał detektywów Pinkertona brawurowymi rabunkami złota.

Skoro mowa była o straży pożarnej, poruszyłam oczywiście temat śledztwa w sprawie śmierci Sparky'ego. Powiedziałam Joemu wszystko, o czym się dowiedzieliśmy; także to, że Gregorio Dumas, jak twierdzi, widział strażaka, który wychodził z remizy pół godziny po tym, jak załoga wyjechała gasić pożar w domu Esther Stoval.

Joe powiedział, że Gregorio musiał kłamać, po-

nieważ do akcji wyjechali wszyscy strażacy na służbie tego dnia. Nikt nie został w remizie i nikogo tam później nie odesłano.

Zauważyłam, że temat Sparky'ego mocno go przynębił, więc opowiedziałam mu parę zabawnych historii Mońka, który nieustannie budzi moje zdumienie, bo potrafi rozwikłać najbardziej skomplikowane i tajemnicze morderstwa, a boi się wejść do budki telefonicznej.

Kiedy wyszliśmy z restauracji, włączyliśmy się trochę bez celu po Chinatown, a potem zajrzeliśmy do księgarni City Lights, na rogu Broadwayu i Columbus Street, żeby przejrzyć ciekawsze tytuły. Podobało mi się, że dobrze się czujemy w swoim towarzystwie nawet wtedy, gdy nic nie mówimy, a tylko stoimy obok siebie i patrzymy na książki.

Kiedy Joe mnie odwoził, zegarek wskazywał już prawie północ. Dzieliło nas od domu może kilka przecznic, gdy zjechał do krawężnika przy parku Delores, na rogu Church i Dwudziestej. W nocy strach było chodzić po parku, tylu włączyło się tutaj bezdomnych i dilerów narkotykowych.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy? - zapytałam.

- Chciałem tylko oddać cześć - odpowiedział.

Joe wysiadł z samochodu i podszedł do pomalowanego na złoty kolor hydrantu pożarowego. Ja także wysiadłam i podeszłam do niego, rozglądając się dookoła z obawą, czy nie podchodzą do nas mordercy, gwałciciele albo jacyś naćpani narkomani.

- Dlaczego tu przyjechaliśmy? - zapytałam.

- Ten mały hydrant uratował San Francisco po trzęsieniu ziemi w tysiąc dziewięćset szóstym roku - wyjaśnił, patrząc na niego w zadumie.

Spojrzałam na hydrant. Nigdy nie wydawał mi się jakiś nadzwyczajny, chociaż oczywiście widziałam, że tutaj stoi, głównie wtedy, gdy obsikiwał go jakiś psiak.

- Ten? - zapytałam. - Wydaje mi się, że stoi daleko od centrum.

- Wstrząsy zniszczyły wszystkie inne hydranty w mieście. Szalejący ogień powstrzymała w końcu woda, która szła stąd, z tego hydrantu. Ci, którzy przeżyli trzęsienie, przychodzili tu potem każdego roku, osiemnastego kwietnia o piątej rano, i malowali hydrant złotą farbą. Są ludzie, którzy wciąż to robią, ale tradycję przejęło nasze Towarzystwo Bosaka i Drabiny Strażackiej św. Franciszka. Niestety, opuściłem dwie ostatnie rocznice.

Pomyślałam, że zaszaluje hydrantowi czy coś w tym rodzaju, ale on tylko skinął lekko głową i po chwili wróciliśmy do samochodu. Ciekawa byłam, czy każdy strażak jest tak zainteresowany historią i legendami straży pożarnej San Francisco jak Joe.

Dwie minuty później podwiózł mnie pod dom i odprowadził pod same drzwi. Chciałam uniknąć niezręcznych chwil, więc przejęłam inicjatywę i dałam Joemu krótkiego, przyjacielskiego buziaka w usta.

- Cudownie się bawiłam - powiedziałam. - To był naprawdę wspaniały wieczór.

- Ja też - odpowiedział Joe. - Mam nadzieję, że będziemy mogli się jeszcze spotkać?

Nie miałam zamiaru utrzymywać go w niepewności. Ani siebie.

- Kiedy masz wolne?

Uśmiechnął się szeroko.

- W środę.

- Zatem do środy - orzekłam. - O tej samej godzinie?

- O tej samej godzinie.

On też mnie pocałował, trochę bardziej po przyjacielsku niż ja jego.

Otworzyłam kluczem drzwi i weszłam do środka. W sekundzie mnie zmroziło. Coś tu nie grało. To zna-

czy, zdecydowanie znajdowałam się we własnym domu — to wszystko były moje rzeczy - ale coś tu jednak nie grało. Coś było nie tak. Bardzo dziwne. Jakbym przeniknęła przez drzwi w odmienny wszechświat. Jakbym nie stała we własnym domu, lecz w jego fantastycznej rekonstrukcji. Na jakimś planie filmowym.

Zamrugałam kilka razy i jeszcze raz się rozejrzałam. Co dawało mi to poczucie, że przebywam w zupełnie innym wymiarze?

Z kuchni wyszedł Monk ze szklanką mleka.

—Zadowolona z randki? — zapytał.

—Joe to uroczy człowiek - odpowiedziałam.

Opowiedziałam Monkowi historię budynku straży pożarnej, powiedziałam o rabusiu, który napadał na pociągi, i o tym, jak Joe wytknął kłamstwo Gregorio-wi Dumasowi, który twierdził, że widział strażaka wychodzącego z remizy. Monk myślał przez chwilę nad tym, co ode ranie usłyszał, próbując poluzować sobie ów nie istniejący supeł w karku.

—Jak się panu udał wieczór z Julie? — zapytałam.

—Zajmowaliśmy się trochę klockami.

Monk wskazał kuchnię. Spojrzałam dalej, poza jego plecy, i zobaczyłam na naszym stole potężny, dopracowany w każdym szczególe, zamek z klocków lego, ze zwodzonym mostem, basztami i nawet fosą. Zbudowanie czegoś takiego zajęłoby mi chyba rok.

—Ma dziewczyna smykałkę - powiedział z dumą.

—Naprawdę?

—Myślę, że po odpowiednim treningu i przy większym doświadczeniu mogłaby zostać mistrzynią lego.

—Jak pan?

—Nie lubię się przechwalać...

—Co robił pan przez resztę wieczoru? - zapytałam i znowu poczułam się niepewnie i niespokojnie.

—Wyrównałam tu co nieco.

Więc to o to chodziło.

Rozejrzałam się jeszcze raz po pokoju i wreszcie dostrzegłam to, co wcześniej docierało do mnie tylko podświadomie. Monk zrobił dokładnie tak, jak powiedział: wszystko wyrównał. Dosłownie. Musiał chyba użyć do tego przykładnicy i poziomnicy. Moje rzeczy wciąż tu się znajdowały, tyle tylko, że trochę poprzesuwane. Wyrównane w linii do innych. Meble zostały wyśrodkowane względem jednego punktu, każdy z nich został na nowo ustawiony wobec drugiego w takiej samej, dokładnie odmierzonej odległości. Obrazy na ścianach zostały na nowo powieszony tak, że dzieliła je stała odległość. Bibeloty i ramki ze zdjęciami na stolikach i półkach zostały pogrupowane według wysokości i kształtu i odsunięte od siebie w równych odstępach. Czasopisma leżały ułożone według tytułów, a każdy tytuł według chronologii wydania. Książki Monk ustawił w porządku alfabetycznym, a następnie według rozmiaru i, jak się zorientowałam, także według roku wydania.

Salon, a jak się domyślałam, zapewne całe mieszkanie, był czyściutki i wysprzątny, idealnie sterylny. Wyglądał jak model wzorcowy. Nienawidziłam czegoś takiego.

- Panie Monk, wszystko w moim domu jest teraz proste, wyśrodkowane i poukładane w idealnym porządku.

- Dziękuję ci. - Promieniał dumą, co jeszcze bardziej mnie poirytowało i rozwścieczyło.

- Nie. To źle. Nie rozumie pan? Pan pozbawił mój dom charakteru i uroku.

- Ależ wszystko tu zostało - zapewnił Monk. - Wszystko oprócz brudu, kurzu i połowy upieczonej na grillu kanapki serowej, którą znalazłem pod kanapą.

- Ale nie ma już ani krzty rosgardiaszu — powiedziałam. — Wygląda tak, jakby mieszkały tu roboty.

—Czy to niedobrze?

—Tu mieszkają ludzie, panie Monk. Osiem lat małżeństwa, dwanaście lat matkowania, to wszystko zostawia ślady. Lubię te ślady. Są dla mnie pociechą. Właśnie te fotografie na półce ustawione bez ładu i składu, ta nie przeczytana książka, wciąż otwarta na oparciu fotela, tak, nawet ta zapomniana kanapka serowa z grilla. Rozgardiasz i nieporządek to oznaki życia. Życia.

—Nie mojego.

W tych dwóch słowach krył się taki niewysłowio-ny smutek, że poczułam autentyczny ból. Na krótką chwilę zapomniałam o własnym rozgoryczeniu i zaczęłam myśleć.

Życie Mońka polegało na wytrwałym dążeniu do porządku. Jestem pewna, że właśnie dlatego został detektywem i dlatego tak znakomicie potrafi rozwikływać tajemnice morderstw. Dostrzega każdy drobiazg, który nie pasuje do całości, i umieszcza go we właściwym miejscu, dochodząc do rozwiązania. Przywracając porządek.

Jedyną tajemnicą, której nie potrafił dotąd rozwikłać, jest ta, która leży w samym sercu jego wewnętrznego nieładu.

Tajemnica morderstwa jego żony.

Wszystko, co robił, sprzątanie mojego mieszkania, sprawdzanie długości sznurowadeł w butach mojej córki, to tylko namiastka idealnego porządku, który stracił wraz z odejściem Trudy. Ten porządek już nigdy nie wróci.

Nie mogłam mu tego wszystkiego teraz powiedzieć. Ujęłam go tylko za rękę.

—Pańskie życie to o wiele większy bałagan, niż się wydaje, prawda, panie Monk? Ja też jestem bałaganem i częścią tego życia, prawda?

—Ty i Julie - powiedział Monk. -1 cieszę się z tego.

- Ja też, panie Monk.
- Ostatnio właściwie dosyć się uspokoiłem.
- Naprawdę?
- Nie zawsze byłem taki bezproblemowy jak teraz - powiedział Monk.—Kiedyś byłem bardzo drażliwy.
- Wyobrażam sobie. - Uścisnęłam jego rękę i puściłam ją. - Proszę, niech pan już więcej nic nie wyrównuje w moim domu.

Skinął *głową* na zgodę.

- Dobranoc, panie Monk.
- Dobranoc, Natalie.

Poszłam do swojej sypialni. Dopiero w łóżku, prawie już zapadając w sen, zdałam sobie sprawę z tego, że trzymałam go za rękę, a on nie poprosił mnie o chusteczkę. Nawet jeśli później ją umył, to przynajmniej nie zrobił tego na moich oczach. To musiało coś oznaczać. Nie wiem co, ale coś dobrego.

Monk na trzydziestym piętrze

Wyrównywanie wszystkich rzeczy w domu musiało Mońka niesłychanie wyczerpać, bo w poniedziałek rano Julie udało się wstać z łóżka przed nim i w wyścigu do łazienki była o parę sekund szybsza. O szóstej niemal się zderzyli w drzwiach.

—Ja pierwszy muszę skorzystać z łazienki — oznajmił Monk.

—Chodzi o to małe czy o to duże?

—Uważam, że konstytucja gwarantuje mi prawo nieodpowiadania na to pytanie.

—Muszę tylko wiedzieć, jak długo będzie pan przebywał w łazience - wyjaśniła Julie, władczo trzymając drzwi ręką, przez którą miała przewieszony szkolny ubranie.

—Nie dłużej niż zwykle.

—Tak długo nie mogę czekać — stwierdziła Julie. - Lekcje zaczynają się kwadrans po ósmej, a nie w południe.

Zamknęła mu drzwi przed nosem. Monk patrzył przez chwilę na zamknięte drzwi, a potem spojrzął na mnie. Stałam w progu sypialni i nawet się nie starałam ukryć rozbawienia.

—Czy ona musi tak często chodzić do łazienki? - zapytał mnie Monk.

—Wolałby pan, żeby w ogóle się nie kąpała?

—Ale łazienka była przygotowana dla mnie. Wczoraj wieczorem długo ją czyściłem.

- Wczoraj wieczorem wszystko pan... czyścił - powiedziałam i przeszłam obok niego do kuchni.

Zamku z lego już nie było. Monk musiał rozłożyć klocki i poukładać je z powrotem w pudełkach jeszcze przed pójściem do łóżka. Nic dziwnego, że rano zasnął. Otworzyłam spiżarnię, by wziąć bajgla, i spostrzegłam, że tu również Monk poprzekładał pudełka i puszki według rodzaju żywności i daty ważności.

Monk podszedł i nie zważając na mnie, sięgnął po pudełko płatków Chex. To płatki, które są uformowane w niemal idealne kwadraty z pokruszonych ziaren pszenicy. Te mniej doskonałe Monk wybierze z miski, zanim naleje do niej mleka.

Otworzyłam szafkę, by podać mu miskę, i w osłupieniu zobaczyłam, że szafka jest pusta. Nie było w niej ani jednej miski, ani jednego talerza, ani w ogóle żadnego naczynia, po prostu zobaczyłam gołe półki.

Obejrzałam się, by spojrzeć na Mońka, który siedział przy stole, pracowicie wybierał płatki z pudełka i zjadał je bez mleka.

- Co się stało z moimi naczyniami? - zapytałam.

Nie uniósł nawet głowy i wciąż udawał, że całą uwagę skupia na wymagającym zadaniu selekcjonowania płatków.

- To trochę skomplikowana sprawa - powiedział w końcu.

- Nie widzę tu nic skomplikowanego, panie Monk. Wczoraj wieczorem miałam szafę pełną naczyń, a dzisiaj rano jej nie mam. Co się stało z naczyniami?

- Miałaś siedem miseczek, a tak nie może być. Powinnaś mieć osiem albo sześć, ale nie siedem. Zrozumiałe więc, że jedna musiała zniknąć. Okazało się jednak, że miałaś osiem talerzy. Sama widzisz, jaki powstał problem.

- Widzę, że nie mam żadnych naczyń. To jest problem.

- Wiadomo, nie można mieć sześciu miseczek i ośmiu talerzy, więc dwa talerze musiały zniknąć. Potem jednak zauważyłem, że niektóre talerze i miseczki były obtłuczone i nie wszystkie w tym samym miejscu. Miałas komplet stołowy, który w ogóle nie był kompletem. Stałem wobec sytuacji, która się wymykała spod kontroli i zmierzała ku absolutnemu chaosowi. Jediną rozsądną rzeczą, jaką mogłem zrobić, było pozbycie się wszystkich naczyń.

Dopiero wtedy Monk spojrział na mnie, najwyraźniej oczekując wyrazów sympatii i zrozumienia z mojej strony. Jego niedoczekanie, za diabła tego u mnie nie zobaczy!

- Rozsądną? Wyrzucenie wszystkich moich naczyń uważa pan za coś rozsądnego?

—No, przysły mi do głowy również inne określenia, coś przemyślanego, sumiennego, odpowiedział mu — wyliczał Monk. - Uznałem jednak, że słowo „rozsądny” jest najbardziej trafne.

- Oto, co zrobimy, zanim rozwiąże pan dzisiaj zagadkę jakiegoś morderstwa lub schwyta jakiegoś bandziora - oświadczyłam. - Gdy tylko się pan umyje i ubierze, pojedziemy do sklepu Pottery Barn, gdzie kupi mi pan nowiutki zestaw stołowy. W przeciwnym razie następny posiłek zje pan w tym domu wprost z podłogi.

Miałam zamiar sięgnąć do szuflady po nóż, by pokroić bajgla, ale w ostatniej chwili powstrzymałam rękę.

—Czy powinnam otwierać szuflady? - zapytałam.

—To zależy, czego szukasz.

- Przydałby mi się nóż — odpowiedziałam. — Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybym znalazła w szufladzie moje sztuce.

Monk poprawił się niezręcznie na krześle.

—W takim razie nie powinnaś otwierać szuflad.

- Może pan zatem dopisać sztuce do listy za kupów.

Zostawiłam szufladę i otworzyłam lodówkę. Wzięłam do ręki karton soku pomarańczowego, podniosłam go i wypilałam kilka łyków.

Jak się spodziewałam, Monk aż się skulił.

- Naprawdę nie powinnaś pić prosto z kartonu.

—W porządku. - Odwróciłam się do niego i obrzucałam go najzimniejszym, najbardziej oskarżycielskim i najokrutniejszym spojrzeniem, na jakie było mnie stać. - Czy mam w domu szklanę, z której mogła bym się napić soku?

Znowu poprawił się na krześle.

—Tak myślałam. - Zabrałam karton i zatrzasnęłam z hukiem lodówkę. - Mam nadzieję, panie Monk, że ma pan jakieś wolne środki na swojej karcie kredytowej, bo czeka nas dzisiaj naprawdę dużo roboty.

Wróciłam pewnym krokiem do sypialni, z bajgłem i sokiem pomarańczowym w rękach, i zostawiłam Monka w kuchni pozbawionej naczyń i sztućców.

Ulice były tego ranka mokre od deszczu, a mgła całkowicie przesłaniała widok, jednak miasto tętniło ruchem i gwarem. W centrum płynął chodnikami tłum młodych, spieszących do pracy ludzi, z których każdy miał na sobie ostatni krzyk elektronicznej mody -czyli jakieś akcesoria przy uchu.

Jak okiem sięgnąć, nie było widać gołego ucha.

Chyba każdy, poza nami, zdawał się mieć na głowie albo parę białych słuchawek iPoda, albo zestaw słuchawkowy w technologii bluetooth, który wyglądem przypominał słynny wacikowy odbiornik w uchu porucznika Uhury z serialu *Star Trek*.

Kiedy kupowanie naczyń, sztućców i szklanek w Pottery Barn dobiegło końca, było już po dwunastej.

Nigdy tego otwarcie nie wyznałam Monkowi, ale

kiedy minęła mi pierwsza złość, byłam zadowolona, że wyrzucił cały mój kuchenny majdan na śmietnik. Wstyd mi było podejmować gości przy stole, bo mieliśmy tylko obtłuczone talerze i odrapane, powyginane sztućce. Ale na kupno nowych nie było mnie stać. Teraz Monk kupował mi nowiutkie rzeczy do kuchni i byłam tym bardzo podniecona. (Dopiero kiedy zaproponował kupno zestawu do gotowania i smażenia, dotarło do mnie, że wyrzucił także garnki i patelnie.) Oto, jaka jestem okropna: natychmiast zaczął mnie bawić pomysł, aby „przez przypadek” Monk zobaczył bałagan w mojej szafie i postanowił kupić mi nowe ubrania.

Aby zakupy przebiegały najbardziej bezboleśnie dla nas obojga, wybierałam jednolite kolory naczyń i pozwalałam Monkowi otwierać pudełka, by sprawdził, czy nie ma tam jakiejś niedoskonałości. Czasem doznawałam nagłego poczucia winy, że go wykorzystuję lub coś w tym rodzaju. Ale przypominałam sobie zaraz, że to przecież nikt inny tylko on wszedł bez pytania do mojej kuchni i powyrzucał z niej wszystkie moje naczynia. Złość natychmiast wracała, szybko wypierała bzdurne poczucie winy i znowu czułam się w zgodzie z sobą.

Kiedy kończyliśmy ładować towar do mojego cherokee, zadzwonił Stottlemeyer. Jechał właśnie przesłuchać Lucasa Breena, właściciela firmy deweloperskiej, która planowała zburzenie kwartału z domem Esther Stoval, i zapytał, czy nie chcielibyśmy mu towarzyszyć. Owszem, chcieliśmy.

Korporacja Deweloperska Breen mieściła się w trzydziestopięciopiętrowym budynku przypominającym kostkę Rubika, który dla wspaniałego widoku na zatokę wbił się klinem między dwa inne biurowce dzielnicy finansowej San Francisco. Hol na parterze był obszernym przeszklonym atrium, w którym znalazło

się miejsce dla kwaciarni, eleganckiego sklepiku z czekoladkami i firmowej kawiarenki sieci Boudin Bake-ry, znanej piekarni, która wypieka najlepszy w mieście, a może i na świecie, chleb na zakwasie.

Stottlemeyer czekał na nas przed kwaciarnią Ogrody Flo, popijając kawę z Boudin. Aromat świeżego pieczywa uderzył mnie w nozdrza.

- Dzień dobry, Natalie. Witaj, Monk. Słyszałem, że przepytaliście już sąsiadów Esther Stoval. Trafiliście może na jakiś trop, który uszedł naszej uwagi?

- Nie - odpowiedział Monk.

- Przygnębiające — stwierdził Stottlemeyer. — Co z tą twoją sprawą? Z tym psem? Posuwasz się naprzód?

- Myślę, że coś mam - odparł Monk.

To była dla mnie nowina. Monk nie zawsze się dzieli ze mną swoimi przemyśleniami i, prawdę powiedziawszy, w większości wypadków jestem mu za to głęboko wdzięczna.

- Może chcesz się zamienić sprawami? - zapytał Stottlemeyer.

- Raczej nie - odpowiedział Monk. - Ale mógłby pan coś dla mnie zrobić. Zechciałby pan poprosić porucznika Dishera, żeby zebrał wszystkie informacje na temat osławionego bandyty Rodericka Turlocka?

- Tylko tyle? Z czego słynie ten cały Turlock?

- Z napadów na pociągi — powiedziałam.

- Ktoś jeszcze napada na pociągi? — zdziwił się Stottlemeyer.

Doszłam do wniosku, że wyjaśnianie Stottlemeyerowi, iż Turlocka ujęto w 1906 roku, niewiele nam pomoże. Najwidoczniej Monk pomyślał tak samo, bo oboje uznaliśmy pytanie kapitana za retoryczne. Nie myliliśmy się, ponieważ Stottlemeyer nie czekał na odpowiedź.

- Zatem, Monk, jesteś gotów? - Stottlemeyer podniósł głowę.

Monk także podniósł głowę, szukając wzrokiem czegoś, o czym mógł mówić kapitan.

- Na co?

- Na spotkanie z Breenem - wyjaśnił Stottlemeyer. - To bogaty i wpływowy człowiek. Na pewno mu się nie spodoba, jak któryś z nas rzuci cię podejrzenia, że Lucas Breen może być wplątany w morderstwo Esther Stoval.

- On jest tam na górze?

- Na trzydziestym piętrze. Bogacze lubią patrzeć na ludzi z góry.

Stottlemeyer podszedł do wartownika, który siedział za marmurowym kontuarem naprzeciw wind, muskularnego faceta z nosem zaprawionego boksera. Błysnął mu przed oczami odznaką policyjną, przedstawił nas i powiedział, że chcemy się zobaczyć z panem Lucasem Breenem. Wartownik zatelefonował do biura Breena i po chwili skinął do kapitana przyzwalająco głową.

- Pan Breen może teraz państwa przyjąć.

- Świetnie - ucieszył się Monk. - Kiedy zjedzie?

- Nie zjedzie - powiedział Stottlemeyer. — To my pojedziemy na górę.

- Będzie jednak lepiej, jeśli to on zjedzie do nas.

Stottlemeyer jęknął ciężko i odwrócił się do wartownika.

- Byłby pan łaskaw zadzwonić jeszcze raz do biura pana Breena i zapytać, czy nie ma nic przeciwko temu, by zjechać do nas na filiżankę kawy w holu głównym? Ja zapraszam.

Wartownik znowu sięgnął po telefon, rozmawiał z kimś przez krótką chwilę i odłożył słuchawkę.

- Pan Breen jest bardzo zajęty i nie może w tej chwili wyjść z biura. Jeśli chcą się państwo z nim

zobaczyć, to muszą się państwo udać do jego gabinetu.

- Widziałeś, Monk. Próbowałem - powiedział Stottlemeyer. - Chodźmy więc.

Ruszyliśmy w kierunku wind, ale Monk wyraźnie zostawał z tyłu.

- Mam pomysł — oznajmił w końcu. — Chodźmy schodami.

- Na trzydzieste piętro? - zapytałam.

- Będzie trochę zabawy.

- To będzie dramat, nie zabawa — powiedział Stottlemeyer. — Mogę porozmawiać z Breenem bez ciebie. Naprawdę nie musisz jechać na górę.

- Ale chcę tam być.

- Cóż, ja jadę windą — stwierdził Stottlemeyer. — Jedziesz ze mną czy nie?

Spojrzałam na Mońka. Rzucił okiem na windę, wziął głęboki oddech i przytaknął lekko.

- Dobrze.

Weszliśmy w trójkę do kabiny. Stottlemeyer wcisnął guzik trzydziestego piętra. Drzwi się zamknęły. Monk zawiązał koniec rękawa na palec wskazujący i przycisnął szybko guzik drugiego piętra. Potem czwartego. Potem szóstego. W ten sposób powcisnął guziki każdego kolejnego, parzystego piętra, aż do trzydziestego.

Stottlemeyer podniósł na niego oczy i ciężko westchnął.

Gdy na drugim piętrze rozsunęły się drzwi, Monk wyszedł na zewnątrz, wziął parę głębszych wdechów i wszedł z powrotem.

- Chyba idzie nam znakomicie — powiedział zadowolony.

Na czwartym piętrze wypadł z krzykiem z kabiny, podrywając na nogi klientów w poczekalni agencji reklamowej Crocker.

—Tu jest gorzej niż w piekle - powiedział do nich.

Łyknął łąpczywie parę haustów powietrza i wskoczył z powrotem do windy, jakby się rzucał na głęboką wodę.

Gdy tylko winda zatrzymała się na szóstym piętrze, wypadł z kabiny na korytarz zespołu adwokackiego Ernst, Throck i Fillburton - i ryknął coś w stylu, że to wszystko jest „niesprawiedliwe i niehumanitarne”.

Kiedy zajęliśmy na ósme piętro, byliśmy już ze Stottlemeyerem pogodzeni ze swoim losem. Opieraliśmy się w milczeniu o poręcz w kabinie i próbowaliśmy znaleźć sobie jakąś rozrywkę. Monk przechadzał się nerwowo po piętrze, jęczał, krzyczał, wyciągał sobie z włosów jakieś niewidoczne pijawki, a my graliśmy w tetris w telefonie komórkowym Stottlemeyera.

Jazda do biura Breena na trzydziestym piętrze, z zatrzymywaniem się i przerwami na co drugiej kondygnacji, zajęła nam okrągłe czterdzieści minut. W tym czasie sześć razy wygrałam w tetris, a Stottle-meyer osiem, ale miał więcej wprawy, bo w czasie godzin spędzanych na obserwowaniu podejrzanych pracował nad swoją techniką. Kiedy wreszcie drzwi się otworzyły na trzydziestym piętrze, Monk się wytoczył na zewnątrz złany potem, rozpaczliwie zaczął łapać powietrze i opadł bezwładnie na skórzaną kanapę w poczekalni.

- Matko Przenajświętsza - wysapał. - Nareszcie koniec.

Podalam mu z torebki butelkę wody Sierra Springs. Tak na marginesie, moja torebka dorównywała rozmiarami torbie dla niemowlaka, którą po narodzinach Julie wszędzie ze sobą taszczyłam. W torebce, oprócz wody, miałam również antybakteryjne chusteczki Wet Ones, zamykane woreczki foliowe, a nawet paczkę platków Wheat Thins, na wypadek gdyby

Monk nagle zgłodniał. Jediną rzeczą, której nie musiałam teraz przy sobie nosić, były pieluszki.

Stottlemeyer podszedł do recepcjonistki, zabójczo atrakcyjnej Azjatki za szerokim biurkiem, za którym wyglądała jak prezenterka wieczornych wiadomości telewizyjnych. Tyle tylko, że zapierająca dech w piersiach panorama miasta za jej plecami wcale nie była scenografia; była jak najbardziej prawdziwa.

- Kapitan Stottlemeyer, Adrian Monk i Natalie Teeger do pana Breena - zaanonsował nasze przybycie.

—Spodziewaliśmy się państwa prawie godzinę temu - powiedziała recepcjonistka.

—My również.

Monk wypił wodę do dna i rzucił za siebie pustą butelkę. Rumieńce zaczęły mu wracać na policzki. Czoło otarł dokładnie chusteczką i ją również rzucił za siebie.

- Droga w dół będzie o wiele łatwiejsza — powiedziałam na pocieszenie.

- Oczywiście, ponieważ pójde pieszko.

W tej chwili odezwała się recepcjonistka.

—Pan Breen oczekuje państwa w swoim gabinecie.

Wskazała dłonią masywne podwójne drzwi, które przypominały mi bramę do Szmaragdowego Grodu w krainie Oz, choć nie stali przed nią mali strażnicy z rodu Manczkinów. Zamiast strażników Breen miał azjatycką supermodelkę, którą, jestem święcie przekonana, wolałby również Czarnoksiężnik.

Kiedy podeszliśmy do gabinetu, drzwi automatycznie rozsunęły się na boki, co było bardzo onieśmielające. Jasne, drzwi w hipermarkecie też się same otwierają, ale kiedy człowiek pcha wielki wózek z zakupami, to coś zupełnie innego.

Za drzwiami, na środku przestronnego gabinetu ze szkła, mahoni i nierdzewnej stali, stał deweloper Lucas Breen, z rozłożonymi ramionami i szerokim, powitalnym uśmiechem na twarzy, który odślaniał koronki na zębach, lśniące niczym oszlifowana kość słoniowa.

Monk kupuje kwiaty

W gabinecie Lucasa Breena wszystko krzychało pieniędzmi i władzą. Za oknami, które ciągnęły się od podłogi po sufit, rozpościerał się imponujący widok na miasto i zatokę. Na marmurowym postumencie stały pięknie iluminowane, odtworzone ze wszystkimi detalami, makiety najbardziej śmiałych architektonicznie wieżowców Breena. Projektowane na zamówienie meble rozstawione były niczym rzeźby. Na ścianie wisiały fotografie, na których Breen i jego wspaiała obwieszona biżuterią żona ściskają dłonie prezydentów, królów, gwiazd filmowych i lokalnych polityków.

Nawet gdyby gabinet Breena nie krzychał pieniędzmi i władzą, to z całą pewnością krzychałaby jego szyta na miarę marynarka, koszula z monogramem, szykowny zegarek i drogie buty. Chętnie błysnęłabym przed wami znajomością marek, ale moja wiedza na temat mody i biżuterii nie wykracza poza najpopularniejsze sieci, jak Mervyn's, JCPenny czy Target.

Breen był po czterdziestce, miał wysportowaną sylwetkę i był naturalnie opalony - oto rodzaj ciała i opalenizny, które się nabywa w wyniku regularnej gry w tenisa we własnej posiadłości, gdzieś w hrabstwie Marin, leniuchowania na jachcie wśród Wysp Karaibskich i tantrycznego seksu.

No dobrze, niewiele wiem o tantrycznym seksie, ale facet wyglądał mi na typa, który przechwalałby

się tantrycznym seksem nawet wtedy, gdyby w życiu go nie doświadczył.

- Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas, panie Breen - powiedział Stottlemeyer, ściskając mu dłoń.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kapitanie. Z wielką chęcią uczynię, co tylko w mojej mocy, by pomóc naszej policji w San Francisco - odpowiedział Breen. - Dlatego przecież mam zaszczyt zasiadać w miejskiej Komisji do spraw Policji.

Można tylko podziwiać, jak szybko Breen potrafił przejść do sedna sprawy, jakby Stottlemeyer nie wiedział, że szef policji i cały departament odpowiadają przed nadzorującą ich pracę komisją Breena.

- Pan to, jak się domyślam, Adrian Monk. Byłem kiedyś pana wielbicielem - wyznał, podając mu dłoń, którą Monk uściśnął krótko, a zaraz potem odwrócił się do mnie po chusteczkę. - Pan pozwoli, panie Monk.

Lucas Breen wyjął z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych i wręczył ją Monkowi, który badawczym wzrokiem przyjrzał się opakowaniu. Magie Fresh.

- Nie, dziękuję.

- To nawilżone chusteczki higieniczne - zapewnił Breen.

- Firmy Magie Fresh.

- Przecież wszystkie są takie same.

- To tak, jakby pan powiedział, że wszystkie płatki kukurydziane są takie same.

- Bo przecież są.

- Ja wolę chusteczki Wet Ones - uciął Monk i wyciągnął do mnie rękę. Podałam mu chusteczki. - Nie ufam niczemu, co ma cokolwiek wspólnego z magią.

Breen zmusił się do uśmiechu i rzucił paczuszkę na biurko. Ktoś pewnie straci pracę za to, że zaopatrzył Breena w niewłaściwe chusteczki dla Monka.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci

Esther Stoval - zaczął Stottlemeyer. - Siłą rzeczy w zeznaniach pojawiło się pańskie nazwisko.

- Naturalnie zdajecie sobie państwo sprawę z tego, że osobiście nie poznałem pani Stoval, a moja noga nigdy nie postąpiła w jej domu. Kontaktowali się z nią przedstawiciele mojej firmy, próbując jej przedłożyć nasze propozycje — powiedział Breen. — O ile mi wiadomo, osoba ta miała nadzwyczaj trudny charakter.

- To ten projekt? - zapytał Stottlemeyer, wskazując głową tekturową makietę.

- Tak jest - odparł Breen, prowadząc nas do makiety kwartału Esther Stoval.

Trzypiętrowy budynek był zmyślnym połączeniem różnych stylów - wiktoriańskiego, hiszpańskiego renesansu, francuskiego *chateau* i paru innych — co już na pierwszy rzut oka czyniło go tyleż zabytkowym, ile nowoczesnym. Jednak ten czar architektury miał w sobie coś wykalkulowanego, komercyjnego, wręcz disneyowskiego. Dobrze wiedziałam, że te skrzętnie skomponowane wzorce, które podświadomie mają się kojarzyć z tramwajami w San Francisco, ulicami zasnutymi mgłą, przystanią Fisherman's Wharf czy mostem Golden Gate, to czysta manipulacja, i nie mogłam ścierpieć, że to wszystko rzeczywiście tak się w mojej głowie kojarzy. Może Esther Stoval też tego nienawidziła?

Podczas gdy podziwialiśmy ze Stottlemeyerem makietę, Monk oglądał wiszące na ścianie fotografie Breenów z gwiazdami estrady i politykami.

- Jaka będzie cena mieszkań? - zapytałam, choć bynajmniej nie nosiłam się z zamiarem kupna apartamentu.

- Od sześciuset tysięcy dolarów wzwyż, czyli mniej więcej tyle, nie wnikając w konkretne kwoty, ile zapłaciłszy właścicielom domów za ich posesje. Ale nie tylko oni skorzystają. Zwykle wystarczy przeprowadzić

rewitalizację jednego miejsca w dzielnicy, a zaraz, na zasadzie efektu domina, następuje modernizacja i upiększanie kolejnych jej partii, które podnoszą wartość całej okolicy. Każdy wygrywa. Niestety, wszędzie się znajdują jakieś Esther Stoval.

- Czy wszystkie kończą śmiercią? - zapytał Monk.

Stottlemeyer rzucił mu groźne spojrzenie.

- Pan Monk miał tylko na myśli...

- Wiem, co pan Monk miał na myśli - przerwał mu Breen. - Choćby moje projekty były nie wiem jak korzystne dla mieszkańców danej okolicy, to zawsze napotykam głosy sprzeciwu; grupy ekologów, towarzystwa historyczne, stowarzyszenia właścicieli domów, a czasem okoniem stanie jakaś uparta jednostka. Większość dnia pracy mija mi na próbach zbudowania kompromisu, który zjednałby zainteresowanych i ożywił daną dzielnicę.

- Z Esther Stoval nie udało się panu osiągnąć kompromisu - zauważył Monk.

- Za jej dom zaproponowaliśmy cenę powyżej wartości, a ponadto dożywotnie mieszkanie w dowolnym, wybranym przez nią apartamencie nowego budynku - mówił Breen. — Trudno chyba o większą ustępliwość. Nawet nie chciała negocjować. Jednak w końcu jej upór okazał się nieracjonalny.

- Ponieważ nie żyje - stwierdził Monk.

- Ponieważ postanowiliśmy realizować plany bez jej zgody.

- Jak to? - zapytałam. - Jej dom stał przecież w samym środku kwartału.

- Pani Teeger, nie zaszedłbym w tej branży tak daleko, gdybym nie był kreatywny. - Breen podszedł do biurka i rozłożył na nim projekt budynku podobnego do stojącego obok modelu. — Mieliliśmy zamiar poprowadzić zabudowę dookoła jej domu.

Skorygowany projekt przedstawiał zabudowę, któ-

ra otaczała dom Esther Stoval z trzech stron, skrywając go w niemal całkowitej ciemności i okradając z wszelkiej prywatności. Nowy budynek został jednak tak zaprojektowany, że dom Esther wcale nie wyglądał niestosownie - raczej jak niekonwencjonalny element architektoniczny mający bawić oko. Był to paskudny sposób postępowania wobec Esther Stoval, ale, jak myślę, o wiele sympatyczniejszy niż morderstwo.

- Nigdy by się na to nie zgodziła - powiedziałam.

- Nie miałyby wyboru - odpowiedział Breen. - W nadchodzącym tygodniu komisja planowania miała głosować nad projektem, a pani Stoval stanowiła jeden jedyny głos sprzeciwu. Wiem z dobrego źródła, że komisja najprawdopodobniej jednomyślnie wyraziłaby zgodę. Z Esther Stoval czy bez niej, projekt i tak byłby realizowany.

- Zamierzaliście się pozbyć Stoval, czyniąc jej życie absolutnie nie do zniesienia - powiedział Monk.

- Wręcz przeciwnie, bylibyśmy bardzo przyjaźnie nastawionymi do niej sąsiadami — zapewnił Breen. - Mogłaby tam zostać ze swoimi kotami, jak długo by chciała. Tak zaprojektowaliśmy budynek, że na wypadek jej śmierci moglibyśmy albo zachować dom, albo zburzyć go pod skwer.

- Mówi pan, że jeśli chodzi o pana, morderstwo Esther Stoval niczego nie zmieniło? - stwierdził Stottlemeyer.

- Dla planów mojej firmy nie — odpowiedział Breen. — Jednak jako mieszkaniec San Francisco, jako człowiek, jestem głęboko wstrząśnięty tym, co się stało tej biednej starszej pani. Nie sądzę, żeby to morderstwo miało cokolwiek wspólnego z naszym projektem. Najpewniej zabił ją jakiś postrzelony narkoman, który musiał coś ukraść, żeby sobie kupić następną działkę.

Jakoś nie przypominałam sobie, żeby widziała na ulicy narkomanów, postrzelonych czy nie, kiedy Monk przepytывał sąsiadów Esther Stoval, ale przynajmniej ta teoria wydawała się bardziej przekonująca od teorii Dishera, który twierdził, że starszą panią zadusiły koty, a potem jeszcze puściły jej dom z dymem.

- Cóż - odezwał się Stottlemeyer. - Myślę, że to chyba wyczerpuje temat, prawda, Monk?

- Gdzie przebywał pan w piątek wieczorem między dziewiątą a dziesiątą? - zapytał Monk.

- Chyba właśnie się zgodziliśmy co do tego, że ani bezpośrednio, ani pośrednio nic bym nie zyskał na śmierci Esther Stoval, prawda? - powiedział Breen. - Cóż więc za różnica, gdzie byłem w chwili, kiedy została zamordowana?

- Prawdę mówiąc, pan Monk ma rację. Wymogi proceduralne każą nam postawić takie pytanie — powiedział Stottlemeyer. - Czułbym się okropnie, gdybym wiedział, że nie dopełniłem służbowych obowiązków względem kogoś takiego jak pan, członka miejskiej Komisji do spraw Policji.

- Oczywiście - zgodził się Breen. - Byłem w tym czasie na bankiecie charytatywnym „Ocal zatokę”, który trwał od ósmej wieczorem do północy w hotelu Excelsior Tower.

- Z żoną? - Monk wskazał palcem zdjęcia na ścianie. — To pańska żona, prawda?

- Tak. Byłem tam z żoną, burmistrzem, gubernatorem i pięciuset innymi obywatelami dbającymi o dobro publiczne - oświadczył Breen. - Teraz, jeśli nie macie państwo więcej pytań... Cóż, mam ogromnie dużo pracy.

Wyjął z kieszeni pilota rozmiarów breloczka do kluczy, wycelował go w drzwi, a te rozsunęły się na całą szerokość - prawdziwie subtelny sposób dania do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

- Dziękujemy za pańską pomoc — powiedział Stottlemeyer, kiedy wychodziliśmy z gabinetu.

Idąc wolno za nami, Monk rzucił za siebie jeszcze jedno, ostateczne spojrzenie na Breena.

- Płatki kukurydziane zasadniczo się między sobą różnią - powiedział na pożegnanie. - Proszę mi wierzyć.

Dopiero przed windą, gdzie nie słyszała nas ani recepcjonistka, ani nikt inny, Stottlemeyer odwrócił się do Mońka, który zmierzał już w kierunku schodów ewakuacyjnych.

- Może mi powiesz, dlaczego postanowiłeś się drażnić z Breenem? - Stottlemeyer z całej siły uderzył w guzik przywołania windy, jakby miał przed sobą czyjąś twarz. — I błagam, nie mów, że to dlatego, że używa chusteczek higienicznych innej marki, albo dlatego, że nie zjechał do ciebie na parter.

- To ten facet. — Monk owinął rękawem dłoń i otworzył drzwi prowadzące na schody ewakuacyjne.

- Jaki facet?

- To ten facet zabił Esther Stoval - stwierdził Monk. - To on.

W tym momencie nadjechała winda, a Monk zniknął za drzwiami. Stottlemeyer ruszył za nim, ale delikatnie pociągnęłam go za rękaw i powstrzymałam.

- Naprawdę chce pan go gonić przez trzydzieści pięter? - zapytałam. - To chyba może poczekać, prawda?

Spojrzał na mnie, westchnął z rezygnacją i wszedł do windy.

- Czasem mam ochotę go zabić - mruknął. - Każdy sąd by mnie uniewinnił.

Stottlemeyer zadzwonił do biura, żeby Disher zaczął sprawdzać alibi Lucasa Breena i przekopał się przez historię Rodericka Turlocka, rabusia, który

napadał na pociągi, a potem, w holu, z przyjemnością usiedliśmy do lunchu w Boudin Bakery.

Zamówiliśmy bostońską zupę z owoców morza, podawaną w chlebie na zakwasie i usiedliśmy przy oknie, z którego mogliśmy się przyglądać przechodzącym bankowcom, księgowym, maklerom i bezdomnym włóczęgom.

Rozmawialiśmy o dzieciach, o szkołach, do których chodzą, o tym, jak nie wychodzą się już bawić na podwórko, lecz umawiają się na wspólną zabawę w domu. Wiem, wiem, taki temat z daleka pachnie banałem i potworną nudą, dlatego oszczędzę wam szczegółów tej rozmowy.

Ale powiem wam, dlaczego w ogóle o niej wspominał; otóż po raz pierwszy w życiu normalnie ze sobą rozmawialiśmy i nawet jeśli nie była to rozmowa pasjonująca czy osobista, to przynajmniej nie dotyczyła Mońka, morderstw ani kwestii przestrzegania prawa. Po prostu dotyczyła życia.

Myślę, że właśnie wtedy, kiedy tam siedzieliśmy, delektowaliśmy się zupą i skubaliśmy dna chlebowych miseczek, po raz pierwszy zobaczyłam w Lelandzie Stottlemeyerze zwykłą osobę, a nie policjanta z wydziału zabójstw.

Usiedliśmy tak, żeby Monk mógł nas łatwo zobaczyć, kiedy się pojawi w holu, co stało się mniej więcej pół godziny po naszym rozstaniu na trzydziestym piętrze.

Monk wyszedł z klatki schodowej, słaniając się na nogach, jakby przewędrował przez pustynię Mojave. Rozpiął dwa guziki przy kołnierzyku i nie zważając na nas, powłókł się prosto do kwaciarni Ogrody Flo,

—Jak myślisz, widział nas? — zapytał Stottlemeyer.

- Nie wiem — odpowiedziałam.

Żadne z nas nie wstało od stołu, by to sprawdzić. Nie skończyliśmy zupy, a poza tym wiedzieliśmy, że

jeśli Monk zechce wyjść z budynku, to będzie musiał koło nas przejść. Niemniej jednak przerwaliśmy rozmowę. Siedzieliśmy w milczeniu, obserwując kwiaciarnię i czekając, co się dalej wydarzy.

Monk wyszedł po kilku minutach z przepięknym bukietem kwiatów i parę chwil później klapnął bez tchu na wolne krzesło przy naszym stole.

- Wody - zacharczał.

Wyciągnęłam z torebki butelkę wody Sierra Springs i podałam ją Monkowi. Wypił ją duszkiem do dna i obwisł bez sił na krześle.

- Jak się szło po schodach? - zapytałam.

- Bardzo ożywczy spacer - odpowiedział Monk.

- Dla kogo kwiaty? - zapytał Stottlemeyer.

- Dla ciebie.

Monk wręczył bukiet kapitanowi, który z wyrazem bezmiernego zdumienia na twarzy machinalnie wziął go do ręki. Wątpię, by umiał docenić tę przepiękną kompozycję z lili, róż, orchidei i hortensji. Urzekające nęcące kwiatów.

- To przeprosiny?

- To dowód, że Lucas Breen jest winny morderstwa.

Stottlemeyer spojrział na kwiaty, a potem z powrotem na Mońka.

- Nie rozumiem. Co ma z tym wspólnego pęk kwiatów?

Wtedy dopiero rozpoznałam. Widziałam te kwiaty wcześniej i przypomniałam sobie gdzie.

- Rozmawiałem z Flo. - Monk skinął w kierunku kwiaciarni. — To bukiet jej własnego pomysłu. Jest z niego bardzo dumna.

- Brawa dla Flo - powiedział Stottlemeyer.

- Lucas Breen kupił u niej taki bukiet w czwartek.

- I co z tego?

—Kwiaty były przeznaczone dla kochanki, Lizzie Draper - powiedział Monk. - Identyczny bukiet wi działem u niej w domu.

Nie wiem, jak się Monkowi udało dostrzec bukiet u Lizzie Draper, skoro przez cały czas naszej wizyty wodził wzrokiem po jej biuście. Musi posiadać jakąś niesłychaną umiejętność patrzenia kątem oka. Rzeczywiście, był to ten sam niezwykle bukiet, który służył Lizzie jako model do malowania martwej natury.

—Nawet jeśli to prawda — powątpiewał Stottlemeyer - cóż to ma wspólnego z morderstwem Esther Stoval?

—Stoval podglądała sąsiadów. Podglądała ich przez lornetkę i robiła zdjęcia — wyjaśniał Monk. - Operatorowi telewizji kablowej doniosła raz na sąsiada, który przez nielegalny konwerter oglądał kanał sportowy.

—W takim razie dziw bierze, że żyła aż tak długo — stwierdził sucho Stottlemeyer. - Nie można stawać między mężczyzną a jego ukochaną dyscypliną sportową.

—Moim zdaniem Esther miała kompromitujące zdjęcia Lucasa Breena i Lizzie Draper i zagroziła mu, że jeśli nie odstąpi od realizacji projektu, to wyśle je jego żonie. Rozwód mógłby kosztować Breena dziesiątki milionów dolarów. Dlatego zamordował Esther Stoval.

Stottlemeyer potrząsnął głową.

—To jest potężny skok naprzód, Monk, nawet jak na ciebie.

—Tak jednak było - zakończył Monk.

Byłam pewna, że się nie myli. Stottlemeyer też był pewny. Bo w jednej rzeczy Monk nie mylił się nigdy; wtedy, gdy chodziło o morderstwo. Monk dobrze wiedział, że my wiemy, co całą sytuację czyniło dla kapitana jeszcze trudniejszą do zniesienia.

Stottlemeyer wyciągnął rękę z bukietem.

- To wszystko, co masz w tej sprawie?
- Mam jeszcze jej guziki — powiedział Monk.
- Jej guziki?!
- Jakoś mimowolnie je zauważyłem.

To był prawdopodobnie największy dowód skromności tego dnia.

- Widniały na nich inicjały LB - powiedział Monk. - Wtedy myślałem, że to znak firmowy, ale nie. To monogram. Koszula, którą miała na sobie Lizzie Draper, była uszyta specjalnie dla Lucasa Breena.

Monk i bardzo podejrzany zapach

Znowu się zebraliśmy w gabinecie Stottlemeyera, gdzie kapitan włożył kwiaty do pustego papierowego kubka Big Gulp po coli i napełnił go po brzegi wodą. Wazony nie należą do przedmiotów, które łatwo można znaleźć w wydziale zabójstw policji San Francisco.

Po chwili wszedł Disher i wbił przerażony wzrok w Mońka.

- Co się stało? Dobrze się pan czuje?

- W zupełności — odpowiedział Monk.

- Jest pan pewien?

- Jak najbardziej - stwierdził Monk. - Dlaczego pytasz?

- Och, po prostu nigdy nie widziałem pana takiego, takiego... - Disher szukał właściwego słowa. - Rozpiętego.

- Rozpiętego? - zdziwił się Monk.

Disher wskazał na jego kołnierz.

- Ma pan odpięte oba górne guziki.

- O mój Boże. - Monk oblał się rumieńcem wstydu i w jednej chwili zapiął guziki. - Od jak dawna chodzę goły? Dlaczego nikt mi nic nie powiedział?

- To tylko dwa guziki, panie Monk - zauważyłam.

- Cały wydział na pewno huczy od plotek! - jęczał Monk.

- Jestem pewien, że nikt tego nie zauważył — uspokajał Stottlemeyer.

- Przecież wszedłem tu półnagi. Chyba nie są ślepi!
- Ukrył twarz w dłoniach. - Co za wstyd.
- Jesteś wśród dobrych przyjaciół, Monk. — Stottlemeyer wyszedł zza biurka i uspokajającym gestem uściśnął Monkowi ramię. - Nikt nie pisnie ani słowa. Obiecuję.

Monk załamany podniósł głowę.

- Mógłbyś z nimi porozmawiać?

- Oczywiście - zgodził się Stottlemeyer. - Z kim?

- Z wszystkimi. Z każdym policjantem i policjantką w budynku.

- W porządku, mogę to zrobić — zapewnił Stottlemeyer. — Ale czy moglibyśmy z tym poczekać i najpierw się zastanowić, jak udowodnić Breenowi zabójstwo Esther Stoval?

- To nie będzie proste - wtrącił się Disher. — Nie ma żadnego dowodu na to, że w czasie popełnienia zbrodni Lucas Breen był w domu Stoval.

- Ani na to, że w ogóle ktoś tam był - uzupełnił Stottlemeyer.

- To on zabił - powiedział Monk. — Jeśli zaczniemy pracować od końca, to dojdziemy po nitce do kłębka.

- Ma niepodważalne alibi. - Disher podszedł do komputera Stottlemeyera i postukał w klawisze. — Ściągnąłem z Internetu dziesiątki fotografii prasowych, na których o ósmej wieczorem przybywa z żoną do hotelu, a o północy razem z nią odjeżdża. Rozmawiałem z fotografami i wiem, kiedy mniej więcej robiono te zdjęcia.

- Dobra robota — stwierdził Stottlemeyer.

Disher obrócił monitor Stottlemeyera, żebyśmy wszyscy mogli zobaczyć ekran. Nie było wątpliwości, na zdjęciach różnych fotografów, w rozmaitych ujęciach, Breen z małżonką, ubrani w płaszcze przeciwdeszczowe, skuleni pod parasolem, uciekają przed

deszczem do hotelowego wejścia. Były też fotografie Breenów, wychodzących z hotelu o północy razem z gubernatorem i jego żoną.

- Na przyjęciu było pięciuset gości. Wątpię, by ktoś śledził każdy ich krok przez cały wieczór - powiedział Monk. - Excelsior ma dziesiątki wejść. Breen mógł wyjść z hotelu, a potem wrócić tak, że nikt tego nie zauważył.

- Zdobądź z hotelu zapis kamer przemysłowych - polecił Stottlemeyer Disherowi. - Może coś tam jest. Porozmawiaj też z niektórymi gośćmi bankietu i personelem, sprawdź, czy ktoś nie zauważył jego nieobecności.

- Breen sam budował Excelsior. Na pewno wie, jak wyjść i dostać się do środka niepostrzeżenie — stwierdził Disher. - Poza tym sam fakt, że wyszedł z budynku, nie oznacza, że przycisnął Esther poduszkę do twarzy.

- Powoli, krok po kroku - powiedział Stottlemeyer.

- Dobrze - oznajmił Disher. - W takim razie co ma z tym wspólnego bandzior, który napadał na pociągi i zmarł w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku?

- Nic - odparł Monk. - Bandzior ma coś wspólnego z zamordowaniem psa w remizie strażackiej.

- Próbuje pan rozwiązać zagadkę śmierci psa sprzed stu lat?

- Sparky został zabity w piątek - powiedziałam.

- Przez ducha?

- Hola, hola! - Stottlemeyer podniósł rękę. - Czy ktoś mi wreszcie powie, o co tu chodzi?

- Pod koniec dziewiętnastego stulecia gang Rodericka Turlocka napadał na pociągi, które prowadziły wagony bankowe wyładowane złotymi monetami - opowiadał Disher. - W końcu agenci Pin-kertona wpadli na jego trop i przyskrzynili Turlocka

w pensjonacie w San Francisco. Rabuś zginął tam w czasie strzelaniny, a tajemnicę zabrał ze sobą do grobu.

- Jaką tajemnicę? - zapytał Monk.

- Co zrobił ze skradzionym złotem — wyjaśnił Disher. - Większości jego łupu nigdy nie odnaleziono. Krąży legenda, że gdzieś zakopał to złoto.

- To bardzo interesujące, ale czy nie moglibyśmy porozmawiać na temat barwnej historii naszego miasta innym razem? - wtrącił Stottlemeyer. — Mamy do rozwikłania zagadkę morderstwa i ani krztyny dowodu w sprawie.

- Zapominasz o guzikach - zauważył Monk. -I o kwiatach.

- Słusznie! Kwiaty. - Stottlemeyer porwał bukiet z papierowego kubka. - Wiesz co, Randy? Ja zaniosę te kwiaty do prokuratora, a ty idź z Monkiem aresztować Brena.

Stottlemeyer wstał i zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi. Disher stał w miejscu, nie bardzo wiedząc, co robić.

- Chce pan, żebym... To znaczy, czy mam...? -Disher zerknął na Mońka. — Czy kapitan mówi poważnie?

- Nie, nie mówię poważnie. - Stottlemeyer obrócił się na pięcie, kiedy mówił, i tak machnął bukietem, że strząsnął z niego kilka płatków. - Na miłość boską, Lucas Breen jest członkiem Komisji do spraw Policji. Musielibyśmy mieć ślady DNA rozsiane po całym miejscu zbrodni, dwudziestu dwóch naocznych świadków, którzy go widzieli, i do tego jeszcze wideo z nagraniem, jak dusi tę starą krowę. Wtedy może, powtarzam, może, moglibyśmy się posunąć o krok dalej. - Stottlemeyer odepchnął Dishera z drogi, wcisnął bukiet z powrotem do kubka i usiadł na swoim miejscu za biurkiem. Wziął głęboki oddech,

a potem rzucił okiem na Mońka. — Powiedz, jak twoim zdaniem mógł to zrobić?

- Myślę, że wyszedł z hotelu, zabił Esther, podłożył pod dom ogień i wrócił na przyjęcie.

- Mało sprytny plan — zauważył Disher.

- Ale okazał się skuteczny, prawda? - stwierdził Stottlemeyer. - Sprawdziłeś alibi Lizzie Draper?

Disher przytaknął.

- Klub Flaxx to dzisiaj coś w rodzaju baru Coyote Ugly, jeśli pamiętacie film *Wygrane marzenia*. Chyba z setka facetów patrzyła do późnej nocy, jak Lizzie podryguje na barze w mokrym podkoszulku, nalewa drinki i żongluje butelkami.

To właśnie, tak na marginesie, była ta druga przyczyzna, dla której nie dostałam pracy w barze Flaxx. Nie umiem podrygiwać ani żonglować.

- Załóżmy, że pan się nie myli, panie Monk — zaczęłam mówić i zamilkłam natychmiast, czując na sobie piorunujące spojrzenie Mońka. - Przepraszam, wiedząc, że pan się nie myli, musimy przyjąć, że Breen nie był w stanie zabrać samochodu z parkingu, nie zauważony przez obsługę hotelową czy dziennikarzy. Z pewnością nie wezwał też taksówki, nie chcąc ryzykować, że taksówkarz go zapamięta. Zatem jak się dostał do domu Esther i jak stamtąd wrócił?

Stottlemeyer pokiwał głową z uznaniem.

- Powoli stajesz się ekspertem, Natalie.

- Musiał iść pieszo - powiedział Monk.

- Czy to możliwe? - zastanawiałam się głośno. - Rzeczywiście mógłby to wszystko zrobić w ciągu godziny, idąc pieszo?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Kiedy wychodziliśmy z posterunku, Monk przeproszał każdego napotkanego policjanta i policjantkę

za swoją „wcześniejszą nagość”, którą tłumaczył rozstrojem spowodowanym lekarskami na zatoki -choć nikt go nie pytał i nikogo to specjalnie nie obchodziło.

- Alergia — mówił wszystkim. — Garb, z którym przyszło mi żyć.

Pojechaliśmy prosto do hotelu Excelsior na Montgomery Street, kilka ulic na północny wschód od Square. Choć był to w miarę nowy budynek, wzniesiony w ostatnim dziesięcioleciu, to zaprojektowano go w stylu Beaux Arts, ulubionym wśród elit San Francisco na początku dwudziestego wieku. Znalazły się w nim wszystkie detale mające świadczyć o bogactwie: wielkie wejście zwieńczone łukiem, monumentalne kolumny z kamienia, cyzelowane balustrady i łukowe okna zwieńczone szczytami z ornamentem roślinnym i zdobionym zwornikiem.

Z niechęcią wysiadałam ze swojego cherokee w podziemiach hotelowego parkingu, gdzie zaparkowanie samochodu kosztuje na dobę więcej niż jego wynajęcie. Jak Disher przewidywał, już pobieżna lustracja ukazała nam dziesiątki wyjść z budynku, w tym z każdego poziomu parkingu oraz jedno wyjście służbowe prowadzące w zaciemnionej alejkę.

Wyjście służbowe było zastawione kilkoma dużymi kontenerami na śmieci, co bardzo dogodnie ograniczało jego widok od strony ulicy. Jeżeli Breen rzeczywiście z niego korzystał, aby się wymknąć z budynku, to mógł minąć alejką cały kwartał, nim wyszedł na ulicę, bezpiecznie daleko od hotelu i przedstawicieli mediów zgromadzonych przed frontowym wejściem. Monk wywnioskował, że najprawdopodobniej właśnie tę drogę obrał Lucas Breen, więc również nią poszliśmy. Na ulicy jednak się zorientowaliśmy, że Breen mógł pójść w wielu kierunkach. Na początek Monk wybrał najprostszą trasę, pod górę ulicą Montgomery.

Kiedy ruszyliśmy, zapadał już zmrok i zaczął się deszczyk. Szlak powiodł nas obok wieżowców dzielnicy finansowej, gdzie przedsiębiorcy i urzędnicy zaczęli już wychodzić z biur, chcąc koniecznie zdążyć przed godziną szczytu. Zaczynała się też pojawiać nocna zmiana bezdomnych, którzy szukali schronienia w ślepych zaułkach i bramach, grzebali w pojemnikach na śmieci i zaczepiali przechodniów, prosząc o drobne.

Monk nie dawał pieniędzy, za to każdemu napotkanemu łączył w ręce paczki chusteczek Wet Ones, które nosiłam w torebce. Jednak obdarowani niezbyt doceniali ten gest, a zwłaszcza jeden z nich, przysypiający na kawałku kartonu, ubrany w wystrzępiony za duży płaszcz, narzucony na parę warstw brudnych koszul.

Kiedy Monk rzucił mi paczkę chusteczek, bezdomny podniósł się z legowiska.

—Niby co mam z tym zrobić, do cholery? — zapytał oburzony, trzymając chusteczki z obrzydzeniem.

Włosy i brodę miał lepkie i zmierzwiłone, skórę mocno ogorzałą i znaczoną brudkami brudu. Śmierdział brudem i zgnilizną, jakby sypiał wyłącznie w śmietnikach. Odór wytwarzał niewidzialne pole siły, które utrzymywało Mońka dobry metr od bezdomnego.

—Mam pan rację — przyznał mu Monk. - To nie było z mojej strony do końca przemyślane.

Monk sięgnął do mojej torebki, wyjął z niej jeszcze dwie garście chusteczek i rzucił je do nóg mężczyzny.

—Jedna paczka to mniej niż mało — powiedział i odszedł szybko, kichając gwałtownie, a bezdomny mężczyzna puścił za nami wiązaną wyzwisk.

Podaliśmy Monkowi chusteczkę. Wydmuchał nos, potem włożył zużytą chusteczkę do foliowego woreczka, zamknął go i schował do kieszeni.

—Ten mężczyzna sypia z kotami — oświadczył.

- Myślę, że to najmniejszy z jego problemów.

Obejrzałam się i zobaczyłam, jak bezdomny zbiera z ziemi paczuszki chusteczek i upycha je w kieszeni płaszcza. Spostrzegłam, że mu się przyglądam, i pokazał mi środkowy palec. Ja też ci życzę miłego dnia, pomyślałam w duchu.

Szliśmy dalej na północ Montgomery Street, przećliśmy Columbus Avenue i droga zaczęła się wznosić ku Telegraph Hill. Wkrótce biurowce i restauracje zaczęły ustępować galeriom i rezydencjom zamożniejszych ludzi. Idąc labiryntem bocznych uliczek, doszliśmy do wiktoriańskich domów i mieszkań, których wyjście prowadziło do ogrodu, w trójkącie ulic Columbus, Montgomery i Filbert. Podejście było bardzo strome, może nie aż tak strome jak to, które każdej niedzieli pokonuję w drodze do parku Delo-res, ale kiedy dotarliśmy na szczyt wzgórza, stając, ku mojemu zdumieniu, naprzeciw remizy strażackiej Joego, oboje ciężko dyszeliliśmy.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy wstąpili do Joego? — zapytałam.

Pomyślałam, że także Breen musiał tu odpocząć, nawet jeśli bardzo się spieszył. Od hotelu Excelsior dzieliło nas już osiem, dziesięć przecznic, a szliśmy nieprzerwanie od dwudziestu minut.

- Dobry pomysł - stwierdził Monk.

Wyglądał na kogoś, komu również potrzebny był odpoczynek. Była to także okazja, by trochę się osuszyć. Mżawka nikomu nie przeszkadza, dopóki człowiek nie zauważy, że przemókł do suchej nitki, a przemokliśmy oboje.

Zresztą, mniej czy bardziej udało nam się dowieść, że Lucas Breen mógł dojść w ciągu pół godziny z hotelu do domu Esther Stoval, który stał raptem parę ulic dalej.

W remizie oczywiście wszystko lśniło czystością,

nawet wiszące na stojakach komplety strażackich kombinezonów były czyściutkie; błyszcząca w nich każda zapinka, każdy guzik i każdy zamek błyskawiczny.

Strażacy siedzieli w kuchni i jedli pizzę. Od razu rzucił mi się w oczy pusty wiklinowy kosz po Spar-kym i piszcząca, gumowa zabawka w kształcie kości, które pozostawały nietknięte na swoim miejscu. Monk również je zauważył. Domyśliłam się, że Jo-emu wciąż trudno było zaakceptować odejście Spar-kyego. Dobrze znałam to uczucie. Rzeczy Mitcha trzymałam w szafie niemal przez rok po jego śmierci. Wiem, że także Monk ma jeszcze poduszkę, na której sypiała jego żona. Ma ją w garderobie, zamkniętą w plastikowym worku.

Gdy Joe mnie zobaczył, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Zerwał się z miejsca i popędził w naszą stronę na powitanie. Ale kiedy już do mnie podbiegł, nie wiedział, jak się zachować. Pocałować? Przytulić? Wyciągnąć do mnie rękę? W końcu uściskaliśmy się po przyjacielsku.

- Natalie, pan Monk, co za niespodzianka. Przyšliście akurat na pizzę. - Joe spojrzał do tyłu, na kapitana Mantootha, który wyciągał w kierunku Mońka kawałek pizzy na serwetce.

- Nie, dziękuję - odparł Monk. - Zatrzymaliśmy się, żeby zadać jeszcze parę pytań.

Znowu się dowiaduję o czymś ostatnia. Sądziłam, że do remizy zaszliśmy tylko przez szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Kapitanie Mantooth, czy zauważył pan, aby przed piątkiem wieczór brakowało wam ręczników?

- Oczywiście, zawsze gdzieś się jakiś zapodzieje — odpowiedział Mantooth. — Z ręcznikami jest jak ze skarpetkami. Wie pan, jak to jest, panie Monk.

- Nie... Nie wiem. — Monk był szczerze zdziwiony.

- Każdemu giną skarpetki — mówił dalej Man-

tooth, a zebrani wokół niego panowie potakiwali zgodnie głowami; ja również potakiwałam. - Nigdy nie zginęła panu skarpetka?

- Jakżeby mogła? Skarpetki są albo na moich nogach, albo w koszyku, w drodze między pojemnikiem na brudy, pralnią i szufladą na skarpetki — powiedział Monk. — Zupełnie nie rozumiem, jak człowiek może zgubić skarpetki.

- To jedna z wielkich tajemnic życia - westchnął Joe.
- Gdzie się podziewają te wszystkie zaginione skarpetki?

- Tam, gdzie ręczniki - zaśmiał się Mantooth.

- I gdzie moja bielizna - dodałam beztrąsco.

Uśmiech na twarzy Mantootha zgasł. Rozejrzałam się. Wszyscy wpatrywali się we mnie z zaciekawieniem.

- Dajcie spokój, panowie, każdemu czasem ginie bielizna.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, pokręcili głowami i znowu spojrzeli na mnie z zakłopotaniem w oczach, a zwłaszcza Monk i Joe.

- Wiem to z doświadczenia... — dodałam.

- Chciałbym, żeby pan się nad czymś zastanowił, kapitanie — powiedział Monk, szczedząc mi dalszego wstydu, choć byłam pewna, że nie dlatego się odezwał. - Ogólnie rzecz biorąc, czy po powrocie z akcji zauważyłby pan brak jednego czy dwóch ręczników?

Mantooth myślał przez chwilę.

- Teraz, kiedy pan o tym mówi, może tak, ale dla pewności musiałbym sprawdzić w rejestrze.

- Prowadzi pan rejestr zagubionych ręczników? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Prowadzę wykaz dokumentujący wydatki na zakup nowych ręczników - wyjaśnił Mantooth. - Muszę się rozliczać z każdego wydanego centa.

Miałam przeczucie, że rozliczałby się z każdego centa nawet wtedy, gdyby nie musiał. Nic dziwnego, że

Monk chciał być strażakiem. Mantooth był równie pedantyczny. Dało mi to powód do zastanowienia, jaka może być ciemna strona Joego. Kiedy przyszedł po mnie na randkę, był nadzwyczaj punktualny. Ma fioła na punkcie punktualności? Co się stanie, kiedy prędzej czy później spóźnię się na spotkanie? Monk odwrócił się do Joego.

- Czy Sparky się włączył po okolicy tylko wtedy, gdy załoga wyjeżdżała do akcji?

- Tak-odpowiedział Joe.

- Dlaczego nie był uwiązany?

- Sparky zawsze wracał — tłumaczył Joe. — Nie chciałem mu ograniczać wolności.

- A kiedy wracał, to czym pachniał? - pytał dalej Monk

Joe wydawał się kompletnie zaskoczony tym pytaniem. Ja na pewno byłam.

- Łajnem. Nie mam pojęcia, w co włożył.

- Bardzo śmierdział?

- Kąpałem go natychmiast po powrocie, w przeciwnym razie dostałbym upomnienie od kapitana.

- Lubię, kiedy remiza jest czysta - wtrącił Mantooth. — Czystość to zewnętrzny wyraz ładu.

- Amen, bracie - przytaknął Monk, a potem się do mnie uśmiechnął.

Widziałam już wcześniej ten uśmiech, zazwyczaj krótko przed tym, gdy ktoś miał być aresztowany i odesłany z wysokim wyrokiem do więzienia.

- Chodźmy porozmawiać z panem Dumasem.

Podążyłam za Monkiem na drugą stronę ulicy, do domu Gregoria Dumasa, i zapukałam do drzwi. Monk stanął za moimi plecami jak za tarczą, z uniesionymi rękami, by w razie czego chronić gardło przed psim atakiem. Co za kurtuazja.

Gregorio otworzył nam w czerwonej bonzurce i spodniach od pizamy, obwieszony tyłoma błyskotkami,

że Mister T, Sammy Davis Junior albo Librace wyglądaliby przy nim ubogo. Wiem, odniesienia do tych gwiazd wydają się zapewne starej daty, ale gdzieś w okresie między ukończeniem college'u a dniem, w którym zostałam matką, moja kulturalna igła magnetyczna stanęła w miejscu. Nie chcę się zastanawiać, jak daleko dzisiaj jestem od amerykańskiej popkultury, bo czuję się wtedy tak, jakbym się stała moją własną matką, a to napawa mnie przerażeniem.

Ale wróćmy do Gregoria. Monk zapytał najpierw, czy piesek jest zamknięty z tyłu domu, a jeśli tak, to czy moglibyśmy wejść i przez chwilę porozmawiać.

Gregorio niechętnie wpuścił nas do środka. Zajęliśmy miejsca na kanapie, a on usiadł naprzeciwko nas na krześle. Nie wyglądał na uszczęśliwionego naszym widokiem.

- Możemy to w miarę szybko załatwić? - zapytał. - Właśnie oglądam *Va banque*.

- To ten teleturniej, w którym prowadzący daje odpowiedź, a gracz musi ułożyć do niej pytanie? - zainteresował się Monk.

- Tak, to ten.

- Świetnie - ucieszył się Monk. - Zagrajmy.

- Znaczy co...? — nie rozumiał Gregorio. — Chcecie oglądać ze mną telewizję?

- Zagrajmy sami. Ja podam panu odpowiedź, a pan ułoży do niej pytanie. To co, gotów? Zaczynamy, oto odpowiedź: „Aby zdobyć złoto Rodericka Turlocka”.

Gregorio niemal podskoczył na krześle, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

- No, panie Dumas - zachęcał Monk. - Niech pan zgaduje.

Gregorio nic nie powiedział, ale na jego czole pojawiły się kropelki potu. Monk kiwnął teatralnie ręką i głośno zabuczał.

- Czas minął! - obwieścił. - Pytanie brzmi: „Dla-

czego kopał pan tunel z domu do kanalizacji i od kanalizacji do remizy strażackiej?" Świetna zabawa, co? Uwaga, oto następna odpowiedź: „Aby wytrzeć ślady butów, pozostawione przez mnie na posadzce w remizie". Może pan sformułować pytanie?

Gregorio oblizwał wargi i otarł nerwowo brwi.

— Nawet się pan nie stara, panie Dumas - powiedziała Monk.

— Staram się - odparł Gregorio. - Tylko żadne pytanie nie przychodzi mi do głowy. Ta odpowiedź jest bez sensu.

— Ja wiem, ja wiem — powiedziała, podnosząc rękę i machając nią entuzjastycznie.

Monk się uśmiechnął i wskazał mnie palcem.

— Brawo, Natalie. Jak brzmi pytanie?

— Dlaczego pan Dumas ukradł ręczniki?

— Tak jest! - krzyknął Monk. - Pan Dumas przekopał tunel pod remizę, aby pod nieobecność strażaków szukać złota. Nie chciał jednak, by Sparky czekał i zwracał uwagę innych na tunel, więc wywabiał go z remizy piszczącą gumową kością. To ulubiona zabawka Sparky'ego. Na ganku pana Dumasa leży dokładnie taka sama, jaką widzieliśmy w legowisku Sparky'ego.

Rozmaite fakty, wszystko, co widzieliśmy i co słyszeliśmy, nagle ułożyło się w mojej głowie w jedną całość. To było bardzo radosne uczucie i przez krótką chwilę zrozumiałam, dlaczego detektywi chcą być detektywami.

— Sparky dostał się na posesję przez tunel i kanalizację - powiedziała. — Dlatego udało mu się omiąć płot ze spiralą z drutu kolczastego i pokryć Letitię. Dlatego też Sparky wracał do remizy, śmierdząc, jakby nurzał się w łajnie. Bo faktycznie było to łajno.

Gregorio zlał się potem.

— Tę rundę wygrywa Natalie, panie Dumas - powiedział Monk. - Jeżeli chce pan grać dalej, musi

pan ułożyć pytanie do kolejnej odpowiedzi. Uwaga, oto ona: „Piętnaście lat więzienia”.

- O czym pan, do diaska, mówi?! - zawołał skrzeczącym głosem Gregorio.

Monk pokręcił głową z dezaprobatą.

- Nie, przykro mi. Właściwe pytanie brzmi: „Ile wynosi łączny wyrok za wniesienie fałszywego pozwu i znęcanie się nad zwierzętami ze szczególnym okrucieństwem?”

- O, Letitię traktowałem po królewsku - zaperzył się Gregorio.

- Ale zamordował pan Sparky'ego — wtrąciłam.

- Jesteście w błędzie — zaoponował Gregorio. — Tak, prawda, kopałem tunel, żeby się dostać do złota Turlocka, byłem też w remizie w piątek wieczór, ale to nie ja zabiłem Sparky'ego.

- Niech pan nas przekona - powiedziałam.

- Prawda jest nieco inna. Letitia najlepsze lata ma już za sobą, szczyt rozkwitu też. Ostatni konkurs dwa lata temu wygrała tylko dzięki temu, że wydałem dwadzieścia dwa tysiące dolarów na daleko posuniętą kosmetykę.

- Miała operację plastyczną? - zapytał Monk.

- Dzięki temu przetrwała jeszcze jeden rok na wystawach i konkursach, ale to już był definitywny koniec - powiedział Gregorio. - Sędziowie mają wyostrzony wzrok, poza tym żadne operacje chirurgiczne nie powstrzymają nieuchronnego zanikania piękna. Żyliśmy ze złotych monet, które udawało mi się wykopać pod remizą. Powziąłem plan, że kiedy monet zabraknie, będziemy żyć z odszkodowania, wynegocjowanego ze strażą pożarną za sprawą naszego pozwu.

- Nieuczciwego pozwu - dodałam. — Wykorzystał pan Letitię, aby zajmowała uwagę Sparky'ego, a pan urządzał sobie poszukiwanie złota.

—Niech nam pan powie, panie Dumas, co się stało w piątek wieczór - poprosił Monk.

Gregorio westchnął ciężko.

—Zacząło się jak zwykle. Kiedy wozy odjechały, przeszedłem tunelem do piwnic remizy. Słyszałem ujadanie Sparky'ego. Kiedy jednak wyszedłem w piwnicy, nic już nie słyszałem. Wziąłem więc dwa ręczniki, wytarłem nimi podeszwy butów i poszedłem się rozejrzeć na górę. Wtedy zobaczyłem leżącego Sparky'ego i tego strażaka, który wychodził z budynku.

Aż parsknęłam ze wstrętem.

—Pan się uparcie trzyma bajeczki, że to sprawa kóregoś ze strażaków? Bo pękne ze śmiechu. Dlaczego od razu nie powie nam pan całej prawdy?

—Mówię prawdę — zarzekł się Gregorio, a w jego oczach zalśniły łzy. - Nie mógłbym zabić Spark/ego.

—Niby dlaczego? — zapytałam, wkładając w te dwa słowa jak najwięcej wzgardy i sarkazmu.

—Bo Letitii pękłoby serce. - Dumas otarł z policzka łzę. — Mnie też. Kochałem to przekłętę psisko.

Monk pokręcił po swojemu szyćą i wzruszył nerwowo ramionami.

—Tak, to by się wszystko doskonale zgadzało.

Powiedziawszy te słowa, Monk wstał raptownie i wyszedł z domu, nie mówiąc nawet zwykłego „do widzenia”. Musiałam się pospieszyć, żeby go dogonić.

—Jak to, nie przyciśniemy go teraz do muru?

—Przecież to zrobiłem — odpowiedział Monk, ruszając w kierunku hotelu Excelsior.

—Za kradzież ręczników i sfirowany pozew, a co z zabiciem Sparky'ego?

—To nie on zabił Sparky'ego.

—Jeśli nie on, to kto?

—To oczywiście — odpowiedział Monk. - Sparkye-go zabił Lucas Breen.

12

Monk wykonuje ruch

Było już całkowicie ciemno, kiedy schodziliśmy zbo-
czem do hotelu, gdzie na opłatę parkingową będę
musiała chyba przeznaczyć swoją miesięczną ratę za
samochód. Już tylko to mogło być wystarczającym
motywy do popełnienia zabójstwa. Dziwię się, że
parkingowi w hotelu nie mają na sobie bojowych heł-
mów, kamizelek kuloodpornych i nie siedzą w kabinach
za pancernymi szybami.

- Dlaczego Lucas Breen chciał zabić strażackiego
psa? - zapytałam.

- Wcale nie chciał — odpowiedział Monk. — Mu-
siał. Kiedy wchodził do remizy, nie miał zielonego
pojęcia, że jest tam pies.

- Po co w ogóle tam wchodził? - pytałam dalej.

W miarę jak zbliżaliśmy się do centrum finansowego,
przechodniów było coraz mniej, a ulice wydawały się
jakiś ciemniejsze i zimniejsze.

- Żeby ukraść hełm i strażacki płaszcz - wyjaśnił
Monk. - To on był tym wychodzącym z remizy stra-
żakiem, którego widział Dumas.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziałam. - Co każe
panu myśleć, że to był właśnie Lucas Breen?

- Środki, motyw i sposobność - oświadczył Monk, a
po chwili wyłożył mi całą teorię na temat tego, co się
stało w piątek wieczorem.

Okolo dziewiątej piętnaście Lucas Breen wymknął
się niepostrzeżenie z hotelu Excelsior, przeszedł na
pochotę do domu Esther Stoval i udusił

kobietę poduszką. Ułożył ją w takiej pozycji, żeby się wydawało, że zasnęła z zapalonym papierosem w ręku, a potem się schował na zewnątrz, by się upewnić, że ogień strawi salon. W końcu puścił się biegiem z powrotem do hotelu, ale nagle się zorientował, że zostawił u Stoval coś, co może go zdemaskować.

Było jednak za późno, żeby drugi raz wejść do domu; stał w płomieniach, a strażacy już podjeżdżali. Breen jednak nie mógł dopuścić, aby ogień zajął to, co tam pozostawił. Szczęśliwym trafem, nieopodał znajdowała się remiza. Postanowił ukraść strażacki płaszcz, wrócić do domu Esther, zabrać tę ważną, pozostawioną w piekle rzecz, a potem, w drodze powrotnej do hotelu, oddać strażacki strój.

- Jednak nie wiedział o Sparkym — zakończył Monk.
- Pies się na niego rzucił, więc chwycił kilof, żeby się bronić.

To oznaczałoby, że wypadki w remizie potoczyły się tak, jak opisywał to Monk po naszej pierwszej wizycie u strażaków.

Byliśmy tak zajęci rozmową, że nie zwracałam uwagi na otoczenie, a zmieniło się ono zasadniczo, kiedy weszliśmy między dwa mroczne budynki i orzeźwił nas nagły, lodowaty powiew wiatru. Nikłe światło księżyca przesłaniał las drapaczy chmur. Wiatr gwizdał między budynkami, podrywając papierki po fastfoodowych kanapkach i inne poniewierające się śmieci - chwasty współczesnego miasta.

Otuliłam się mocniej kurtką. Ale nie tylko chłód wywoływał u mnie gęsią skórkę. Byliśmy z Monkiem jedynymi przechodniami. Zdumiewające, jak błyskawicznie pustoszeją biurowce w centrum finansowym. Gdyby nie mijający nas od czasu do czasu samochód czy autobus, można by odnieść wrażenie, że jesteśmy ostatnimi ludźmi na ziemi.

—Co podsunęło panu myśl, że Lucas Breen przyszedł do remizy po strażackie przebranie?

—Kiedy byliśmy pierwszy raz w remizie, zauważyłem, że jeden z płaszczy wisi odwrotnie niż pozostałe — powiedział Monk. — Poprawiłem go naturalnie, ale to wciąż nie dawało mi spokoju.

Tylko Mońka mogło coś takiego dręczyć. Kiedyś w cukierni Winchell's popełniłam błąd i do tuzina paczków przyjąłem jednego gratisowego; od tamtego czasu ten trzynasty paczek spędza Monkowi sen z powiek.

—Kapitan Mantooth lubi porządek - powiedział Monk. — Strażacy wiedzieli aż nadto dobrze, że płaszcze muszą wisieć w jedną stronę. Ale Breen nie wiedział. Płaszcz, który poprawiłem na stojaku, to był właśnie ten, który Breen ukradł w piątek, gdy zamordował Esther Stoval.

—W takim razie będą na nim odciski jego palców - stwierdziłam.

Monk jednak pokręcił głową.

—Po każdej akcji strażacy czyszczą płaszcze i hełmy, żeby usunąć toksyny dymu.

Gdyby strażacy nie czyścili wszystkiego na połysk tak gorliwie, moglibyśmy mieć dowód rzeczowy, tak potrzebny, żeby posadzić Breena. Tymczasem nie mieliśmy nic, chyba że Monk wymyślił coś, o czym nie chciał mi jeszcze powiedzieć.

—Jak zamierza pan udowodnić, że Lucas Breen był w remizie?

Zanim jednak Monk zdążył odpowiedzieć, ktoś chwycił mnie od tyłu, wciągnął w boczną uliczkę i przyłożył do gardła zimną stal ostrego noża.

—Rzuc torebkę — zasyczał mi w ucho chrapliwy głos.

Monk odwrócił się w moim kierunku i otworzył oczy z przerażenia.

—Proszę puścić tę panią — powiedział.

—Zamknij się i chodź tutaj, bo poderżnę jej gardło.

Monk zrobił, jak mu kazano. Wycofaliśmy się jeszcze dalej w głąb ciemnej uliczki. Bałam się oddychać, nawet drzeć, w obawie, że każdy ruch spowoduje wbicie się ostrza w moją krtań.

—Ty tam - powiedział napastnik do Mońka. — Dawaj portfel i zegarek.

Monk wyjął portfel, otworzył go i zaczął skrupulatnie przeglądać zawartość.

—Co robisz, do cholery? - zdenerwował się opryszek.

Pomyślałam zupełnie to samo. Czy Monk nie widzi, że mam nóż na gardle?

—Przejrzę portfel za pana - odpowiedział Monk.

—Sam to zrobię — stwierdził napastnik.

W jego oddechu wyczuwałam alkohol, a w jego pocie - desperację. A może czułam własną desperację?

—Jeśli jednak ja to zrobię - nie ustępował Monk - będę mógł zatrzymać rzeczy, które pan na pewno by wyrzucił.

—Dawaj mi ten cholerny portfel!

—Na pewno chce pan pieniądze i karty kredytowe, ale chciałbym zatrzymać zdjęcie mojej żony. — Monk pokazał małą fotografię Trudy.

—No dobra. To możesz sobie zabrać. Resztę dawaj. Bo poderżnę jej gardło. Nie żartuję.

Przez zimne ostrze noża, przyciśnięte do mojej szyi, czułam, jak męczyzna drży w narastającym zdenerwowaniu. Wystarczyło lekko docisnąć nóż, bym zaczęła krwawić.

—Proszę, niech pan robi, co on każe - poprosiłam Mońka.

Monk kompletnie mnie zignorował i wyciągnął z portfela zielono-złotą kartę, którą podniósł wysoko, by bandzior mógł ją dobrze zobaczyć.

- Po co panu karta stałego klienta do księgarni Barnes & Noble? Na mola książkowego mi pan nie wygląda. Naprawdę potrzebna panu dziesięcioprocentowa zniżka na książki? Nie sędzę.

- Zaraz ją potnę, do jasnej cholery! — wrzasnął za moimi plecami opryszek.

Wierzyłam mu. Z każdą sekundą stawał się coraz bardziej rozdrażniony.

- Karta klubowicza marketu Ralph's? Cóż z niej panu przyjdzie? Na artykuły spożywcze ma pan praw dopodobnie pełną zniżkę, bo przecież je pan kradnie.

Bandzior całą uwagę skoncentrował teraz na Mon-ku. Poczułam, że nacisk ostrza na moim gardle zelżał, a uchwyt w pasie wyraźnie osłabł. Nie namyślając się dłużej, złapałam go jedną ręką za nadgarstek, grzbietem drugiej walnęłam w twarz, a obcasem nastąpiłam z całej siły na jego stopę. Poczułam pod nogą chrzęst śródstopia.

Bandzior wrzasnął, puścił mnie, a nóż wypadł mu z ręki. Kopnęłam nóż daleko od nas, obróciłam się i z całej siły uderzyłam go kolanem w krocze. Zgiął się wpół, a wtedy pchnęłam go głową na ścianę. Mężczyzna odbił się od ściany i padł na plecy, rozrzucając nogi na boki. Wpakowałam mu kolano w krocze, przygwoździłam rękami do ziemi jego barki i spojrzałam na Mońka.

Stał wciąż w tym samym miejscu, pieczołowicie zajęty umieszczaniem wszystkiego z powrotem w przegródkach portfela. Czułam przypływ adrenaliny, serce waliło mi jak młotem, z trudem łapałam oddech.

- Dzięki - powiedziałam. - Bardzo mi pan pomógł.

- Próbowałem rozproszyć jego uwagę, żebyś mogła wykonać swój ruch.

-Mój ruch? Co w takim razie z p a n s k i m ruchem?

- To był właśnie mój ruch. - Monk włożył portfel

z powrotem do kieszeni. - Gdzie się tego nauczyłaś?

—Ja też chciałbym to wiedzieć - zacharzał podę mną opryszek.

—Patrzę, jak córka ćwiczę na zajęciach taekwon-do.

— Spojrzałam na Mońka i skinęłam w kierunku torebki.

— Może pan skorzystać z mojego telefonu komórkowego i wezwać policję.

—Jeszcze nie. - Monk podszedł i przykucnął obok mnie. — Przepraszam, panie Opryszku. Często pracuje pan na tej ulicy? To pański rejon działania?

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Przcisnęłam kolaniem jego jądra, aż zapiszczał z bólu. Jestem kobietą, usłyszcie mój ryk!

—Odpowiadaj - powiedziałam krótko.

Oprych przytaknął.

—Tak, to mój rewir.

—Pracował pan również w piątek wieczór? - zapytał Monk.

—W mojej profesji nie ma niestety wiele urlopu — odpowiedział bandzior.

—Czy jedną z pańskich ofiar w tamten wieczór był może niejaki Lucas Breen?

—Pieprzę cię...

Naparłam kolaniem mocniej na jego intymne części.

—Wiele sobie nie popieprzysz, jeśli nie będziesz bardziej gadatliwy.

Wiedziałam, że zachowuję się jak bohater filmu o złym glinie, ale czułam jeszcze adrenalinę i wciąż byłam wściekła, że ktoś przyłożył mi do gardła nóż. Im ostrzej mówiłam, tym pewniej się czułam i tym szybciej znikał strach.

—Tak, tak, obrobiłem Breena - wyskamlął.

Oczy miał tak wybałuszone, że aż się wystraszyłam, iż lada chwila wyskoczą mu z głowy i poturlają się po ulicy. Zwolniłam trochę ucisk.

- O której godzinie pan na niego napadł? — zapytał Monk.

- Nie mam zegarka.

- W swojej karierze zawodowej musiał pan ukraść setki zegarków. Nigdy nie brał pan pod uwagę, by jeden sobie zatrzymać?

- Jakoś nie umawiam się zbyt często na spotkania.

- Czy Breenowi czegoś może brakowało?

- Po spotkaniu ze mną na pewno.

- Przedtem nie? - powiedział Monk.

- Zabrałem mu portfel i zegarek. Pozwoliłem mu zatrzymać ślubną obrączkę.

- Dlaczego?

- Ludzie są cholernie wrażliwi na tym punkcie i często głupieją. Dla obrączki gotowi są zaryzykować życie. — Spojrzał na Mońka. - Nigdy się nie spotkałem z kimś, kto ryzykowałby życie dla karty klubowicza marketu Ralph's.

- Drobne oszczędności naprawdę sumują się w większe - odpowiedział z przekonaniem Monk. - Zauważył pan w zachowaniu Breena coś nietypowego?

- Cholernie się spieszył. Nie mógł się doczekać, żeby oddać mi wszystko, czego chciałem - powiedział rabuś. - I śmierdział spalenizną, jakby wybiegł właśnie z płonącego budynku albo co...

Monk zadzwonił do Stottlemeyera. W czasie, gdy zdawał mu relację ze zdarzenia, podjechał wysłany natychmiast przez kapitana radiowóz, z którego wyskoczyło dwóch policjantów i zajęło się rabusiem. Potem wzięłam od Mońka telefon i zadzwoniłam do mojej sąsiadki, pani Throphammer, którą ublażałam, żeby przez najbliższe parę godzin, kiedy będziemy sprawdzać informacje bandziora, zaopiekowała się Julie. Odkąd zaczęłam pracować z Monkiem, pani

Throphamner zdążyła przywyknąć do moich niespodziewanych i niespokojnych telefonów z prośbą o pomoc w opiece nad córką.

Kiedy kończyliśmy składać policjantom zeznania, pojawił się Stottlemeyer i gestem zaprosił nas do samochodu.

—Dokąd jedziemy? — zapytałam.

—Myśle, że nadszedł czas na drugą pogawędkę z Lucasem Breenem - powiedział Stottlemeyer.

Wykonał parę telefonów i dowiedział się, że Breen przebywa jeszcze u siebie biurze, dosłownie parę przecznic dalej.

Kiedy weszliśmy do budynku, Stottlemeyer skorzystal z uprzejmości wartownika i sam zadzwonił do gabinetu przedsiębiorcy. Połączył się z sekretarką, którą zapytał uprzejmie, czy Breen nie zechciałby zjechać na dół i spotkać się z nami w holu. Kiedy sekretarka odpowiedziała, że pan Breen jest bardzo zajęty, Stottlemeyer tylko się uśmiechnął.

—Świetnie - powiedział. — Proszę mu zatem przekazać, że o panie Lizzie Draper możemy porozmawiać w jego domu, w obecności żony.

Stottlemeyer odłożył słuchawkę i ruszył do kawiarenki Boudin Bakery.

—Mogę was zaprosić na filiżankę kawy w czasie, gdy będziemy czekać na Breena?

Bez namysłu podchwyciłam propozycję Stottlemeyera i namówiłam go jeszcze, żeby swoją ofertę osłodził świeżą bagietką. Monk poprzestał na butelce ciepłej wody Sierra Springs z mojej torebki.

Pięć minut później Lucas Breen wyszedł z windy. Podszedł do nas i przysiadł się do stołu.

—Ciekawe, jaka to ważna sprawa kazała wam na gwałt odciągać mnie od pracy - powitał nas cierpko.

—Nie musiał pan przecież schodzić - zaczął Stottlemeyer. - Ale, jak się domyślam, woli pan, żeby

małżonka nie przysłuchiwała się historii pańskiego romansu z Lizzie Draper.

- Nigdy nie słyszałem o żadnej Lizzie Draper.

- To pańska kochanka — powiedział spokojnie Stottlemeyer.

Breen się uśmiechnął zarozumiałe i wymownie obciągnął mankiety swojej koszuli z monogramami.

- Tak mówi? — zapytał. Stottlemeyer

zaprzeczył ruchem głowy.

- Tak myślałem.

- Wiemy, że kupił jej pan bukiet kwiatów w kwiatarni w holu tego budynku - powiedział Stottlemeyer.

- Doprawdy? Kupuję u Flo dużo kwiatów. Dla mojej żony, dla sekretarki, dla klientów, a nawet po to, żeby udekorować nimi gabinet. Skąd pan wie, że ten bukiet był ode mnie? Mógł go kupić każdy w tym gmachu. Ta kobieta mogła sama sobie kupić taki bukiet.

- Ale to pan jej go kupił - odezwał się Monk. - Prawdopodobnie wtedy, kiedy zostawił pan u niej swoją koszulę. Miała ją na sobie, gdy otworzyła nam drzwi. Na guzikach znajdują się pańskie inicjały.

- Żona oddaje nasze używane rzeczy organizacji Goodwill — wyjaśnił Breen. - Nigdy nie lubiła tej dzinsowej koszuli. Być może pani, z którą rozmawialiście, ma słabość do zakupów w tanich komisach?

- Skąd pan wie, że chodzi o koszulę dzinsową? - przyłapał go Monk. - Przecież nie mówiliśmy, jakiego rodzaju koszulę miała na sobie.

- Guziki - odparł szybko Breen. - Inicjały na guzikach, nie na spinkach, mam tylko na dzinsowych koszulach i sportowych z krótkim rękawem.

- Skąd pan w takim razie wie, że nie mówiliśmy o sportowej koszuli z krótkim rękawem?

- Jestem szczęśliwym mężem i wiernym mojej

żonie, ale nawet jeśli tak nie było, to zdrada małżeńska nie jest zbrodnią, prawda?

- Ale morderstwo owszem jest - odpowiedział Monk. - To pan zabił Esther Stoval.

- To śmieszne - odparł Breen. - Nie miałem najmniejszego powodu, by chcieć jej śmierci.

- Stoval wiedziała o pańskim romansie i szantażowała pana - dowodził Monk. - W piątek wieczór wymknął się pan z przyjęcia charytatywnego, udusił Esther Stoval i podpalił jej dom.

- Zapomniał pan, że do północy nie wychodziłem z Excelsioru - bronił się Breen.

- Ależ tak, wychodził pan i możemy to udowodnić — wtrącił Stottlemeyer. - Został pan napadnięty i obrabowany poza hotelem. Mamy rabusia i wiemy, że zgłosił pan w banku kradzież kart kredytowych. Jedno jest jednak dziwne. Nie zgłosił pan napadu policji. Hm, ciekawe dlaczego.

Breen westchnął ze znużeniem.

- Chciałem tylko zapalić. Wtedy zostałem napadnięty. Trudno chyba mówić, że na dłużej „wyszedłem z hotelu”.

- Dlaczego więc nikomu pan o tym nie powiedział? - zapytał Stottlemeyer.

- Ponieważ obiecałem żonie, że rzucę palenie. Gdyby się dowiedziała, że wciąż palę cygara, ukręciłaby mi głowę.

- I dlatego nie zgłosił pan napadu policji? Ponieważ bał się pan, że żona się dowie, iż pali pan cygara? — zapytał Stottlemeyer, cedząc każde słowo z nutą głębokiego niedowierzania.

- Nie podoba mi się pański ton, kapitanie. Nie zawiadomiłem policji, ponieważ wiedziałem, że o napadzie natychmiast dowie się prasa i sprawa trafi na czołówki wszystkich wiadomości. W żadnym razie nie zależy mi na tworzeniu wokół mojej dzielnicy atmos-

fery siedliska przestępczości. Jako współwłaściciel Excelsioru mam w tym interes. Stracilibyśmy zyski z wynajmu pokojów, z organizacji przyjęć weselnych i konferencji biznesowych. Ale jest jeszcze coś. Kocham San Francisco. Nie chciałbym zrobić niczego, co mogłoby godzić w wizerunek miasta i przyczynić się do spadku ruchu turystycznego.

—Wspaniała historia, bardzo nas poruszyła - powiedział Monk. — Oto jednak, co się naprawdę stało. Przez nieuwagę zostawił pan coś w domu Esther Sto-val. Aby wrócić i to odzyskać, ukradł pan płaszcz strażacki i hełm. Nie wiedział pan jednak, że w remizie jest pies, i kiedy zwierzak ruszył na pana z ujadaniem, zabił go pan kilofem.

—Więc teraz oskarżacie mnie o zamordowanie psa? - zapytał Breen. — To po prostu oburzające. Macie jakieś dowody na takie bajdurzenia?

—Rabus zeznał, że cuchnął pan spalenizną - powiedziałam.

—Cuchnąłem? Zupełnie jakby słyszał moją żonę. Mój Boże, dzisiaj wszyscy są przeciwko palaczom, nawet uliczny bandzior. Mówiłem już, paliłem cygaro. On wyczuł cygaro. Przecudny aromat Partagas Salamonos.

Breen podniósł oczy, spojrzał poza moje plecy i nagle coś na zewnątrz przykuło jego uwagę. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam za oknem włóczkę. Tego samego, którego Monk obdarował chusteczkami Wet Ones. Szedł, powłócząc nogami, w tym samym wystrzępionym, za dużym płaszczu i pchał przed sobą rozklekotany wózek, wypełniony po brzegi jakimiś śmieciami. Kiedy mnie zobaczył, pokazał mi środkowy palec.

Breen odwrócił się z powrotem do Stottlemeyera, a kiedy zaczął mówić, jego ton był ostrzejszy.

—Wystarczająco długo wystawiacie na próbę moją

cierpliwość tym idiotycznym odpytywaniem. Proszę powiedzieć, w czym rzecz, i kończmy spotkanie.

- Monk ma rację. Zabił pan starszą panią, zabił pan psa i będzie pan za to siedział. Wiemy to wszyscy czworo, jak tu siedzimy — mówił Stottlemeyer. — Rzecz tylko w tym, że skoro jest pan tak ważną postacią w departamencie policji i w ogóle w mieście, to pomyślałem sobie, że zanim obaj zmarnujemy mnóstwo czasu i pieniędzy, dam panu możliwość zawarcia układu.

- Słyszałem, że jest pan wschodzącą gwiazdą w policji, kapitanie, i że pan, panie Monk, jest nadzwyczaj błyskotliwym detektywem. Najwyraźniej jednak zostałem źle poinformowany. Głęboko się panami rozczarowałem. Żegnam.

Lucas Breen wstał z krzesła, pożegnał mnie lekkim skinieniem głowy i podszedł z powrotem do windy.

- Rozczarował się nami, Monk. - Stottlemeyer dopił kawę. - Jestem zdruzgotany. A ty?

- Uprzykrzy teraz panu życie, kapitanie - stwierdził Monk.

- Nie aż tak bardzo jak ja jemu - odparł Stottlemeyer. - Jeszcze dzisiaj będę miał nakaz rewizji. Przetrząsnę mu dom i biuro w poszukiwaniu tego drobiazgu, po który wrócił do Esther Stoval. Powiedz mi tylko, co to było.

- To dla niego coś bardzo... bardzo kompromitującego.

- Czyli...? - zapytał Stottlemeyer.

- Coś, co jednoznacznie, niezbicie i ostatecznie demaskuje go jako mordercę.

- Rozumiem znaczenie określenia „kompromitujący” - powiedział Stottlemeyer. - Ale co to jest konkretnie? Co mam powiedzieć sędziemu? Czego szukamy?

Monk wzruszył ramionami.

Stottlemeyer spojrział na Mońka, a potem na mnie i znowu na Mońka.

—Nie wiesz?

- To dla niego coś tak niewiarygodnie druzgocącego, tak bardzo, że dosłownie przeszedłby przez bramę piekieł, żeby to odzyskać.

—No, to mam swój nakaz rewizji... - westchnął Stottlemeyer. - W gruncie rzeczy mówisz, że mamy figę z makiem.

- Właściwie - odpowiedział Monk. - Nawet tego nie mamy.

Monk odrabia zadanie domowe

Stottlemeyer podwiózł nas do hotelu Excelsior, gdzie, okazując odznakę policyjną, bez opłaty wydostał mój samochód z hotelowego parkingu. To musi być dopiero przyjemne, mieć taką odznakę i parkować, gdzie się żywnie podoba, nie martwiąc się o opłaty i mandaty.

Kazałam Monkowi obiecać, że ani słowem nie wspomni Julie o napadzie. Ojca już straciła i nie chciałam, żeby za każdym razem, gdy wychodzę z Monkiem z domu, bała się, że straci jeszcze matkę. Jeśli Monk miał jakiś problem z tym niewinnym kłamstwem, to nie dał tego po sobie poznać.

Kiedy weszliśmy do domu objuczeni zakupami z Pottery Barn, Julie odrabiała lekcje przy biurku, a pani Throphammer siedziała na kanapie przed telewizorem. Sztuczną szczękę położyła na serwetce na stoliku do kawy, przodem do ekranu, by również ona mogła się cieszyć kryminałem *Diagnoza: morderstwo*.

Przedstawiłam jej Adriana Mońka.

—Będzie u nas mieszkał przez parę dni.

Pani Throphammer włożyła szybko protezę do ust i wyciągnęła dłoń.

—Miło mi wreszcie pana poznać.

Monk spojrział na wyciągniętą dłoń, podrapaną i pokrytą bąblami, i zamiast ręką pani Throphammer potrząsnął powietrzem między nimi.

—Tak, mnie też jest bardzo miło — mówił Monk,

potrząsając z entuzjazmem powietrzem. - Co się stało z pani dłońmi?

—Podcinałam dziś róże - odpowiedziała. - To ciężka praca, ale bardzo ją lubię.

Zapłaciłam pani Throphammer dwanaście dolarów za opiekę nad Julie. Kobieta wsunęła banknoty za dekolt, posłała Julie buziaka i pospiesznie ruszyła do domu, żeby nie stracić ani sekundy ze śledztwa Dicka van Dyke'a.

- To taka słodka, starsza pani — powiedziałam, kiedy wyszła.

—Wiedźma - rzucił Monk. — Nie widziałas tych sękatych dłoni, tej pomarszczonej twarzy i bezzębnych ust?

Julie zachichotała wesoło. Pierwszy raz zdarzyło się jej zgodzić z Monkiem. Ja jednak uważałam, że są okrutni.

- Ma swoje lata i jest samotna, to wszystko. Jej mąż spędza większość czasu na wędkowaniu w wynajętym domku gdzieś pod Sacramento. Przez ostatnie kilka miesięcy pani Throphammer nie robi nic poza pielęgnowaniem ogródka i oglądaniem telewizji.

Oczywiście miało to dla mnie swoje dobre strony, ponieważ zbiegło się z nową pracą u Mońka i kiedy Julie miała zostać sama w domu, pani Throphammer była zawsze pod ręką. Lubiłam myśleć, że obie świadczamy sobie nawzajem przysługę.

Włożyłam do piekarnika mrożoną pizzę, ułożyłam na stole sztucce i tekturowe talerzyki i spytałam Julie, jak minął jej dzień. W tym czasie Monk się zajął utylizacją serwetki, na której pani Throphammer trzymała protezę. Założył gumowe kuchenne rękawiczki, przyniósł długie szczypce do grilla i pochwyciwszy nimi serwetkę, zaniósł ją ostrożnie do kominka, gdzie ją spopielił w płomieniach. Następnie odkaził stół i powietrze wokół niego taką ilością lizolu, że

wytopiłby każdy zarazek na przestrzeni kilometra kwadratowego. Musiałam szeroko otworzyć okno w kuchni, żeby i nas samych Monk nie wytopił. Julie przyglądała mu się uważnie, rozbawiona, a jednocześnie zafascynowana.

- Wciąż czuję jej zapach — powiedział Monk.

- To z pewnością zapach jej kwiatów - odparłam.- Otworzyłam okno w kuchni. Pani Throphammer spędza tak dużo czasu w ogrodzie, że po prostu przesiąkła wonią swoich róż.

Spojrzał na mnie badawczym wzrokiem, próbując wyczuć, czy mówię prawdę. W końcu postanowił mi uwierzyć, odstawił lizol i wyrzucił gumowe rękawiczki do kubła na śmieci. Ja zapewne wypłukałabym je i zostawiła do ponownego użycia, ale ja nie jestem Adrianem Monkiem.

Gdy pizza była gotowa, Monk pokroił ją na osiem równych kawałków. Usiedliśmy do stołu i zdałam Julie sprawozdanie z całego dnia, przemilczając napad i fakt, że udało się ustalić zabójcę Sparky'ego, ale zapewniłam ją, że niebawem winowajca wpadnie w nasze ręce. Wiem, że zabrzmiało to może nazbyt optymistycznie, ale bardzo wierzyłam w Mońka.

Po obiedzie Julie wróciła do lekcji, a ja się zabrałam do rozpakowywania i mycia nowych naczyń kuchennych i sztućców. Wiem, że Monk chętnie sam umyłby te naczynia, ale Julie miała wobec niego inne plany. Poprosiła, by pomógł jej w odrabianiu zadania domowego.

- To miło z twojej strony - powiedział Monk. -Nie chciałbym ci jednak przeszkadzać w zabawie.

- Pan myśli, że odrabianie lekcji to przyjemność? - zapytała Julie.

- Kiedy chodziłem do szkoły, odrabianie lekcji było moją drugą najbardziej ulubioną rzeczą - oświadczył Monk.

- W takim razie co było tą pierwszą najbardziej ulubioną? — zapytała Julie.

- Oczywiście sprawdziany. Wiesz, co jeszcze było prawie tak samo fajne? Dedukowanie, ile dni zostało do następnej nie zapowiedzianej kartkówki. Oczywiście nauczyciele udawali, że to ich irytuje, ale wiedziałem, że był to z ich strony przemyślny i znakomity sposób na to, bym rzucał sobie wyzwania. Ach, wracają wspomnienia... Pamiętam, jak co dzień wyrównywałem ławki w klasie. Robisz to czasem?

- Nie - odpowiedziała Julie.

- Masz w sobie za mało agresji! - zapalił się Monk.

- Nie sądzę, żeby tu chodziło o agresję.

- Cała sztuka polegała na tym, żeby każdego dnia przychodzić do szkoły godzinę wcześniej, bo w przeciwnym razie ubiegnie cię jakiś inny przedsiębiorczy uczeń czy uczennica. Rzecz jasna nikt mnie nigdy nie pokonał.

- Jest pan pewien, że komuś na tym zależało?

- Ależ oczywiście! Co, może mi jeszcze powiesz, że nikt nie chce rywalizować o szafkę z parzystym numerem w szatni? Ale z ciebie mały dowcipniś. — Monk odwrócił się do mnie ze śmiechem. — Prawda, jaki z niej wesolek?

- Oj, wesolek - przytaknęłam. - Wesolek i kawalarz.

- Czego się teraz uczysz? - zapytał ją Monk.

- Wszystkiego po trochu. Ale pomyślałam, że jest coś, o czym mógłby mi pan co nieco powiedzieć — odzwała Julie. - Na przyrodzie przerabiamy choroby zakaźne.

- Stoi przed tobą odpowiedni człowiek — stwierdził poważnie Monk i sięgnął po podręcznik do przyrody. — W gimnazjum nauczyłem swojego przyrodnika paru rzeczy na ten temat.

- Jakoś wcale mnie to nie dziwi. - Julie otworzy-

ła podręcznik na odpowiedniej stronie. - Jutro będziemy robić to ćwiczenie... Monk zaczął głośno czytać.

- „Niech każdy uczeń w klasie uściśnie dłonie dwóch osób i zapisze ich imiona...” - Monk urwał w połowie zdania. - Jak można narażać dzieci na coś takiego? Czy nie zdają sobie sprawy, jakie to niebezpieczne? Czy szkoła nie wymaga zgody rodziców na taki eksperyment?

- Och, nie - odpowiedziała Julie. - Po co?

- Po co? Po co?! - Monk odwrócił się do mnie. - Sama jej powiedz.

- Jak na mój gust, to raczej niewinny eksperyment — powiedziałam.

- Naprawdę? Zaraz zmienisz zdanie, posłuchaj tylko, proszę, co piszą dalej. — Monk znowu zaczął czytać tekst z podręcznika. — „Następnie niech każdy uściśnie dłonie dwóch kolejnych osób”. Co to za nauczyciele? Czy oni są poczytalni? Nie zdziwię się, jeśli każą biegać dzieciakom po klasie z nożyczkami w rękach.

- To tylko ćwiczenia, które mają dzieciom pokazać, jak się przenoszą choroby zakaźne - powiedziałam.

- Na ich własnym przykładzie?! - zachnął się Monk. - Co będzie dalej? Każą dzieciom napić się soku owocowego z cyjankiem, żeby zobaczyły, jak działa trucizna? Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak uczą w szkołach wychowania seksualnego.

- Mam pomysł. - Julie wzięła z rąk Mońka podręcznik i zamknęła go. — Niech pan lepiej przepytaj mnie na jutrzejszy sprawdzian. Tu są pytania.

Wręczyła mu jakąś kartkę.

- Mam nadzieję, że weźmiesz jutro do szkoły więcej dezynfekujących chusteczek i dodatkową parę gumowych rękawiczek.

- Dodatkową? - zdziwiła się Julie.

- Chyba nosisz do szkoły rękawiczki i chusteczki dezynfekujące, prawda?

Pokiwałam energicznie głową do Julie za plecami Mońka, która w lot pojęła, o co mi chodzi.

- Oczywiście, kto by nie nosił - odpowiedziała. - Myślałam tylko, że to, co zwykle noszę do szkoły, wystarczy mi aż nadto. To co, przepyta mnie pan?

Monk odetchnął z ulgą, przytaknął i rzucił okiem na kartkę z pytaniami.

- No dobrze, proszę. Co to jest patogen?

- Patogen to czynnik wywołujący chorobę - odpowiedziała Julie z uśmiechem zadowolenia.

- Źle— odparł Monk.

Uśmiech znikł z jej twarzy.

- To na pewno dobra odpowiedź. Pamiętam.

- Poprawna odpowiedź brzmi: wszystko.

- Wszystko?

- Wszystko wywołuje choroby. Proszę, wymień cztery źródła patogenów.

Julie zagryzła wargi, pomyślała przez chwilę, a potem wyliczyła na palcach odpowiedzi.

- Człowiek, skażony przedmiot, ugryzienie przez zwierzę, środowisko naturalne.

- Znowu źle - odparł Monk. - Poprawna odpowiedź brzmi: wszystko.

- Wszystko?

- Cały świat to jedno wielkie źródło patogenów. Następne pytanie: Jakie wyróżniamy cztery główne grupy patogenów?

Julie stuknęła przez chwilę palcem o blat stołu.

- Hm... wirusy, bakterie, grzyby i protisty.

- Źle- stwierdził Monk. - Poprawna odpowiedź brzmi...

- Wszystko - wpadła mu w słowo Julie.

- Dobrze! — Monk się uśmiechnął i oddał Julie pytania. — Zdasz na piątkę.

—Ale co z pozostałymi pytaniami? - zapytała Julie.

—Jest na nie tylko jedna odpowiedź.

—„Wszystko”?

Monk przytaknął.

—Zycie jest o wiele prostsze, niż ci się wydaje.

Julie skończyła odrabiać lekcje i poszła do pokoju porozmawiać przez Internet z koleżankami i kolegami. Ja natomiast poustawiałam w szafach naczynia, pewna, że lada moment przyjdzie Monk i udzieli mi nauk, jak we właściwy sposób powinno się rozmieścić w kuchni talerze, garnki czy coś tam jeszcze. Ale nie przyszedł.

Zadzwoił telefon. To był Joe.

—Kiedy byliście tu z Monkiem, nie mieliśmy okazji porozmawiać - powiedział. — Potem poszliście na drugą stronę ulicy i już nie wróciliście. Czekałem na ciebie.

—Och...

Bardzo błyskotliwa odpowiedź, prawda? Zaległa niezręczna cisza, jakiej nie doświadczyłam chyba od czasów licealnych.

—Przeszło wam koło nosa całe zamieszanie — odezwał się po chwili Joe. - Przyszli do nas ludzie z urbanistyki i miejskich wodociągów. Okazało się, że Dumas wykopał pod ziemią tunel od swojego domu do studni kanalizacyjnej i potem od studni do naszej piwnicy.

—Wiem, to pan Monk do tego doszedł - powiedziałam. - Dumas wykopywał złote monety, skarb Rodericka Turlocka.

—Czy to on zabił Sparky'ego?

—Obawiam się, że to jednak nie on - odpowiedziałam. — Pan Monk jeszcze nie rozwiązał tej zagadki.

—A czy ty rozwiązałaś tajemnicę znikającej bielizny? Dopisuje ci trochę więcej szczęścia?

Miałam ochotę odpowiedzieć, że sam mógłby mi pomóc w rozwikłaniu tej zagadki, ale w porę ugryzłam się w język. Powiedziałam za to coś innego:

- Nie mogę się doczekać naszego spotkania. Środa wieczór.

Uznałam, że te słowa mają podobne znaczenie do tych, których nie wypowiedziałam, a z pewnością nie były tak śmiałe.

Nie zdążyłam się jednak dowiedzieć, jak Joe zrozumiał moje słowa, ponieważ nagle usłyszałam wycie syreny alarmowej w remizie.

- Ja też, Natalie. Muszę kończyć.

- Uważaj na siebie - zdążyłam jeszcze powiedzieć i odłożyłam słuchawkę.

Serce mi załomotało, i to z wielu powodów. Po pierwsze, byłam podniecona. Po drugie, byłam zdenerwowana. Po trzecie, byłam przestraszona. Ale wcale nie perspektywą spotkania. To syrena alarmowa. Wiedziałam, że właśnie w tej chwili Joe pędzi gasić pożar. Wiem, że taki miał zawód — był w końcu strażakiem -jednak obraz Joego wbiegającego w ścianę ognia sprawił, że aż mnie ścisnęło w żołądku. Nie zaznałam takiego uczucia od czasu, gdy Mitch wyjeżdżał z domu na służbę. Czulałam to zawsze, aż do tej misji, z której Mitch już nie powrócił.

Przeszłam korytarzem do sypialni, mijając po drodze pokój gościnny. Zobaczyłam, że Monk leży na łóżku i patrzy w sufit ze złożonymi na piersiach rękami, jakby spoczywał w trumnie.

Weszłam do jego pokoju i usiadłam na skraju łóżka.

- Wszystko w porządku, panie Monk?

- Taak.

- Co pan robi?

- Czekam - odpowiedział.

- Na co?

- Aż wszystkie fakty zaczną się układać w całość.

—Fakty same się układają w całość?

—Generalnie tak - powiedział z westchnieniem.

—Pan tylko czeka?

Usiadł i oparł się plecami o wezłowie.

—Najbardziej irytujące w tych zabójstwach jest to, że są tak nieskomplikowane. Wiemy, jak ich dokonano, i wiemy, kto je popełnił. Sztuką jest jednak znaleźć dowód, gdy żaden nie istnieje.

—Nie takich sztuk pan dokonywał, panie Monk - powiedziałam. - Na pewno coś pan wymyśli.

—To co innego - powiedział Monk. - Zwykle mam więcej miejsca na myślenie.

—Więcej miejsca?

—Zwykle zaczynam i kończę dzień w zupełnie pustym domu. Nie ma w nim ludzi ani nic, co by mnie rozpraszało. Każda rzecz spoczywa spokojnie na swoim miejscu. W jak najlepszym porządku. Pozostają tylko ja i moje myśli, czasem jeszcze klocki lego. Właśnie wtedy, w naturalny sposób, fakty układają się w całość, a te, które do niczego nie pasują, prowadzą do rozwiązania.

—Tutaj się tak nie dzieje? - zapytałam.

—Na razie czekam.

Innymi słowy, nie potrafił znieść naszego zabałaganionego domu i zabałaganionego życia. Brakowało mu spokoju, samotności i sterylności własnego mieszkania. Tęsknił do swoich czterech kątów. Mój dom pod żadnym względem nie przypominał jego domu.

—Chciałby pan, żebym jednak poszukała jakiegoś hotelu, panie Monk? - zapytałam.

Staralam się powiedzieć te słowa z jak największą sympatią, żeby nie pomyślał, że się gniewam lub jestem urażona, bo wcale tak się nie czułam.

—Nie, oczywiście, że nie - odpowiedział. - Tu jest wspaniale.

W pierwszej chwili pomyślałam, że nie mówi praw-

dy, ale później, porównując oba wyjścia z jego sytuacji, zaczęłam myśleć, że pozostanie u nas rzeczywiście nie jest takie złe.

W hotelu mógłby się czuć jeszcze gorzej. Może sły-
szałby hałas telewizora zza ściany albo krzyki dzieci
bawiących się piętro niżej. Nawet gdyby nic nie słyszał,
to może rozpraszałyby go sama świadomość, że w
budynku jest tak wielu ludzi. Co gorsza, mógł zacząć
rozmyślać o setkach osób, które wcześniej mieszkały w
jego pokoju, spały w jego łóżku, korzystały z jego
łazienki. Na domiar złego wciąż przeszkadzałby mu
personel, nie mówiąc już o potwornościach nie
dopasowanej tapety.

W porównaniu z tym wszystkim nasz pokój musiał
mu się wydawać oazą, całą obitą dźwiękochłonną
tapicerką - oczywiście w jak najlepszym znaczeniu, jeśli
takowe w ogóle istniało.

Tak naprawdę miał więc na myśli mnie i Julie. To my
tworzyliśmy rozpraszające go nieustannie otoczenie.

Wstałam z łóżka.

—Zostawię pana sam na sam ze swoimi myślami.

- Nie, nie. Pójdę z tobą - powiedział, również
wstając.

- Ale co z tymi faktami, które mają się ułożyć w
całość?

—Ułożą się później - odparł Monk. — Mieszkanie
w pustym domu ma również swoje złe strony; nigdy
nie mam okazji pomóc komuś przy odrabianiu lekcji.

Uśmiechnęłam się do siebie. Miło było wiedzieć, że
nawet ktoś, kto tak się boi kontaktu z ludźmi jak Adrian
Monk, bardzo tego kontaktu łaknie.

Monk i deszczowy dzień

Kiedy we wtorek wstałam o szóstej rano, Monk był już wykąpany, ogolony i ubrany, a łazienka lśniła taką czystością, że można było przeprowadzić w niej operację chirurgiczną. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że spędził w niej całą noc tylko po to, żeby rano mógł z niej pierwszy skorzystać. Jeśli rzeczywiście tak było, to całe szczęście, że nie wstawaliśmy w nocy za potrzebą.

Na śniadanie zjedliśmy wszyscy kwadratowe płatki Chex, w nowiutkich miskach, wymieniając się przy stole różnymi częściami „San Francisco Chronicle”. Na ostatniej stronie gazety znalazłam krótki artykuł o pożarze, który wieczorem wybuchł w jakimś magazynie, z informacją, że zapadł się dach i dwóch strażaków odwieziono do szpitala. Aż zaschło mi w gardle. Czy to do tego pożaru wezwano Joego? Co, jeśli był jednym z dwóch rannych strażaków?

Dochodziło wpół do ósmej; chyba za wcześnie, żeby dzwonić do remizy, nie zrywając wszystkich z łóżek. Zadzwonię później. Może jednak lepiej zadzwonić teraz, myślałam gorączkowo.

Ze zmartwień wyrwał mnie klakson pod oknem; nadjechał samochód, który ma zawieźć Julie do szkoły.

Julie wepchnęła swoje książki do plecaka, chwyciła w locie drugie śniadanie i już wybiegała za próg, kiedy ją powstrzymałam.

- Nie zapomnij o płaszczu - powiedziałam, zdejmując z wieszaka płaszcz przeciwdeszczowy.

Nie znosiła tego płaszcza. Woląca przemoknąć do suchej nitki. Co ciekawe, rok temu był jej potrzebny bardziej niż cokolwiek innego na ziemi. Wszyscy nosili płaszcze przeciwdeszczowe i bez takiego płaszcza Julie czuła się wyklęta z młodzieżowej społeczności. W Nordstromie płaszcz przeciwdeszczowy kosztował okrągłe sto dolarów, ale na aukcji internetowej eBay znalazłam identyczny za połowę tej ceny. Pewnie kradziony albo podróbka, ale w każdym razie wybrał Julie od piętna hańby i nosiła go codziennie, niezależnie od tego, czy dzień był pochmurny czy nie. I wtedy nagle coś się stało, jakaś wielka kosmiczna zmiana w społeczeństwie i kulturze. Płaszcz przeciwdeszczowy przestał się liczyć. Przemoknąć to było coś.

- Mamo — pisnęła. - Czy muszę?

- Dziś zapowiadają sześćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że będzie padać - powiedziałam. — Weź go tylko ze sobą. Lepiej być przygotowanym.

- Zmoknę i co? - powiedziała. - Wielka mi rzecz.

- Weź.

- To tylko woda - nie ustępowała. - Przecież z nieba nie leci kwas.

Nie miałam już czasu ani cierpliwości, by dalej się spierać. Odpięłam zamek jej szkolnego plecaka, zwinęłam płaszcz w rulonik i wcisnęłam go do środka.

- Jeszcze mi podziękujesz.

- Jakbym słyszała jego. - Skinęła lekko głową w kierunku Mońka.

To nie miał być komplement.

Już chciałam natrzeć jej uszu za ten brak taktu, ale Monk nawet nie zauważył jej niegrzecznego zachowania. Siedział wyprostowany na krześle, zagubiony w myślach, poruszając dziwnie ramionami, jakby żadne z nich nie mogło się dobrze wpasować w staw.

Julie wymaszerowała z domu, trzasnąwszy za sobą drzwiami, jednak jej dramatyczna demonstracja już do mnie nie docierała. Patrzyłam na Mońka. Wiedziałam, co znaczy takie wiercenie się na krześle — fakty zaczęły się układać w jedną całość.

Domyślił się już, co Lucas Breen zostawił w domu Esther Stoval.

Dotarło też do mnie, że przełom nie nastąpił w błogich i sterylnych warunkach, zapewniających mi samotność, czystość i porządek. Nastąpił w mojej zaśląganionej kuchni, w środku typowej porannej sprzeczki między rozsądną, racjonalną matką a jej postrzeloną, nierozsądną, nieracjonalną córką.

—Masz komputer z dostępem do Internetu? - zapytał Monk.

—Oczywiście - odpowiedziałam. — Nie mieszkamy przecież w jaskini.

Natychmiast pożałowałam, że pozwoliłam sobie na tę uwagę, bo wiedziałam, że Monk weźmie ją do siebie. To wcale nie miał być przytyk. Po prostu wyleciało mi z głowy, że Monk nie ma u siebie dostępu do Internetu. Boi się, że złapie komputerowego wirusa. Dlatego zresztą w ogóle nie ma komputera.

Wróciłam do pokoju, wzięłam laptop i przyniosłam go na kuchenny stół. Jeden z naszych sąsiadów był informatycznym magikiem i zarabiał na życie projektowaniem stron internetowych. Kiedyś się nad nami ulitował i podczepił nas pod swoje bezprzewodowe, bardzo szybkie łącze. W kilka sekund surfowałam po sieci.

—Co chciałby pan wiedzieć? — zapytałam Mońka.

—Mogłabyś mi znaleźć szczegółową informację na temat pogody, jaka była w piątek wieczór?

Nic prostszego. Miałam nadzieję na trudniejsze wyzwanie, przy którym mogłabym wykazać pełnię swojej internetowej sprawności.

Za pomocą Google'a szybko znalazłam stronę, która rejestruje stany pogodowe, ustawiłam czas i miejsce, piątek wieczór i San Francisco, i pokazałam Monkowi dostępne opcje. Mógł sprawdzić temperaturę powietrza, prawdopodobieństwo opadów deszczu, wilgotność, punkt rosy oraz prędkość, kierunek i wyiębienie wiatru. Mógł też przyjrzeć się dokładnym zdjęciom satelitarnym, obrazom z radaru Dopplera oraz trójwymiarowym odwzorowaniom mgły i ruchom mas powietrza w prądzie strumieniowym.

- Możesz mi pokazać, jak wówczas padało, dokładnie, godzina po godzinie?

Nie jest to co prawda tak porywające jak oglądanie trójwymiarowej mgły, która się podnosi i opada, ale niech tam... Odpowiedziałam, że oczywiście mogę mu pokazać zapis opadów deszczu, przedstawiony na zwykłym, dwuwymiarowym wykresie. Nuuda. Mogli chociaż podrasować wykres kilkoma animowanymi, padającymi z góry kroplami deszczu.

—Spójrz! — powiedział podekscytowany. — Do wpół do dziesiątej lało albo śiapił kapuśniaczek, ale potem, aż do drugiej w nocy, prawie w ogóle nie padało.

Och, ależ podniecające! - pomyślałam. Ale zamiast tego powiedziałam coś w stylu:

—Co to ma za znaczenie?

- Zaraz ci wyjaśnię - powiedział Monk. - Mogła byś poszukać w Internecie zdjęcia Lucasa Breena, które pokazywał nam Disher, zrobione podczas bankietu charytatywnego „Ocal zatokę”?

Dokonałam szybkiego wyszukiwania grafiki w Google^ i zebrałam tuzin zdjęć z witryny fundacji „Ocal zatokę”, różnych gazet on-line i paru nieznośnych plotkarskich blogów (z których jeden domniemywał, że celem podróży pani Breen do Europy, następnego ranka po bankiecie, było „kolejne odświeżenie twa-

rzy" w jakiejś szwajcarskiej klinice chirurgii plastycznej).

Były to te same zdjęcia, które widzieliśmy wcześniej; Breenowie przyjeżdżają w deszczu do Excelsio-ru, a o północy odjeżdżają spod hotelu razem z gubernatorem.

Monk wskazał palcem na ekran.

—Kiedy Breen przyjechał, padał deszcz. Kuli się pod parasolem i ma na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. — Potem wskazał jedno ze zdjęć, na których widać, jak Breenowie opuszczają hotel. — Tutaj jednak Breen trzyma parasol pod pachą i nie ma płaszcza.

—Bo już nie pada.

—Zatem gdzie jest płaszcz? Dlaczego nie niesie go w rękę?

Dobre pytanie. W świetle wszystkiego, co się dotychczas wydarzyło, do głowy przychodziła tylko jedna odpowiedź.

—Zostawił go w domu Esther Stoval - powiedziałam.

—Wiemy na podstawie tego meteorologicznego komunikatu, że nie przestawało padać do dwudziestej pierwszej trzydzieści. Kiedy więc Breen wychodził z hotelu do Esther Stoval, musiał mieć na sobie płaszcz - mówił Monk. - Kiedy wszedł do jej domu, Esther zapewne poprosiła, żeby go zdjął i powiesił na wieszaku. Potem rozmawiali przez minutę czy dwie.

—Skąd to pan wie?

—Wnioskuje z tego, gdzie się znajdowało ciało. Stoval siedziała w narożniku kanapy, twarzą do fotela, w którym siedział Breen - mówił Monk. - W pewnym momencie powiedziała czy zrobiła coś, co go sprowokowało. Breen rzucił się na nią i udusił poduszką. Potem myślał już tylko o tym, żeby pozacierać ślady zbrodni, podłożyć ogień i jak najszybciej umknąć z domu. Kiedy wychodził, deszcz już nie padał, więc

najprawdopodobniej dopiero w połowie drogi dotarło do niego, że zapomniał o płaszczu.

To oznaczałoby, że zatrzymał się dokładnie przed opustoszałą remizą strażacką.

- Breen nie chciał ryzykować, żeby choć strzępek płaszcza ocalał z pożogi - tłumaczył dalej Monk. -Jeśli wyglądał tak jak pozostałe rzeczy jego garderoby, to był szyty na zamówienie i miał monogramy na guzikach. Tym samym trop prowadziłby bezpośrednio do niego. Musiał wrócić, żeby odzyskać płaszcz.

Załóż się, że właśnie wtedy, kiedy Breen stał przed remizą i patrzył w panice na pusty garaż, przyszedł mu do głowy ów kapitalny pomysł, jak się ratować. Jestem też pewna, że ostatniej rzeczy, jakiej się spodziewał, kiedy wpadł do budynku po strażacki rynsztunek, był ujadający i atakujący go pies. Czy nie wystarczyło, że w domu Esther Stoval zostawił swój płaszcz? Czy w tej biedzie zły los musiał mu jeszcze zesłać psa?

Jednak ze spotkania z psem Breen wyszedł bez szwanku, a reszta poszła jak z płatka. Wślizgnął się w strażackim przebraniu do płonącego domu, nie zauważony przez strażaków, pochwyił płaszcz i bez trudu się wymknął. W remizie odwiesił na miejsce pożyczony strój i znowu nikt go nie zauważył, a co więcej, nie musiał już toczyć boju z żadnym dzikim zwierzęciem.

Z pewnością myślał, że najgorsze ma za sobą. Wtedy został napadnięty na ulicy.

Nie do wiary. Los tak bardzo mu nie sprzyjał, że mogłabym się nad nim szczerze zlitować, gdybym nie wiedziała, że zabił kobietę i psa i że jest takim nadętym gnojkiem. Mimo niewiarygodnego pecha Breeno-wi udało się wrócić na przyjęcie, na którym nikt nie zauważył jego nieobecności. Jestem pewna, że poszedł

prosto do baru i wychylił parę głębszych. Sama bym tak zrobiła.

Trudno mówić, że było to morderstwo doskonałe, ale wątpię, aby ktokolwiek się kiedyś dowiedział, co zrobił Lucas Breen, gdyby pewna dwunastoletnia dziewczynka nie zatrudniła detektywa do rozwiązania tajemniczej zagadki śmierci psa.

Ale wyprzedzam wypadki. Nikt jeszcze Breena nie zatrzymał. Brakowało dowodów. Nie mieliśmy w rękach płaszcza przeciwdeszczowego.

—Zakładając, że odzyskał płaszczy w domu Esther - powiedziałam — co mógł z nim zrobić?

—Trzeba przyjąć, że płaszczy był nadpalony i przesiąknięty gryzącym zapachem dymu i że Breen porzucił go gdzieś na trasie między domem Esther a hotelem.

—Może w domu Lizzie Draper?

Monk zaprzeczył ruchem głowy.

—Zbyt ryzykowne. Draper mogłaby się natknąć na płaszczy, zanim Breen zdążyłby usunąć go z jej domu. Z pewnością nie chciał, aby ona czy ktokolwiek inny mógł skojarzyć pożar z jego osobą. Wyrzucił go gdzieś dalej, gdzieś między remizą a hotelem.

Wtedy już wiedziałam, gdzie powinniśmy rozpocząć poszukiwania.

Miałam też inne powody, by rozpocząć poszukiwania od remizy. Po pierwsze, nie chciałam płacić za parking w hotelu Excelsior, a po drugie, szukałam pretekstu, żeby zajrzeć do remizy i dowiedzieć się, czy z Joem jest wszystko w porządku.

Kiedy jednak dotarliśmy do straży pożarnej, okazało się, że nikogo nie ma. Wszyscy wyjechali do akcji.

—Na pewno nic mu nie jest - powiedział Monk.

Staliśmy przed wejściem do remizy.

—Komu?

- Strażakowi Joemu. Po to przyjechaliśmy, prawda?
- Nie, przyjechaliśmy, żeby pójść tropem Breena i sprawdzić, gdzie mógłby wyrzucić płaszcz.
- To byłoby trudne - orzekł Monk. - Zanim wyszliśmy z domu, zadzwoniłem do Dishera i poprosiłem, żeby sprawdził, czy według naszego opryska Breen miał płaszcz w czasie napadu.
- Więc wcale nie musieliśmy tutaj przyjeżdżać - powiedziałam. - Mogliśmy czekać na telefon od Dishera w domu.

Monk przytaknął.

- Ale od chwili, gdy zobaczyłaś w gazecie artykuł o pożarze, koniecznie chciałaś się dowiedzieć, co się dzieje z Joem.

- Skąd pan wie?

- Nie dokończyłaś czytać artykułu - powiedział Monk. - Przez cały czas naszej rozmowy zerkałaś ukradkiem na telefon, zastanawiając się, czy nie jest za wcześnie, aby zadzwonić do remizy.

Czasami zapominam, że Monk jest detektywem. Zdarza mi się też zapomnieć, że kiedy nie jest najbardziej irytującym stworzeniem na naszej planecie, to potrafi być bardzo sympatycznym człowiekiem.

- Dziękuję — powiedziałam.

W tej chwili zadzwonił mój telefon komórkowy. To Disher.

- Żeby zdobyć informację dla Mońka, musieliśmy zawrzeć układ z Marlonem Tolliverem - oznajmił.

- Kto to jest Marlon Tolliver?

- Wasz rabuś. Trafił mu się niezły obrońca z urzędu. Za zeznania dotyczące szczegółów jego spotkania z Breenem musieliśmy odstąpić od zarzutu napaści z bronią w ręku.

- Facet przystawił mi nóż do gardła, a wy chcecie puścić mu to płazem?

- Musieliśmy coś zaproponować, żeby zaczął mó-

wić - stwierdził Disher. — Tylko tyle mogliśmy zrobić, skoro nie było tu ciebie i nie miał kto miażdżyć mu *cojones*.

—Chętnie wpadnę i zaraz się tym zajmę - powiedziałam.

—Układ został zawarty i mamy zeznanie - mówił dalej Disher. - W czasie napaści Tollivera Breen miał przy sobie płaszcz.

—Dzięki — powiedziałam. — Mógłbyś jeszcze coś dla mnie zrobić?

—Oczywiście, po to jestem, żeby wykonać dla Monka każdą czarną robotę.

—Tym razem to moja osobista prośba.

—Mam wcisnąć kolano w *cojones* Tollivera?

—Wczoraj wieczorem wybuchł pożar w jakimś magazynie i dwóch strażaków zostało rannych. Mógłbyś sprawdzić, czy jednym z tych rannych nie jest Joe Cochran?

—Nie ma problemu — odpowiedział Disher. — Jak tylko się czegoś dowiem, zaraz dam ci znać.

Podziękowałam Disherowi i przekazałam Monko-wi nowiny.

—W uliczce przy hotelu Breen wciąż miał przy sobie płaszcz.

—Zatem właśnie tam go wyrzucił — zawyrokował Monk. - Gdzieś w alejce.

Poszliśmy do hotelu pieszo. Zajęło to nam o wiele mniej czasu niż szukanie miejsca do zaparkowania; i było o wiele tańsze. Minęliśmy po drodze kilku bezdomnych, którzy, pamiętając nas z poprzedniego dnia, wiedzieli aż nadto dobrze, że lepiej o nic Monka nie prosić. Na moje szczęście nie natrafiliśmy na faceta, który lubił wystawiać do mnie środkowy palec.

Chociaż wokół było mnóstwo ludzi, bardzo ostrożnie zbliżałam się do uliczki, w obawie że w ciem-

nościach znowu się czai jakiś bandzior. Monk również zachowywał czujność, jednak z innego powodu. Starał się nie wdepnąć w żadne świństwo, co w tak zapaskudzonym i cuchnącym miejscu wcale nie było łatwe.

Szliśmy powoli, rozglądając się za miejscem, w którym Breen mógłby się pozbyć płaszcza. Szybko stało się dla nas jasne, że jest tylko jedno miejsce, gdzie Breen mógł coś wyrzucić z dala od spojrzeń innych ludzi - to jeden z kontenerów na śmieci przy służbowym wyjściu z Excelsioru.

Nie mówiąc do Mońka słowa, wdrapałam się na krawędź pierwszego kontenera. Monk odskoczył przerażony.

- Odejdź od kontenerów! - zawołał. — Bardzo po woli.

Nie ruszyłam się z miejsca.

- To śmietnik, panie Monk. Nie bomba.

- Nie musisz udawać bohatera, Natalie. Zostaw to zawodowcom.

- Nie jestem ekspertem od policyjnych procedur, ale nie wydaje mi się, aby kapitan Stottlemeyer mógł wezwać ekipę medycyny sądowej do przeszukania śmietnika, opierając się wyłącznie na pańskim przecuciu.

- Nie mówię o policyjnej ekipie śledczej, nawet nie jest odpowiednio wyposażona do tego typu zadań - mówił Monk. - Sytuacja wymaga profesjonalistów, którzy na co dzień mają do czynienia ze śmietnikami.

- Chce pan, żebym wezwała śmieciarzy?

- To pejoratywne i seksistowskie określenie. Wolą, jeśli się na nich mówi „technik sanitarny”.

- Skąd pan to wie?

- Często z nimi rozmawiam - odpowiedział Monk.

- Pan? Po co?

—Wiesz, to też są ludzie.

—Którzy jednak nie rozstają się ze śmieciami — stwierdziłam. - Myślę, że jeśli tu się pojawiają, to będą wolała trzymać się od nich jak najdalej.

—Ja stosuję zwykle środki ostrożności - powiedział Monk. - Rękawiczki, maskę chirurgiczną, okulary ochronne. Niestety muszę być obecny na miejscu, żeby nadzorować wywóz.

—Pan nadzoruje wywóz swoich śmieci? Po co?

—Mam swoje potrzeby.

—W to nie wątpię, ale co one mają wspólnego z pańskimi śmieciami?

—Muszę dopilnować, żeby nie wymieszali moich śmieci z innymi - wyjaśnił Monk.

—Co? Cóż strasznego może się im przytrafić?

—Mogą się pobrudzić.

—To śmieci, panie Monk. Wszystkie śmieci są brudne, nawet pańskie.

—Nie. Moje są czysto brudne - stwierdził Monk.

—Czysto brudne? — zdziwiłam się. - Czyli niby jakie?

—Po pierwsze, każda rzecz przeznaczona do wyrzucenia, zanim trafi do worka-matki, zamykana jest osobno w hermetycznym woreczku foliowym.

—W ten sposób nie pobrudzi innych odpadów w... „worku-matce”, tak?

—Niestety, nie każdy jest taki skrupulatny jak ja - stwierdził Monk. - To smutna prawda.

—Ale przecież pana worek i tak trafia do śmieciarki z górą innych śmieci.

Pan Monk zaprzeczył ruchem głowy.

—Nie. Mój worek jedzie w kabinie obok kierowcy.

—No, dobrze, ale to i tak nie ma znaczenia — mówiłam - bo w końcu ląduje z wszystkimi pozostałymi śmieciami na wysypisku.

- Moje śmieci lokowane są w sektorze numer dziewięć.

- Pańskie śmieci mają na wysypisku osobny sektor?

- Wszystkie czyste śmieci tam trafiają.

Jęknęłam ciężko, podałam mu torebkę i wspięłam się na kontener.

- Czekaj, czekaj! - burzył się Monk. - Wystawiłaś swój...

Znieruchomiałam.

- Zsunęły mi się majtki na tyłku?

- Ależ skąd — powiedział Monk.

- Więc co wystawiłam?

- Wystawiłaś organizm na śmiertelne oddziaływanie silnych toksyn — mówił nerwowo Monk. - Nie masz odpowiednich szczepień. Nie masz respiratora. To misja samobójcza.

- Panie Monk, ja chcę tylko unieść pokrywę kontenera - powiedziałam.

- Bóg jeden wie, co wypuścisz do atmosfery — przekonywał Monk. - Jeśli już nie chcesz myśleć o sobie, to pomyśl o ludzkości, pomyśl o córce, ale przede wszystkim pomyśl o mnie.

Podniosłam pokrywę. Monk krzyknął i odskoczył do tyłu, jakby się spodziewał, że kontener eksploduje, strzelając w niego szrapnelami zgniłej żywności, rozbitego szkła, starych butów i zabrudzonych pieluch. Ale nie eksplodował.

Zajrzałam do środka. Kontener był prawie pusty. Na dnie leżało tylko parę brzuchatych „worków-ma-tek” ze śmieciami. Domyśliłam się, że nie mogły to być wszystkie odpady, których od piątku pozbył się hotel. Przesunęłam się na koniec kontenera i ostrożnie przesłam na sąsiedni. Uniosłam jego pokrywę. Ten również był pusty. Podobnie następny.

Jeśli płaszcz rzeczywiście trafił do kogoś z tych

kontenerów, to dawno już stąd zniknął — wraz z tłącą się w nas małą nadzieją na udowodnienie, że Lucas Breen jest winny morderstwa.

Spojrzałam przez ramię, ale Mońka już za mną nie było. Stał przy ulicy dwadzieścia metrów dalej, zakrywając chusteczką nos i usta.

Musiałam z daleka wykrzyknąć do niego złą wiadomość.

— Spóźniliśmy się!

Monk odwiedza swoje śmieci

Równe trzydzieści minut zajęło mi przekonywanie Mońka, żeby nie wzywał służb sanitarnych zajmujących się neutralizacją materiałów toksycznych, które miałyby odkazić mnie, uliczkę i całą resztę kwartału.

Aby dopiąć swego, musiałam jednak utwierdzić go w przekonaniu, że jestem czyściutka, a to oznaczało, że z pięćdziesiąt razy wycierałam twarz i ręce chusteczkami Wet Ones, umyłam zęby hotelową szczoteczką do zębów, zakropiłam oczy kropelkami Visine i przeczyszciałam zatoki sprayem do nosa.

Mimo to, kiedy jechaliśmy na miejskie wysypisko śmieci, Monk odsunął się w samochodzie jak najdalej ode mnie, rezygnując co prawda z wejścia na bagażnik na dachu.

Śmieci z całego miasta, nie podlegające wtórnemu przetworzeniu, składowane są w Centralnym składowisku odpadów komunalnych miasta San Francisco, pod którą to subtelną nazwą kryje się najzwyklejsze w świecie, kryte dachem śmietnisko. Jednak śmieci są tutaj przechowywane tylko do czasu, gdy potężne ciężarówki wywiozą je na główne, utylizacyjne wysypisko Altamont w Livermore, około stu kilometrów na wschód od San Francisco.

Centralne składowisko to gigantyczny hangar niedaleko stadionu Candlestick Park, który dzisiaj już nazywa się Monster Park i wcale nie dlatego, że miałyby być parkiem rozrywki z dinozaurami. Nie zyskał

też tej nazwy za sprawą monstrualnego wiatru wiejącego znad zatoki - wiatru, który w czasie meczu gwiazd w 1961 roku zwałił z nóg stojącego na swoim stanowisku Stu Millera, miotacza lokalnej drużyny Giants, a w czasie treningu nowojorskich Metsów wyrzucił na środek boiska cały druciany tunel, w którym trenuje się pałkowanie. Nie zyskał też sobie stadion tego miana dlatego, że najczęściej stoi pod wiatr w stosunku do wysypiska śmieci.

Stadion zawdzięcza swoją obecną nazwę firmie Monster Cable, która produkuje okablowanie do komputerów i zapłaciła miastu miliony dolarów za prawo do umieszczenia nazwy na koronie stadionu. Uważam, że miasto powinno też zezwolić firmie umieścić swoją nazwę na budynku składowiska - całkowicie nieodpłatnie. Mogliby je nazwać „Monstrualne śmietnisko”, bo w końcu cuchnie potwornie, a poza tym taka nazwa byłaby o wiele bardziej chwytliwa niż Centralne składowisko odpadów komunalnych miasta San Francisco.

To, że w ogóle się tam wybraliśmy, jest świadectwem wielkiej determinacji Mońka, by przymknąć Lucasa Breena. Pamiętacie przecież, jaka była jego reakcja, kiedy ledwie uniosłam pokrywę kontenera na śmieci. Teraz Monk dotarł do jądra ciemności -miejskiego wysypiska śmieci.

Monk nie chciał nawet wysiąść z samochodu. Siedział i z przerażeniem w oczach wpatrywał się w gigantyczny magazyn i sznur śmieciarek, które wjeżdżały do budynku i wyjeżdżały drugą bramą. Musiałam w końcu zatelefonować do Chada Grimsleya, kierownika zakładu, i poprosić, by zechciał do nas wyjść i spotkać się z nami na zewnątrz.

Dziesięć minut później Grimsley wyjechał z budynku na małym wózku elektrycznym. Był to szczupły, niski mężczyzna z równo przyciętą kozią bródką.

Na głowie miał żółty kask ochronny, który wydawał się o pięć rozmiarów za duży na jego głowę.

Grimsley podjechał samochodzikiem pod drzwi od strony pasażera. Monk opuścił szybę o pół centymetra i przyłożył do twarzy chusteczkę.

- Nazywam się Adrian Monk, a to moja asystentka Natalie Teeger. - Monk skinął ku mnie głową, a ja pomachałam do Grimsleya. - Współpracujemy z policją w śledztwie w sprawie pewnego morderstwa. Chciałbym zamienić z panem parę słów na temat wywozu śmieci spod hotelu Excelsior.

- Pańska asystentka wspomniała o tym w rozmowie telefonicznej - powiedział Grimsley. —Może przejdzie pan do mojego biura, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać?

- Wolałbym nie.

- Zapewniam, że może pan bez obaw opuścić samochód, nie ma żadnego niebezpieczeństwa — oświadczył Grimsley. - Po kilku minutach nie wyczuwa się nawet zapachu.

- Promieniowania też się nie wyczuwa — odparł Monk. - Mimo to zabija.

Grimsley spojrzał na mnie ponad głową Monka. Wzruszyłam ramionami.

- Śmieci z okolic hotelu Excelsior zostały odebrane dzisiaj około siódmej rano - poinformował Grimsley.

- Gdzie one teraz są? Grimsley wskazał na magazyn.

- Tam. Zrzucono je tutaj jakieś dwie godziny temu.

Monk pokazał Grimsleyowi jedno ze zdjęć Bree- na w płaszczu, które wydrukowaliśmy przed wyjściem z domu.

- Szukamy tego płaszcza. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan go zapakować do hermetycznie zamykanego worka foliowego i przynieść tutaj do nas.

- Obawiam się, że nie jest to takie proste. Na-

prawdę byłoby lepiej, gdybym pokazał panu, jak wygląda w środku. - Grimsley wskazał ręką budynek biurowy, przylegający do magazynu. — To są biura kierownictwa. Możecie podjechać pod wejście i szybko przebiec do środka. Drzwi wejściowe dzielą od krawężnika nie więcej niż dwa metry, więc uda się panu wstrzymać na ten czas oddech.

Monk zamknął oczy i zrezygnowany pokiwał do mnie głową. Podjechałam jak najbliżej wejścia do budynku. Monk nabrał powietrza w płuca, otworzył drzwi samochodu i przebiegł do holu.

Wysiadłam z samochodu, przywitałam się przed wejściem z Grimsleyem i spokojnie weszłam do środka. Poszliśmy pieszo schodami do biura Grimsleya na piątym piętrze. Jedna ze ścian w biurze była ze szkła, co pozwalało obserwować cały tok pracy na dole.

Magazyn miał wielkość kilku hangarów lotniczych. Na samym jego środku wznosiła się gigantyczna hałda śmieci, przy której śmieciarki wysypujące ładunek wydawały się ledwie zabawkami. Dalej spychacze ładowały odpady na złożony system taśmociągów, które rozdzielały śmieci i przerzucały je na jeszcze większe ciężarówki z naczepami, stojące w kolejce na przeciwnym końcu zakładu.

- Przez nasz magazyn przechodzi codziennie dwa tysiące sto ton odpadów komunalnych — powiedział Grimsley. - Żeby to przewieźć do Altamont, potrzeba stu dziesięciu kursów dziennie.

- Rozumiem - powiedział Monk słabym głosem, opierając dłonie na szybie, by nie stracić równowagi; widok takiej ilości śmieci wywoływał u niego zawroty głowy. - Gdzie jest sektor dziewiąty?

- Sektor dziewiąty?

- Sektor, w którym trzymacie specjalne odpady.

- Surowiec wtórny składowany jest w innym zakładzie; podobnie gruz i różne odpady budowlane.

- Mówię o sektorze, w którym składujecie czyste śmieci. Takie, jak moje — wyjaśnił Monk. — Chciałbym odwiedzić swoje śmieci.

Grimsley skinął głową w kierunku gigantycznej hałdy.

- To jedyny sektor, jaki tu mamy. Serdecznie za praszam.

Monk zbladł jak ściana. Wyglądał jak dziecko, które w jednej chwili się dowiedziało, że nie ma ani kogoś takiego jak Święty Mikołaj, ani czegoś takiego jak wielkanocny zajaczek, ani kogoś takiego jak dobra wróżka, która daje dzieciom pieniądze za mleczne ząbki.

- Mieszacie śmieci? - zapytał Monk z niedowierzaniem.

- Kiedy nadjeżdżają kolejne śmieciarki, wysypują swój ładunek na poprzedni - potwierdził Grimsley.

- Mój Boże - jęknął pod nosem Monk.

- Gdzie moglibyśmy znaleźć śmieci przywiezione z Excelsioru? — zapytałam.

- Na czołowym skraju hałdy, tutaj, tuż przed nami - odpowiedział Grimsley. — Jest jeszcze wcześnie, więc płaszcz może leżeć pod warstwą jakichś dwudziestu, trzydziestu ton śmieci.

- Dwudziestu, trzydziestu ton? - zapytał Monk.

- Macie wielkie szczęście - przytaknął Grimsley.

Zapytałam Grimsleya, czy do czasu gruntownego przeszukania może skierować sznur śmieciarek w inny sektor magazynu i zamknąć tę część składowiska, gdzie pod dwudziestoma, trzydziestoma tonami śmieci może być zagrzebany nasz płaszcz. Grimsley odparł, że może.

Wyszliśmy w milczeniu i bez słowa zaczęliśmy schodzić do holu. Monk był tak oszołomiony, że po wyjściu z biura ani razu nie poprosił mnie o chusteczkę higieniczną. Milczał również przez całą drogę na po-

sterunek policji. Dla mnie była to błoga chwila wytchnienia, podczas której, niczym nie niepokojona, mogłam wreszcie pomyśleć o Joem.

Sama nie wiem, co najbardziej wytrąciło Mońka z równowagi; odkrycie, że jego domowe śmieci mieszane są z wszystkimi innymi, czy świadomość, że kluczowy dowód, którego tak bardzo potrzebował w sprawie, leży zagrzebany pod tonami odpadów.

Na posterunku zaczęłam wypytywać o kapitana, ale powiedziano mi, że wyjechał z Disherm na Mount Sutro, gdzie popełniono jakieś morderstwo. Oficer w dyżurce znał mnie i Mońka, więc dał nam adres przy Lawton Street, dokąd natychmiast pojechaliśmy.

Gęsta mgła lizała wolno rzędy ciasno stojących domów, które przyrastały do zalesionych zboczy Mount Sutro niczym omułki do pali w portowej przystani. Kiedy jechaliśmy pod górę krętą Lawton Street, zza jednego z zakrętów wyłonił się masywny cokół Sutro Tower, wieży telewizyjnej wznoszącej się ponad dachy domów, a właściwie jej mglisty cień, który równie dobrze można by wziąć za fatamorganę.

Trzypiętrowe budynki pięły się po wzgórzu jeden za drugim, tworząc między drzewami korytarz otynkowanych frontów, z lasem z jednej strony i klifem z drugiej. Przed jednym z budynków stał z tuzin radiowozów, powodujących zator na wąskiej ulicy. Nie miało to jednak dla nas znaczenia, byliśmy bowiem jedynymi uczestnikami ruchu drogowego, jeśli nie liczyć wiewiórki, która niespiesznie przebiegła przed nami na drugą stronę drogi.

Dopiero dwie przecznice dalej, za stłoczonymi samochodami policyjnymi, znalazłam miejsce do zaparkowania. Zeszliśmy w dół ulicy, do mieszkania, gdzie Stottlemeyer i Disher prowadzili dochodzenie w sprawie morderstwa.

Budynek był prostym blokiem z ciasnymi mieszkaniami, pozbawionym uroku i architektonicznego stylu, wzniesionym jeszcze w latach siedemdziesiątych, chyba tylko po to, by zapewnić dach nad głową i widok na asfaltową pustynię dzielnicy Sun-set, a w bardziej pogodne dni również na odległy Pacyfik.

Czynności śledcze prowadzono na parterze, w asceetycznie urządzonej mieszkanie, z widokiem na budynek po przeciwnej stronie ulicy. Nie mogłam zrozumieć, jaki jest sens mieszkania tak daleko, z możliwością zobaczenia z okien co najwyżej drugiego, równie prymitywnego domu.

Wnętrze mieszkania wyglądało równie nijako i bebarwnie jak fasada domu. Pudło przedzielone paroma ściankami, o powierzchni siedemdziesięciu paru metrów kwadratowych. Jasnoszare ściany. Jasnoszare blaty w kuchni. Jasnoszare linoleum na podłodze. Do tego brązowy dywan. Sufity białe, z chropowatym tynkiem.

Ofiarą morderstwa był mężczyzna w wieku ponad czterdziestu lat. Leżał na plecach, na podłodze w korytarzu, ze śliczną małą dziurką po pocisku, który przeszedł idealnie przez środek markowego logo Ralphi Laurena na błękitnej wyjściowej koszuli. W życie po życiu wszedł z wyrazem bezmiernego zdziwienia na twarzy -jego oczy wciąż były otwarte w nieustającym zdumieniu.

Żaden ze mnie detektyw, ale po ułożeniu ciała nawet ja się domyśliłam, że zastrzelił go ktoś, kto przyszedł do niego i stał za progiem, gdy gospodarz otworzył drzwi. Obok ciała leżała szydełkowa poduszka, z dziurą w samym środku; jej bawełniany wsad osiadł na twarzy zmarłego jak śnieg.

Miałam wrażenie, że samo przybycie na miejsce zbrodni ożywiło Mońka i wyrwało go ze stanu śmie-

ciowego odrętwienia. Na mnie widok ciała podziałął wręcz przeciwnie. Nie zamknęłam się w sobie, ale poczułam się jakoś dziwnie, mocno przygnębiona. Dziwnie, bo przecież nie było to moje miejsce, nie miałam tu nic do roboty i wchodziłam tylko wszystkim w drogę. Przygnębiona, ponieważ leżał przede mną trup człowieka i chociaż w ogóle go nie znałam, to zawsze, gdy widzę zwłoki, nie mogę się oprzeć myśli, że bez względu na to, kim ten człowiek był i czym się zajmował, ktoś go jednak kochał. Martwy człowiek za każdym razem przywoływał w mojej pamięci Mitcha i cierpienie, jakiego zaznałam po jego odejściu.

Jednak tym razem czułam coś więcej. Strach. Był jak ledwo słyszalny, niski pomruk, ale był na pewno. Oczywiście zupełnie irracjonalny. Zabójcy dawno już nie było, a dookoła otaczali mnie uzbrojeni policjanci. Jednak atmosfera w tym wnętrzu przesiąknięta była dokonaną niedawno zbrodnią.

Może strach był podświadomy, może był instynktowną reakcją na zapach krwi i woń prochu. Morderstwo wisiało wciąż w powietrzu i każdy z moich receptorów, fizycznych i psychicznych, świadom był tej obecności.

W tym dziwnym nastroju, smutku i strachu, czułam się też bardzo niepewnie. Miałam ochotę wybiec z powrotem do samochodu, zamknąć się od środka i włączyć głośno radio, by muzyka zagłuszyła moje odczucia.

Ale nie. Brnęłam dzielnie dalej. Silna i mężna -cała ja.

Od policjanta przy wejściu dowiedzieliśmy się, że Stottlemeyer i Disher są w sypialni. Kiedy ruszyliśmy w głąb mieszkania, Monk się ciągle zatrzymywał; żeby obejrzeć ciało, przyjrzeć się jednakowym meblom w salonie i jadalni albo rzucić okiem na oprawione ryciny na ścianach. Czułam się tutaj jak w pokoju hotelowym, a nie w prywatnym mieszkaniu.

Stottlemeyer stał przed otwartą garderobą, w której wisiały na wieszakach cztery pary idealnie wyprasowanych spodni i cztery pasujące do nich, eleganckie koszule Ralpho Laurena.

Disher był w łazience, w której dociekliwie przeglądał zawartość szafki, pełnej nie rozpakowanych kostek mydła, butelek wody kolońskiej oraz kremów i żyłek do golenia.

- Hej, Monk! Co cię tu sprowadza? - przywitał nas zaskoczony Stottlemeyer.

- Myślę, że mamy przełom w sprawie Breena — powiedział Monk.

- Świetnie. Później mi opowiesz — powiedział Stottlemeyer. — Mam sporo roboty.

- Jak pan sądzi, kapitanie, co tu się stało? — zapytałam.

Z dala od ciała poczułam się trochę lepiej. Mogłabym prawie zapomnieć, że kogoś tu zamordowano. Prawie.

- Wygląda na robotę zawodowca - powiedział Stottlemeyer. - Ofiara to niejaki Arthur Lemkin, makler giełdowy. Może podkradał fundusze, może się komuś nie spodobało, jak zainwestował pieniądze. Stukanie do drzwi, Lemkin otwiera i dostaje kulkę. Nikt nic nie słyszał. Zamachowiec użył broni małego kalibru i stłumił wystrzał poduszką. Bardzo sprytne, bardzo proste.

- Potrzebna nam twoja pomoc.

- Monk, nie widzisz, że pracujemy na miejscu zbrodni? Ustalmy jedną rzecz: nie dwa morderstwa naraz, dobrze?

Monk zaprzeczył nerwowo ruchem głowy.

- To naprawdę nie może czekać.

- To był facet, który by ci się spodobał, Monk - odezwał się Disher, wychodząc z łazienki i zostawiając za sobą otwartą szafkę. - Cholernie dbał o czy-

stość i codziennie nosił identyczne koszule. Widziałeś całe mieszkanie? Wszystko do wszystkiego pasuje, wszystko jest miłe i symetryczne.

- Niezupełnie. Obrazy na ścianie mają różne wymiary. - Monk się odwrócił do Stottlemeyera. — Proszę, wystarczy, jeśli przez dwie minuty wysłuchasz, co mam do powiedzenia, a potem tylko poświęcisz trochę czasu na parę telefonów.

- Muszę zebrać dowody, dopóki sprawa jest świeża - odpowiedział Stottlemeyer. - Sam wiesz, jak ważne są pierwsze chwile dochodzenia. Daj mi parę godzin i potem możemy porozmawiać. Ale nie teraz.

- Zabiła go żona - powiedział raptem Monk. - To co, teraz możemy już porozmawiać?

Stottlemeyer zastygł. Wszyscy staliśmy w osłupieniu.

- Rozwiązałeś zagadkę morderstwa - powiedział po chwili Stottlemeyer takim tonem, że jednocześnie udało mu się wypowiedzieć stwierdzenie i zadać pytanie.

- Wiem, powinienem wpaść na to już pięć minut temu, ale trochę nie jestem w formie. Miałem trudny poranek - powiedział Monk. - Wiesz, jak to jest.

- Nie, Monk, nie wiem - odpowiedział Stottlemeyer znużonym głosem. - Chciałbym wiedzieć, ale nie wiem.

- Skąd pan wie, że to jego żona? - zapytał Di-sher. — Skąd pan wie, że Lemkin w ogóle miał żonę?

- Bo w przeciwnym razie nie uwiłby sobie tutaj gniazdko miłości - odpowiedział Monk.

- Gniazdko miłości? - zapytał Stottlemeyer.

- To miejsce, które mężczyzna wykorzystuje do miłosnych schadzek z kobietą nie będącą jego żoną.

- Wiem, co to jest gniazdko miłości, Monk! Natomiast nie wiem, jak wpadłeś na to, że jest nim właśnie to mieszkanie.

Ja tego również nie wiedziałam.

—Meble są wypożyczone, dlatego do siebie pasują, zresztą widziałem pod nimi metki z wypożyczalni.

—Zagląda pan pod meble? — zadziwił się Disher.

—Robi to wszędzie, gdzie się znajdzie — wyjaśnił Stottlemeyer.

Wiedziałam, że to prawda. Szczerze mówiąc, sama widziałam, jak robił to u mnie w domu. Pod meblem może się coś znajdować i Monk nie wytrzyma, jeśli się o tym nie dowie. Może tkanina się mechaci? Taka myśl jest dla niego za trudna do zniesienia.

—Główne tropy to odzież i toaleta — zaczął tłumaczyć Monk. — Lemkin trzymał cztery pary takich samych spodni i cztery koszule tego samego koloru po to, żeby po każdym skrytym rendez-vous mógł szybko wskoczyć w świeże, identyczne rzeczy, by żona nie zauważyła, że w ogóle się przebierał. Trzymał tu zawsze pod ręką mydło i wodę kolońską, bo był ostrożny i zapobiegliwy i nie chciał, żeby żona zdołała wy czuć u niego woń obcej kobiety.

Powinłam się nauczyć ufać własnym instyktom albo przynajmniej umieć je interpretować. Mieszkanie zrobiło na mnie wrażenie pokoju hotelowego od razu, gdy tu weszłam. Jednak nie chciało mi się dalej zastanawiać, co wywołało we mnie takie wrażenie. Natomiast Monkowi się chciało. Był zawsze głęboko świadom istoty rzeczy, które innym wydawały się najzwyczajniejsze, które my widzieliśmy, wcale ich nie dostrzegając. Na tym polegała jedna z różnic między mną a Monkiem. Były także inne: na przykład nie muszę odkażać dzióbka ulicznego dystrybutora z pitną wodą, kiedy chcę się napić, a Monk musi.

—Dobrze, miał romans - zgodził się Stottlemeyer. — Ale skąd wiesz, że to żona go zabiła, a nie jakiś wściekły małżonek, odtrącony kochanek lub choćby płatny zabójca?

—Wystarczy spojrzeć na ciało - powiedział Monk i przeszedł do korytarza.

Ruszyliśmy jego śladem. Gdy znowu zobaczyłam zwłoki, natychmiast uderzyło mnie to samo drżenie i poczucie niepewności. Niski pomruk strachu narastał z każdą chwilą.

Tymczasem Monk, Stottlemeyer i Disher przykleknęli obok trupa, jakby był niewiele bardziej istotny niż kolejny mebel w domu. Robili wrażenie całkowicie odpornych na doznania, które mną owładnęły.

—Lemkin został trafiony jednym strzałem w serce — zaczął Monk. — Dlaczego nie w twarz albo głowę? Otrzymał strzał w serce, ponieważ złamał serce. Nie wolno lekceważyć symboliki.

—To nie lekcja angielskiego w szkole - powiedział Disher. - Te całe symbolizmy to nawet dla ciebie twardy orzech do zgryzienia.

—Wcale nie, jeśli zauważysz również, że zabójca zabrał Lemkinowi ślubną obrączkę — powiedział Monk, wskazując błądą smugę na serdecznym palcu ofiary. - Tu z całą pewnością chodziło o wartość sentymentalną.

—Lub ekonomiczną - rzucił Disher.

—To dlaczego zabójca nie zabrał rolexa? - powiedział Monk, pokazując wielki złoty zegarek na nadgarstku zabitego. - Jest jeszcze coś. Zabójca użył małokalibrowego pistoletu, to tradycyjna „damska broń”. Zwróćcie też uwagę, co posłużyło zabójczym za tłumik: poduszka, którą szydełkowała przez wszystkie te godziny, podczas których zostawiał ją, by być z inną kobietą. Niezamierzona symbolika to naturalne przyznanie się do winy.

Nagle uświadomiłam sobie, że również klęczę. Dziwne samopoczucie i niepewność, których dotąd zaznawałam, ustąpiły. Próbując zrozumieć argumentację Mońka, zaczynałam widzieć ciało Lemkina w taki

sam sposób jak oni: nie jako istotę ludzką, lecz księgę, z której trzeba wyczytać sens, jako puzzle do ułożenia w całość i jako problem do rozwiązania.

- Mój nauczyciel angielskiego z pierwszego roku studiów miał rację: dostateczny, który u niego miałem, do dziś odbija mi się czkawką. — Stottlemeyer wstał i spojrzał na Dishera. - Odszukaj żonę Lemkina, Randy. Przedstaw jej zarzut morderstwa pierwszego stopnia i przywieź ją na posterunek.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, przez następne dziesięć minut Monk wyjaśniał Stottlemeyerowi, jak doszedł do przekonania, że koniecznie powinniśmy znaleźć płaszcz Lucasa Breena, i wyraził przypuszczenie, gdzie on teraz jest.

- Chcesz przerzucić trzydzieści ton śmieci w poszukiwaniu płaszcza, który być może został wrzucony do jednego z kontenerów przy Excelsiorze? -zapytał Stottlemeyer.

- Jestem pewien, że został tam wrzucony - poprawił go Monk. - Jeśli nie odzyskamy go teraz, zanim zasypią go kolejne transporty śmieci i zanim zostanie wywieziony na wysypisko, to nigdy go już nie znajdziemy.

- Takie poszukiwania wymagają wielu rąk do pracy i wielu roboczogodzin. Nie mam upoważnienia do zatwierdzenia wydatków tego rzędu. Muszę skierować wniosek bezpośrednio do zastępcy komendanta i sporządzić w tej sprawie osobny raport.

- Możesz to teraz zrobić? - zapytał Monk.

- Jasne, zdaje się, że nie mam tu już specjalnie nic do roboty — stwierdził Stottlemeyer. - Wszystko załatwiłeś jeszcze w mieszkaniu.

- Drobiazg - powiedział Monk.

- Wiem - odparł Stottlemeyer. — Trudno mi nawet wyrazić, jak bardzo... nie na miejscu się czuję. Czasem nie wiem, czy ci podziękować, czy cię zastrzelić.

—Wiedziałeś, że nie mają dziewiątego sektora?

Stottlemeyer rzucił mi szybkie spojrzenie, potem zerknął na Mońka i spróbował udąć jak najbardziej szczerze zaskoczenie.

—Chyba żartujesz!

—Też byłem zszokowany. Mieszają wszystkie śmieci, dasz wiarę?

—Trudno to sobie wyobrazić — powiedział Stottlemeyer.

—To nadużycie zaufania publicznego - oświadczył Monk. - Powinno się wszcząć dochodzenie w tej sprawie.

—Oczywiście, na pewno poruszę ten temat podczas rozmowy z zastępcą komendanta — zapewnił go Stottlemeyer. - Czekaj na mnie na posterunku. Spotkamy się tam, gdy tylko się z tym uporam.

16

Monk daje czadu

Czekaliśmy na Stottlemeyera w jego gabinecie. Przejrzałam stary, sfatygowany od kartkowania numer „Sports Illustrated” ze strojami kąpielowymi, do którego były dołączone okulary 3-D. Miałam do wyboru albo to, albo czasopismo „Broń i amunicja” z ubiegłego miesiąca. Mońka zajęło czytanie raportów z bieżących śledztw, pozostawionych na biurku Stottlemeyera.

Założyłam trójwymiarowe okulary i otworzyłam czasopismo. Z kolorowych stron wyskoczyły na mnie, niczym kule armatnie, dziesiątki piersi pięknych supermodelek. To było niesamowite. Próbowałam sobie wyobrazić, jak mój biust wyglądałby w wymiarze 3-D zamiast I-D. Wątpię, by ktokolwiek zauważył różnicę. W moim biuście nie ma nic z literki „D”.

Do sali wszedł Disher, prowadząc kobietę zakutą w kajdanki, jak się domyśliłam, panią Lemkin, choć nie wyglądała wcale tak, jak ją sobie wyobrażałam. Ponieważ mąż ją zdradzał, a ona większość czasu spędzała z szydełkiem w ręku, wyobrażałam ją sobie jako najzwyczajniej szą, wybladłą kobiecinę w prostej sukni i z kokiem ciasno upiętym na czubku głowy. Jednak pani Lemkin wcale tak nie wyglądała. Przeciwnie, musiała regularnie uprawiać jogging i ćwiczyć aerobik. Wiedziała też, co znaczy pierwszorzędny makijaż (sztuka, której nigdy nie opanowałam). Najwyraźniej była dumna z zadbanej sylwetki, bo chętnie pokazywała ją w bezrękawniku i obcisłych dzinsach.

Długie czarne włosy związała w koński ogon który przełożyła przez otwór z tyłu różowej czapeczki baseballowej Von Dutch.

Nasze oczy spotkały się na chwilę. Dojrzałam w nich dumę i złość, lecz ani odrobiny wyrzutów sumienia.

Disher przekazał ją umundurowanemu policjantowi, by spisał jej dane, a potem skinął na mnie, bym wyszła do niego na rozmowę.

- To pani Lemkin? - zapytałam.

- Uhm - przytaknął Disher. - Zastaliśmy ją przy stole w kuchni, siedziała przed laptopem i hulala sobie na aukcjach eBaya.

- Co kupowała?

- Porcelanowe lalki - odpowiedział Disher. - Nie wyglądało to na zakupy, które miałyby ukoić ból po zastrzeleniu własnego męża.

- Wcale nie wygląda na osobę pogrążoną w bólu

- Może to przez te okulary? - powiedział Disher wskazując palcem moją twarz.

Zupełnie zapomniałam, że wciąż mam je na nosie. Zdjęłam je szybko i żeby ukryć zażenowanie, uśmiechnęłam się szeroko, szczerząc zęby.

- Czytałam artykuł w „Sports Illustrated”.

- W takich okularach słowa chyba same wyskakują spomiędzy kartek, prawda?

- Nie tylko słowa - odpowiedziałam. - Gdyby takie okulary mogły zadziałać przy każdym czasopiśmie mężczyźni czytaliby o wiele więcej.

- Ja na pewno czytałbym więcej - zapewnił Disher. - Słuchaj, spełniłem twoją prośbę, chciałem ci powiedzieć wcześniej, jeszcze na Mount Sutro. Joe Cochran był jednym ze strażaków, którzy zostali wczoraj ranni.

Wiem, że to banał, ale poczułam, że serce podeszło mi do gardła. Ten zwrot jest chyba często używany, ponieważ jak żaden inny doskonale oddaje ludzka reakcję na złą wiadomość. Do oczu zaczęły mi napły-

wać łyzy. Disher musiał to zauważyć, bo szybko znowu zaczął mówić.

—Nic poważnego mu się nie stało. Lekkie wstrząśnienie mózgu i kilka siniaków. Przed południem wy pisali go do domu.

Odetchnęłam z ulgą i otarłam z oczu łyzy, które nie zdążyły popłynąć po twarzy, ale czułam, że wciąż cała drzę z nerwów. Co się stanie, kiedy następnym razem Joe wskoczy do płonącego domu? Czy znowu będzie miał tyle szczęścia? To jego zawód i jeśli chcę się z nim spotykać, będę musiała do tego przywyknąć.

—Dziękuję — powiedziałam. — Jestem ci naprawdę wdzięczna.

—Tak przy okazji - powiedział Disher, zniżając głos do szeptu i otwierając swój notes — facet ma czyściutką kartotekę, żadnych zatrzymań, żadnych poważnych wezwań sądowych, choć ma na koncie trzy nie zapłacone mandaty. Nigdy nie był żonaty, w każdy razie nie w tym kraju, ale trzy lata temu mieszkał z jakąś kobietą. Nazywała się...

Przerwałam mu gwałtownie.

—Sprawdzałeś przeszłość Joego?

Disher przytaknął z dumą.

—Pomyślałem, że skoro sprawdzam, jak się czuje, to sprawdzę też całą resztę.

—Nie chcę znać całej reszty.

—Ale cała reszta to właśnie on.

—I właśnie dlatego wyłącznie on może mi o niej opowiedzieć - powiedziałam. - Albo sama mogę się tego dowiedzieć.

—To niemałe ryzyko, Natalie. Sam się nieraz sparzyłem - ostrzegł Disher. — Nigdy nie idę na randkę, nie wiedząc wszystkiego o kobiecie, z którą się spotykam.

—Dlatego już nie chodzisz na randki — powiedziałam. - Każdej znajomości potrzebna jest odrobina

tajemnicy. Odkrywanie drugiej osoby to połowa romansu.

- To ta połowa, której nie cierpię — odparł Disher.

Kazałam mu wydrzeć strony, na których spisał szczegóły dotyczące przeszłości Joego, i podrzeć je na strzępki. Nie wyglądał na zadowolonego, ale nic mnie to nie obchodziło. Chociaż to nie ja wetknęłam nos w przeszłość Joego, to czułam się winna, że jego prywatność została naruszona.

Disher spojrzął poza mnie i zauważył nagle, co czyta Monk. Rzucił się do biurka i wyrwał akta z rąk Mońka.

- Co pan robi? — zapytał oburzony.

- Zabijam czas - odpowiedział Monk.

- Czytając poufne akta z nie zamkniętych śledztw w sprawie zabójstw?

- Nie czytałeś chyba ostatniego numeru „Zabaw dla dzieci” — powiedział Monk. - Powinieneś przedłużyć prenumeratę.

- Nigdy tego w domu nie prenumerowaliśmy - powiedział Disher.

- Najbardziej lubię odnajdywanie różnic między dwoma obrazkami — zwrócił się do mnie Monk. -Dzięki temu nie wypadam z formy.

Disher zaczął układać z powrotem akta na biurku.

- Czekaj - powstrzymał go Monk, wskazując na teczkę w dłoni Dishera. - Ogrodnik.

- Co? - Nie zrozumiał Disher.

- Zabójcą jest ogrodnik - powiedział Monk. -Uwierz mi.

- Jasne, postaram się nie zapomnieć - rzucił Disher na odczepnego, odłożył akta i zaraz sięgnął po następne.

- Teściowa - powiedział Monk.

- Raz pan przeczytał akta i już pan wszystko wie?

- Z całą pewnością teściowa - przekonywał Monk. — Wystarczy pomyśleć.

Disher odłożył na biurko kolejne akta.

- Brat bliźniak - oznajmił Monk. I następne.

- Czyściciel butów. I następne.

- Posłaniec na rowerze.

Zniecierpliwiony Disher cisnął na biurko pozostałe teczki.

- Księgowy, długo nie widziana ciotka, pedicurzystka - wyliczał w pośpiechu Monk. - Jedną teczkę upuściłeś.

Disher schylił się i podniósł ją z podłogi.

- Ten krótkowzroczny Jogger—powiedział Monk. — Niemożliwe, żeby widział kobietę w oknie. Nie miał okularów.

- Mam nadzieję, że skrzętnie notujesz — powiedział Stottlemeyer, wchodząc do gabinetu z nachmurzoną miną.

- Nie musiałem - odpowiedział Disher, pukając się w głowę. — Wszystko już jest tutaj.

- Lepiej zapisz — doradził Stottlemeyer.

Disher przytaknął, wyjął notes i zaczął pisać.

- Jak poszła rozmowa z zastępcą komendanta? - zapytał Monk.

- Żle- odparł krótko Stottlemeyer. - Nie dał pozwolenia na przeszukiwanie składowiska.

- Dlaczego?

- Ponieważ uważa, że w ogóle nie ma sprawy - wyjaśnił Stottlemeyer. - Więcej nawet, powiedział, żebyśmy bezpodstawnymi i szkalującymi oskarżeniami przestali dreczyć szanowanego członka Komisji do spraw Policji. Kazał mi skierować śledztwo na inne tory.

- Breen się z nimi skontaktował - stwierdził Monk.

- Wierchuszka — zgodził się Stottlemeyer. — Randy, niech ludzie z laboratorium pojadą do remizy i zbadają strażackie ubrania, płaszcz, hełm, buty, rękawice, wszystko, co Breen sobie pożyczył, może trafią na odciski palców albo DNA.

- Kapitanie, nie wiemy nawet, które rzeczy pożyczają.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział Stottlemeyer. - Możemy nie brać pod uwagę tych, które mieli na sobie strażacy jadący do pożaru.

- Ale od tamtego czasu pracowała już nowa zmiana i prawdopodobnie wszystkie komplety ubrań były już używane i zostały wyprane.

- Nie mówiłem, że to będzie proste. To ryzyko i mnóstwo pracy, ale właśnie w taki sposób ty, ja i każdy, kto nie jest Adrianem Monkiem, dokonuje przełomu w śledztwie. Trzeba zaciąć zęby i wylać siódme poty.

Monk wstał.

- Lucas Breen zabił Esther Stoval i Sparkyego. Jeśli nie znajdziemy płaszcza, morderstwo ujdzie mu na sucho. Musimy przeszukać te śmieci.

- Ja nie mogę - powiedział Stottlemeyer. - Jednak was nic nie wstrzymuje od grzebania w śmieciach.

- Owszem, wstrzymuje — zaprzeczył Monk. — Ja sam siebie wstrzymuję.

- Mam związane ręce, Monk. Oczywiście to się może zmienić, jeśli natraficie na nadpalony płaszcz Breena.

- Przejrzenie takiej góry śmieci może nam zająć parę tygodni - powiedziałam.

- Naprawdę chętnie bym wam pomógł, wiecie przecież. Ale nie mogę — zakończył Stottlemeyer. — Musicie sobie radzić sami.

Zanim wyszliśmy z gabinetu Stottlemeyera, wymogłam na kapitanie, żeby zadzwonił do Grimsleya,

kierownika składowiska, i poprosił o zamknięcie na kilka dni dostępu do owych trzydziestu ton odpadów, abyśmy mieli możliwość ich przeszukania. Stottle-meyer roztropnie nie mówił, że ma oficjalny nakaz, lecz raczej dał do zrozumienia, że to coś w rodzaju osobistej prośby.

Grimsley stwierdził, że z przyjemnością zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc policji w śledztwie.

Jednak tego popołudnia nie byliśmy jeszcze gotowi do wyprawy na składowisko. Monk miał umówione spotkanie u swojego terapeuty, doktora Krogera. Wobec prawdopodobnej perspektywy przekopywania się przez górę śmieci, Monkowi rzeczywiście potrzebna była konsultacja w kwestii jego lęków, zatem odwołanie tego spotkania w ogóle nie wchodziło w grę.

Sama miałam obawy. Co prawda nie odrzucało mnie od zarasków tak jak Mońka, ale plan spędzenia całego dnia wśród śmieci innych ludzi wcale mnie przecież nie cieszył.

Zadzwoniłam do Chada Grimsleya i powiedziałam, że przyjedziemy następnego dnia rano.

Kiedy Monk był u terapeuty, czekałam na niego na ulicy i postanowiłam zadzwonić do Joego. Odebrał już po pierwszym dzwonku. Jego głos był pełen energii i dobrego humoru.

- Zwalił ci się na głowę płonący magazyn, a u ciebie tyle animuszu?

- Ech, zwykły dzień w pracy - odpowiedział.

- Może mogłabym coś dla ciebie zrobić?

- Już robisz - odpowiedział. - Jak dochodzenie?

Opowiedziałam z grubsza o wynikach śledztwa, nie wymieniając jednak nazwiska ani zawodu Lucasa Breena. Nie chciałam, żeby Joemu przyszła do głowy jakaś głupota, jak choćby to, by sprać przedsiębiorcę na kwaśne jabłko.

Zręczne pominięcie kluczowych szczegółów nie uszło jednak uwagi Joego.

—Zapomniałaś podać nazwisko faceta, który zabił Sparky'ego i do którego należy płaszcz.

—Owszem.

—Nie ufasz mi?

—Nie - odpowiedziałam. — Ale w jak najlepszej wierze.

—Co się stanie, jeśli nie znajdziecie płaszcza?

—Zamordowanie Sparky'ego i starszej pani ujdzie zabójcy na sucho.

—Jeśli tak się to skończy, powiesz mi, jak on się nazywa?

—Nie sądzę — odpowiedziałam.

—Nie w ciemną bitą osóbką z ciebie - powiedział.-I ładna. Wciąż jesteśmy umówieni na jutrzejszy wieczór?

—Jeśli ty tak, to ja jak najbardziej - odparłam. — Jeśli nie masz nic przeciwko spotkaniu z kobietą, której dzień minie na przerzucaniu trzydziestu ton śmieci.

—Przestań - jęknął Joe. - Już się podniecam...

Roześmialiśmy się. Dawno już nie spotkałam mężczyzny, z którym wspólnie się śmiałam, a nie z którego się śmiałam. Mimo wszystko, kiedy wyobrażałam sobie, jak wbiega w ścianę ognia, znowu mnie ogarniał podskórny lęk.

Ech, zwykły dzień w pracy.

Umówiliśmy się, że następnego dnia wieczorem Joe przyjedzie po mnie do domu, i pożegnaliśmy się.

Zaparkowałam jeepa przed domem. Wsiedliśmy z Monkem z samochodu i po drugiej stronie niskiego ogrodzenia zobaczyliśmy panią Throphamner. Była w swoim ogródku i klęcząc na gumowej podkładce, rozłożonej na mokrej ziemi, pracowała przy rabacie

wspaniałych, kolorowych róż. Wszystkie kwitły i ich delikatna uroda była obezwładniająca.

- Ma pani piękne róże — powiedziałam.

- Wymagają ciężkiej pracy, ale są tego warte - odpowiedziała, trzymając w ręku ogrodową łopatkę.

- Cudownie pachną.

—Toburbony - wyjaśniła, wskazując łopatką du że, malinowoszkarlałte kwiaty. - Ta odmiana to Ma dame Issac Pereire. Pachnie najpiękniej ze wszystkich róż.

Otworzyłam bagażnik, wyjęliśmy zakupy, które zrobiliśmy w drodze do domu, i wnieśliśmy je do środka

—Czy róże kwitną przez cały rok? — zapytał Monk.

—W jej ogrodzie tak — odpowiedziałam. - Odkąd kilka miesięcy temu pani Throphammer zaczęła się zajmować ogrodem, nieustannie zmienia gatunki róż. Lubi mieć przez cały czas wiele rozmaitych kolorów.

Kiedy rozpakowywałam zakupy, Monk wstawił wodę i uparł się, że zrobi obiad. Nie oponowałam. Rzadko mi się zdarza wolny wieczór, a poza tym wiedziałam, że po Monku nie będę musiała sprzątać kuchni.

Wkrótce Julie wróciła do domu. Usiadła przy stole w kuchni i zaczęłam jej pomagać przy odrabianiu lekcji, a Monk się uwijał przy swoim, jak mówił, „sławnym spaghetti z klopsikami”. Niezwykle przygotowania Mońka tak nas ujęły, że nie potrafiłyśmy skupić uwagi na podręcznikach.

Sos do spaghetti wziął gotowy ze słoika Chef Boyardee (jak powiedział: „Nie ma sensu konkurować z mistrzem, prawda?”), jednak klopsiki robił własnoręcznie (w rękawiczkach rzecz jasna, jakby przeprowadzał operację chirurgiczną), uważnie mierząc i ważąc kulki, chcąc być pewnym, że są idealnie okrągłe i identyczne.

Ugotował makaron, odcodził, a potem pieczołowicie wyluskiwał kolejne nitki. Układał je równo jedna

przy drugiej na talerzach, upewniając się, że wszystkie są tej samej długości i że każdy otrzyma dokładnie czterdzieści sześć nitek.

Kiedy usiedliśmy do obiadu, Monk każdemu podał swoje spaghetti na trzech osobnych talerzach: na jednym makaron, na drugim sos, a na trzecim klopsiki. Wszystkie talerze z trudem się pomieściły na stole.

- Czy nie powinno się wymieszać makaronu z sosem i klopsikami? — zapytała zaciekawiona Julie.

Monk zaśmiał się i spojrzał na mnie wymownie.

- Ach, te dzieciaki, czyż nie są cudowne?

Następnie pochwycił widelcem jedną nitkę makaronu, okręcił ją wokół zębów widelca, wbił go w jednego klopsika, zanurzył klopsika w sosie i włożył go sobie do ust.

- Mmm... - rozmarzył się. - Pierwszorzędna kuchnia.

Po obiedzie każdy odpoczywał na swój sposób. Julie poszła do salonu oglądać telewizję. Ja usiadłam przy stole w kuchni i popijając wino, przeglądałam „Vanity Fair”. Natomiast Monk zaczął zmywać naczynia.

Lubię czytać „Vanity Fair”, ale i tak myślę o przerwaniu prenumeraty. Zanim człowiek znajdzie spis treści, musi przebrnąć przez pół setki stron z reklamami, rozrzucając przy tym po domu blankiety do wznowienia prenumeraty, a woń czasopisma trąci tanią ładacznicą. Co prawda nie wahałam nigdy ładacznicy, taniej czy nie taniej, ale wyobrażam sobie, że musi tonąć w takich perfumach.

- Jest jeszcze wcześniej — powiedział Monk. - Za bawmy się trochę.

Trochę odurzona winem i zapachem perfum byłam przekonana, że się przesłyszałam.

- Czy mówił pan coś o jakiejś zabawie?

—Zadzwon do pani Throphammer i popros, żeby przyszła do Julie. — Monk zdjął fartuch i rzucił go niedbale na blat, popisując się skrajnie nieodpowiedzialnym i brawurowym zachowaniem. - Zapoluje my na foczki. Oczywiście nie mam na myśli tych biednych foczek w Arktyce, lecz wizytę w pubie.

Odłożyłam czasopismo. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego Monk chce się wybrać w hałaśliwe miejsce pełne ludzi, którzy wyginają się w rytm głośnej muzyki i bez przerwy napierają na siebie przepoconymi cielskami.

—Chce pan potańczyć?

—Chcę skoczyć do klubu Flaxx i porozmawiać z Lizzie Draper, kochanką Lucasa Breena - wyjaśnił Monk.

—Może chce pan znowu popatrzeć na jej dekolt?

—Myślę, że mógłbym ją zmienić — powiedział poważnie Monk.

—Naprawdę pan sądzi, że Lizzie pomoże nam przyskrzynić swojego superbogatego kochanka? - zapytałam.

— Zawsze warto spróbować — stwierdził Monk.

Wreszcie się domyśliłam, o co naprawdę chodzi, i po wiedziałam mu to otwarcie.

—Desperacko próbuje pan wszystkiego, byle uniknąć jutrzejszego grzebania w śmieciach.

Monk rzucił na mnie wzrokiem.

—Do diabła, masz rację.

Wnętrze Flaxksa miało swój industrialny szyk - nadawał go gęszcz wyeksponowanych belek stropowych, przewodów wentylacyjnych i rur wodociągowych, ciągnących się na tle matowego aluminium, falistego metalu i karbowanej stali. Kolorowe, wirujące i pulsujące światła pod sufitem odbijały się w dziko w srebrnych powierzchniach, dając rodzaj psychodelicznego efektu w stylu retro.

Na wymoszczonych poduszkami, jasnych otomanach, wielkości największych łóżek dwuosobowych, siedziało lub póležało mnóstwo dwudziesto-parolatków, którzy robili wszystko, żeby wyglądać na jak najbardziej zbuntowanych i wyluzowanych. Przyszli tu prosto z gabinetów, urzędów i biurowych boksów, ubrani jak do pracy, choć porozpinani tu i ówdzie, żeby pokazać głębszy dekolt, jakieś kolczyki albo tatuaże mające dowieść, że wciąż drzemie w nich „niegrzeczny chłopak” czy „niegrzeczna dziewczyna”. Uciekli w to miejsce od jednego kieratu, by poddać się innemu; było to dość oczywiste, patrząc na sposób, w jaki tańczyły ze sobą niektóre splecione pary, i na energię, z jaką inni robili użytek z otoman.

Monk starał się nie patrzeć na tancerzy i otomaniarzy, ale nie było to łatwe. Jeśli odwracał wzrok od parkietu, widział otomany, a kiedy odwracał wzrok od par na otomanach, widział na ścianach płaskie monitory, a na nich wideoklipy z nieśmiałyymi, softcoro-wymi scenkami z udziałem dziewcząt. Wcale nie było to dla mnie szokiem. Zmysłowość lesbijska dawno weszła w modę i stała się chwytliwym narzędziem marketingowym do sprzedaży niemal wszystkiego, od damskiej bielizny po dezodoranty. W miarę postępowania tego procesu zupełnie zatraciła efekt szokowania i swój gorączkowy erotyzm. W każdym razie dla mnie. Z pewnością nie dla Mońka.

Muzyka była bardzo głośna i rytmiczna, biła mnie po uszach i całym ciele. Podobała mi się nawet i zauważyłam, że instynktownie się kołyszę w jej rytm. Jednak Monk się krzywił niemiłosiernie, jakby każdy takt był dla niego bolesnym ciosem.

—To złe miejsce — powiedział Monk.

- Mnie się wydaje zupełnie normalne - powiedziałam.

- Och, naprawdę? Spójrz tylko na to! — Wskazał miskę na środku jednego ze stolików.

- No i co?

- Wymieszane orzechy - powiedział grobowym głosem, wieszczącym katastrofę.

- Co z tego?

- Nerkowce, fistaszki, orzechy włoskie, migdały... Wszystkie w jednej misce. To gwałt na naturze.

- Jak będziemy wychodzić, możemy zadzwonić po ekologów ze stowarzyszenia Sierra Club.

- Samo to jest potworne, że zostały wymieszane, a oni jeszcze wystawili je dla ludzi... — Zatrząśł się. - Pomyśl tylko, ile rąk dotykało tej miski, bardzo dziwnych rąk, które były wcześniej... - jego wzrok padł na jedną z par na najbliższej otomanie —..nie wiadomo gdzie.

Monk odwrócił szybko głowę od tego wstrząsającego obrazka i znowu spojrzął na miskę. Jęknął i niepewnie cofnął się o krok.

- Co? — zapytałam.

Nie potrafił spojrzeć drugi raz na to, co go raziło. Stać go było tylko na tyle, żeby gwałtownie odwrócić głowę od stolika.

- Miska - powiedział szeptem, jakby miska mogła go usłyszeć i się obrazić.

- Wiem, wymieszane orzeszki - powiedziałam. - Gwałt na naturze.

Potrząsnął głową.

- Popatrz jeszcze raz. Powiedz, że nie widziałem w tej samej misce precelków i krakersów... - powie dział i dodał wymownym tonem: - ..razem z orzesz kami!

Zerknęłam na miseczkę, wiedząc, że i bez patrzenia mogłabym pewnie przyznać mu rację. Oczywiście, orzeszki i krakersy w jednej misce.

- To tylko złudzenie optyczne - powiedziałam.

Monk zaczął się powoli odwracać, ale powstrzymałam go szybko.

- Po co się zadrećzać? Proszę nie zapominać, po co tu przyszliśmy. Musimy się skoncentrować.

Monk przytaknął.

- Tak jest. Skoncentrować. Wet Ones.

Podaliśmy mu kilka opakowań chusteczek antybakteryjnych i zaczęliśmy się przepychać w kierunku baru, który wił się wzdłuż tylnej ściany klubu i bardziej przypominał wybieg dla striptizerek niż miejsce, przy którym można by wesprzeć głowę nad drinkiem. Obrazu dopełniały dwie błyszczące rury po obu końcach falistego baru, przy których tłoczyli się podekscytowani mężczyźni.

Udało nam się znaleźć trochę miejsca przy barze, choć oznaczało to, że siedzieliśmy ramie w ramie z innymi ludźmi. Monk cały się skurczył i skrzyżował przed sobą ręce, żeby przypadkiem niczego ani nikogo nie dotknęły.

Nie miałam co prawda jego fobii, ale zrobiłam dokładnie to samo. Sposób, w jaki facet siedzący obok mnie potraçał mnie co chwilę, ocierając się ramieniem o moją pierś, nie pozostawiał złudzeń, że robi to celowo, bo ma ochotę poczuć małe co nieco. Jeszcze raz to zrobi i poczuje mój łokieć na nerce.

Trzy barmanki, wszystkie hojnie obdarzone przez naturę, w skąpym biustonoszu na górnej partii ciała i spódniczce mini na dolnej, nalewały gościom drinki, kołysząc się w rytm muzyki. Jedną z barmanek była Lizzie Draper. Na całe szczęście nie miała guzików, od których Monk nie mógłby oderwać oczu. Jeśli wierzyć małym identyfikatorom, pozostałe dwie kobiety miały na imię LaTisha i Cindy.

Lizzie zatrzymała się przed nami, nie przestając się kołysać w tańcu.

- Znowu pan — powiedziała do Mońka. — Guziko-
man.

- Muszę porozmawiać z panią na temat morderstwa
Esther Stoval - powiedział Monk.

- Przecież już mówiłam - odpowiedziała. — Nic o
tym nie wiem.

- Zna pani mordercę.

W tej chwili LaTisha uderzyła w dzwonek, pod-
kręciła muzykę na cały głos i nagle wskoczyła na kon-
tuar. Wszyscy mężczyźni zarzyczeli z radości. Z wyją-
tkiem Mońka.

- Czy ona zdaje sobie sprawę, jakie to niehygie-
niczne? - Monk krzyczał mi prosto w ucho. - Przecież
przy tym kontuarze ludzie jedzą i piją.

- Wydaje się, że mało ich to obchodzi — stwier-
dziłam, pokazując kłębiących się wokół nas pohuku-
jących i pokrzykujących facetów.

- Co też oni mogą wiedzieć? — sarknął Monk. -
Przecież jedzą orzechową mieszanę.

Lizzie wskoczyła na kontuar tuż przed nami i zaczęła
tańczyć razem z LaTishą, niemal wpychając brzuch w
nos Mońka.

- To Lucas Breen — powiedział Monk do jej stóp.

- Nie widzi pan, że pracuję?

- Próbuję nie widzieć.

Cindy rzuciła z dołu butelkę tequila z długą szyjką,
Lizzie złapała ją w locie i zakręciła nią w powietrzu jak
pałką policyjną. LaTisha złapała drugą butelkę i zrobiła
to samo co Lizzie. Cały numer miał swoją choreografię i
zapewne każdego wieczoru był wykonywany
wielokrotnie.

- Wiemy, że ma z nim pani romans - powiedział
Monk.

- Jeśli chce pan ze mną rozmawiać, musi pan wejść
na górę — oświadczyła Lizzie.

- Co?

—Dobrze pan slyszal. — Lizzie zakrecila sie przed nim, zataczajac kola wielkim biustem.

Scisnieci wokol nas mezczyzni ruszyli w jej strone, wypychajac banknoty za pasek jej spodniczki i przygniatajac nas do kontuaru.

- Jeszcze! - ryknal do niej jegomosc, siedzacy po drugiej stronie tego, ktory wciaz sie o mnie ocieral.

Lizzie postawila stope na jego ramieniu, pochylila sie i zaczela polewac tequilą jego wlosy. Mezczyzna podniosl glowe i niczym wyglodniale piskle w gniezdzie otworzyl szeroko usta, by lykac strumien trunku.

Wobec naglej grozby ochlapania tequilą wystraszony Monk wspiął sie blyskawicznie na kontuar i stanal w miejscu jak slup soli. Lizzie tanczyla tuz przed nim, a LaTisha tuz za jego plecami.

—Daj pan czadu! — krzyknęła Lizzie.

—Ja nie mam czadu - odpowiedzial Monk.

—Kazdy ma! - krzyknęła LaTisha.

—W takim razie jestem pewny, ze usunięto mi go tuz po urodzeniu - stwierdzil Monk. - Albo kiedy wycinano mi migdalki.

Barmanki zaczely rzucac do siebie butelki, to z jednej, to z drugiej strony Mońka, ktory objal sie mocno ramionami i przerazony zamknal oczy. Nie wiem, czy bardziej bal sie, ze oberwie butelką czy kropla tequili.

- Niech pan tanczy, bo nie bede z panem rozmawiala - powiedziala Lizzie, przerzucajac sie z LaTisha butelkami. - Wie pan, ile zaplaciliby ci faceci, zeby znalezc sie na pana miejscu?

- Ja bym im zaplacil.

- Niech pan tanczy.

Monk zastepowal, strzelil palcami i podniosl pare razy ramiona.

- To ma byc taniec?

- Jeśli się pani nie podoba, to niech pani wyjdzie — stwierdził Monk. - Esther Stoval groziła Bree-nowi, że ujawni wasz związek. Dlatego ją zabił.

- Wcale nie mówiłam, że łączy nas jakiś związek. - Lizzie odrzuciła butelkę do stojącej na dole Cindy, która ją złapała i jednym zwinnym ruchem odstawiła na półkę.

- Kiedy byliśmy u pani, miała pani na sobie jego koszulę z monogramem.

- Kupiłam ją w Goodwillu - odpowiedziała. — Nie-wykluczone, że mam w domu również pańską.

- Człowiek, który raz zabił, by utrzymać tajemnicę, gotów jest zabić drugi raz - mówił Monk. - Pani może być następna.

Lizzie chwyciła rurę i odwrócona do Mońka plecami, zaczęła przy niej lubieżnie tańczyć. W tłumie podniosły się wesole krzyki, wiwaty i gwizdy. Wydawało mi się, że nawet kobiety dały się w to wciągnąć.

- Powinien pan włożyć mi pieniądze za spódniczkę - powiedziała Lizzie.

Monk sięgnął do kieszeni, wyciągnął paczuszkę chusteczek Wet Ones i mrużąc oczy, niemal je zamykając, próbował wsunąć je za pasek spódniczki. Jednak Lizzie nie przestawała się ruszać i kręcić pośladkami, trochę, żeby zabawić publiczność, a trochę, żeby utrudnić Monkowi zadanie.

- Czego pan ode mnie chce? - zapytała.

- Aby postąpiła pani zgodnie z sumieniem i pomogła postawić mordercę przed sądem. Nałoży pani na siebie podsłuch — powiedział Monk, wciskając wreszcie chusteczki za spódniczkę i cofając się szybko o krok. — Niech zabójca sam się zdradzi.

- Nigdy - odpowiedziała. - Absolutnie nie noszę podsłuchów.

- W ogóle niewiele pani nosi... — stwierdził Monk.
Odwróciła się i zaczęła tańczyć twarzą do Mońka.
Druga barmanka podeszła od tyłu i obie kobiety prawie przyłgnęły do niego, biorąc go w tańcu między siebie.
- Nawet gdybym sypiała z Lucasem Breenem, nie zdradziłabym go - powiedziała Lizzie. - Oddałabym życie, żeby go chronić.
- Pani życzenie szybko może się spełnić. - Monk zakwiczał, obracając się wokół osi parę razy, po to tylko, żeby umknąć kontaktowi z kobietą z którejkolwiek strony.
- Nigdy pan nie wygra z Lucasem Breenem - powiedziała Lizzie. - Pan mu nie dorównuje, panie guzikomanie. Nie dorasta mu do pięt.
- A pani? - podchwycił Monk. - Pani myśli, że dorasta mu do pięt? Pani tańczy w barze. Jak pani myśli, jak długo to potrwa, nim w końcu rzuci panią jak jedną ze swoich koszul z monogramem?
Lizzie i jej partnerka rozłączyły się, obróciły równocześnie i zsunęły z kontuaru na drugą stronę, pozostawiając tańczącego Mońka samego.
Przedstawienie się skończyło.
Kobiety wróciły do nalewania drinków i kołysania się za barem. Lizzie Draper robiła wszystko, by udawać, że nie dostrzega Mońka, co jednak nie było proste. Trudno bowiem nie zauważać mężczyzny stojącego samotnie na kontuarze baru.
Monk szukał sposobu, jak zejść na dół, nie dotykając kontuaru, ale było to raczej niemożliwe.
Znienacka dałam wreszcie sąsiadowi mocnego kuksańca. Zaskamlał piskliwie.
- Za co?
- Dobrze wiesz za co - odpowiedziałam. - Posuń się, zboku, bo trzeba zrobić temu panu miejsce.

Mężczyzna i jego zmoczony teąiłą koleżka trochę się odsunęli. Monk zeskoczył i wylądował na obu nogach z donośnym tupnięciem.

—Mam wrażenie, że jednak znalazłem w sobie trochę czadu - powiedział.

- Cieszę się, że wieczór nie poszedł na marne — odparłam, kierując się do wyjścia.

Monk i góra

Następnego ranka Monk usiadł w kuchni przy stole i zjadł miskę płatków Chex, jakby był to jego ostatni posiłek przed egzekucją. Powiedziałam mu to głośno.

—Egzekucja przynajmniej odbywa się szybko — stwierdził Monk. - Ja się czuję jak człowiek dożywotnio skazany na ciężkie roboty w kanalizacji.

—To przecież nie zajmie panu reszty życia.

—Ale tak będę się czuł.

—Bardzo się cieszę, że ma pan do tego pozytywne nastawienie — powiedziałam. — Jakiej rady udzielił panu doktor Kroger?

—Podziwia moje oddanie i poczucie sensu działania. Powiedział, że jeśli się skoncentruję na celu, jaki mam nadzieję osiągnąć, to nie zauważę otoczenia.

—Świetna rada. Co pan mu odpowiedział?

—Zapytałem, co się stanie, jeśli celem mojego działania będzie jak najszybsza ucieczka z tego otoczenia.

Zanim pojechaliśmy na składowisko śmieci, Monk kazał mi się zatrzymać przy sklepie z zaopatrzeniem medycznym na O'Farrel Street. Mieli tam pełny ekwipunek, który lekarze Narodowego Instytutu Zdrowia zabierają pewnie na wyprawy do zagubionej afrykańskiej wioski, gdzie mają powstrzymać epidemię wirusa Ebola czy jakies przywleczone z kosmosu zarazki tajemniczej Andromedy.

W sklepie Monk wyposażył się w hełm z szeroką, przezroczystą maską na twarz, jednocześnie kom-

binezon, dopasowane do niego rękawice do ciężkich robót i wysokie, grube buty. Poza tym „kombinezon epidemiologiczny”, jak go nazywali w sklepie, miał wbudowany aparat tlenowy, taki sam, jaki posiadają strażacy czy jednostki do zwalczania skażenia i promieniowania. Kiedy Monk nałożył na siebie to wszystko, wyglądał jak potomek astronautki i nurka głębinowego.

Nie zgodziłam się na propozycję, że kupi mi taki sam strój. Uznałam, że w zupełności wystarczy to, co zaferuje mi kierownik Grimsley. Monk nastawał jeszcze przez parę dobrych chwil, ale w końcu powiedział mi, że jeśli chce mi coś koniecznie sprezentować, to niech to będzie gotówka, którą tak bardzo chce przeznaczyć na drugi głupkawy kombinezon. To zamknęło mu usta.

Kiedy dojechalśmy do składowiska, Grimsley czekał na nas z kombinezonami ochronnymi, rękawicami, butami, kaskami, goglami i maskami przeciwpyłowymi. Szczeka mu jednak opadła, kiedy Monk wygramolił się z samochodu w swoim „kombinezonie epidemiologicznym”.

- To doprawdy nie jest konieczne, panie Monk.

- Widział pan tę górę śmieci? - zapytał Monk; jego stłumiony głos wydobywał się z głośniczków umieszczonych w hełmie.

- Ubranie, które przyniosłem, całkowicie wystarczy - zapewnił Grimsley. - Ponadto mamy nowoczesny system stałego oczyszczania powietrza, a pył, który się unosi w hali, ograniczamy poprzez regularne zraszanie odpadów.

- Pięknie, do tego jeszcze nasiąkniemy śmieciem jak gąbka - jęknął Monk. - Z każdą sekundą koszmar się pogarsza.

Grimsley wręczył mi rzeczy i podczas gdy wkładałam je na swoją koszulkę i dresowe spodnie, on zebrał

jakieś formularze i podsunął nam do podpisu. Były to deklaracje zwalniające firmę od odpowiedzialności prawnej za uszkodzenia ciała, jakich możemy doznać, i choroby, jakich możemy się nabawić w czasie penetracji gnijącego składowiska śmieci.

Monk podpisał formularz i spojrzął na mnie.

—Założę się, że teraz wołałabyś mieć na sobie mój kombinezon.

Szczerze mówiąc, wołałam, ale na pewno nie miałam zamiaru tego przyznać. Kiedy podpisaliśmy formularze, Grimsley wskazał nam szufle, kilofy i grabie leżące na platformie jego samochodziku.

—Proszę, możecie korzystać, z czego tylko chcecie - powiedział. - Pomyślnych łowów, pani Teeger.

Niemal zasalutował do kasku, a mnie kusiło, żeby przed nim dygnąć.

—Dziękuję, panie Grimsley. - Wyjęłam z samochodziku grabie, wręczyłam je Monkowi, a potem wzięłam drugie dla siebie.

Patrzyłam, jak Monk z wahaniem postąpił parę kroków w kierunku śmieci. Nagle nadepnął na jakąś brudną pieluchę i krzyknął piskliwie.

Mały krok dla człowieka, wielki krok dla ludzkości.

Naciągnęłam maskę na usta i nos, poprawiłam gogle i wkroczyłam w stertę śmieci.

Pierwsze dwie godziny mijały bardzo powoli. Próbowалам nie myśleć o tym, co robię, i nie słuchać pochlipywań Mońka. Robotą poszła mi dużo sprawniej, kiedy postanowiłam podejść do niej z punktu widzenia socjologicznego i przemienić ją w rodzaj zabawy.

Zamiast się skupiać na doczesnych, obrzydliwych i niebezpiecznych rzeczach, na które bez przerwy natrafiałam (zdechłe szczury i inne zwierzaki, makulaturowa poczta, odłamki szkła, gnijąca żywność,

płyty kompaktowe „America Online”, zabrudzone prześcieradła, używane żyletki, sklejone smarkami papierowe chusteczki, zwarzone mleko i tak dalej, i tak dalej), bawiłam się widokiem dużo ciekawszych rzeczy, wyrzucanych przez ludzi: zepsutych zabawek, taśm z filmami porno, winylowych płyt, listów miłosnych, czasopism, kawałków papieru z nabazgrany-mi rysunczkami, rachunków za prąd i gaz, unieważnionych czeków, przeczytanych setki razy paperbac-ków, pożółkłych fotografii, wizytówek, pustych fiolek po lekarstwach, potłuczonej ceramiki, dziecięcych ubranek, popękanych kul z sypiącym się śnieżkiem, urodzinowych pocztówek, akt biurowych, zasłon natrikowych i tego rodzaju rozmaitych rzeczy.

Jeśli znalazłam parę niezwykłych butów albo koszulę hawajską w jaskrawych kolorach, próbowałam sobie wyobrazić ich właściciela. Przeczytałam kilka wyrzuconych listów, zgarnęłam parę fotografii rodzinnych i przestudiowałam jakieś rachunki za karty kredytowe, żeby z ciekawości zobaczyć, co kupują sobie inni ludzie.

Co pewien czas zerkałam na Mońka, który przerzucał śmieci grabiami i kwilił ciągle, wydając z siebie głosy jak zgnębiony Darth Vader. Raz, kiedy znowu na niego spojrzałam, zobaczyłam, jak sięga po sterzący nad nim duży, niebieski worek ze śmieciami. Szarpał zaciekłe, usiłując go wyciągnąć spod jakiejś wysokiej sterty. Wiedziałam, co się stanie, jeśli uda mu się dopiąć celu.

Krzyknęłam, żeby przestał, ale w tym cholernym helmie w ogóle mnie nie słyszał. Ruszyłam w jego stronę, ale było za późno. Monk wyszarpnął właśnie niebieski worek, upadł na cztery litery i w tej samej chwili runęła na niego lawina śmieci, zasypując go w jednej sekundzie.

Rzuciłam się do niego i jak najszybciej zaczęłam

go odgrzebywać rękami. Nie bałam się, że Monk się udusi. Wiedziałam przecież, że ma aparat tlenowy. Bałam się, że zaraz tam oszaleje.

Kopałam gorączkowo, gdy nagle spostrzegłam, jak pół tuzina strażaków w pełnym rynsztunku dołącza do mnie i z wprawą zaczyna odciągać wielkie ilości śmieci. Zerknęłam na najbliższego strażaka i zobaczyłam uśmiechniętą twarz Joego Cochрана, z bandażem na głowie, wyzierającym spod hełmu.

- Co ty tu robisz? - zapytałam zaskoczona.

Nigdy w życiu nie czułam takiej ulgi.

- Muszę dopilnować, aby zabójcy Sparky'ego nie ominęła kara - powiedział Joe. - Reszta to koledzy po służbie, zgłosili się na ochotnika. Weszliśmy do hangaru akurat w chwili, kiedy pan Monk ściągnął na siebie tę przyzmę.

- Miałeś przecież odpoczywać i wracać do zdrowia — powiedziałam.

- Właśnie wracam do zdrowia.

- Wskakując w mundur i harując w śmieciach?

- Hej, gdyby nie to, pozostałoby mi ściąganie kotów z drzew, ściganie złodziei damskich torebek na ulicy albo umacnianie demokracji w świecie.

- Jesteś cudowny - powiedziałam.

Mogłabym go natychmiast wyciągnąć, gdybym nie miała ust zasłoniętych maską i gdyby moje ręce nie były umazane zgnilą chińszczyzną.

- Rozumiesz to opacznie - zaprotestował Joe. -To przecież ty nurzasz się po pas w gnoju, żeby dojść sprawiedliwości dla psa, którego w życiu nie widziałas. To ty jesteś cudowna.

- Pomocy! Pomocy! - Jakiś metr od nas rozległ się pod śmieciami stłumiony głos.

Rzuciliśmy się w to miejsce i w parę chwil odkopaliśmy Mońka, który przyciskał do piersi niebieski worek ze śmieciami, niczym koło ratunkowe.

Joe z innym strażakiem wyciągnęli go i pomogli mu wstać, ale Monk za nic nie chciał puścić niebieskiego worka.

- Dobrze się pan czuje? — zapytałam i żeby lepiej widzieć jego twarz, otarłam mu hełm z jajek, resztek dania chow mein i sosu grillowego.

- Nie czuję się dobrze, odkąd tu jestem - odpowiedział Monk.

- Czy tam jest płaszcz? - zapytał Joe, wskazując worek.

- Nie.

- To dlaczego ten worek jest dla pana taki ważny?

- Bo to są moje śmieci.

Joe spojrział na mnie. Pokręciłam tylko głową i poruszając bezgłośnie ustami, powiedziałam: „O nic nie pytaj”.

Nie pytał więc i wróciliśmy do pracy.

Monk wrzucił niebieski worek na platformę elektrycznego samochodziku, w kilka minut doszedł do siebie, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, dziarsko dołączył do nas przy hałdzie śmieci.

W ciągu kilku następnych godzin Joe i jego kompani wydobyli jeszcze parę kolejnych niebieskich worków, które uprzejmie ułożyli w samochodziku obok pierwszego.

Robiłam przerwy tylko na wyjścia do toalety. Zupełnie straciłam apetyt na lunch. Podobnie jak Monk.

Jednak strażacy musieli być przyzwyczajeni do wykonywania tak mało eleganckiej roboty, ponieważ w ogóle nie widzieli problemu w tym, żeby usiąść do jedzenia. Ze smakiem spałaszowali jakieś potrawy z baru szybkiej obsługi, wcale nie zniechęceni owiewającym ich smrodem, i po chwili, nie mając najmniejszych kłopotów z trawieniem, wrócili do rozkładających się odpadów komunalnych.

Joe pracował najciężej. Robił to dla mnie i dla Mońka, ale najbardziej chyba dla Sparky'ego.

Cieszyłam się, że tu jest. Choć byłam bardzo zadowolona z towarzystwa Joego, jego obecność wywoływała jednak w moich piersiach to samo znajome ukłucie strachu. Próbowałam ten strach rozwiązać, wmawiając sobie, że to normalny lęk, jaki się pojawia przed rozpoczęciem każdego nowego związku. Ale wiedziałam, że to coś więcej. Staralam się nie zwracać uwagi na to uczucie, w taki sam sposób, w jaki udawało mi się ignorować smród towarzyszący naszym poszukiwaniom.

Ale nic nie pomagało. Zastanawiałam się, czy tak się czuje Monk, kiedy próbuje nie zwracać uwagi na wszystkie rzeczy w śledztwie — albo w życiu - które mu nie pasują do całości.

Było już późne popołudnie, kiedy Monk nagle krzyknął:

- Tutaj! Tutaj!

Przedarliśmy się do niego, by zobaczyć, co znalazł.

Monk podniósł firmową serwetkę z hotelu Excel-sior, trzymając ją między dwoma palcami i wyciągając rękę przed siebie na całą długość.

Oznaczało to, że nareszcie dotarliśmy do śmieci z hotelowych kontenerów. Zaczęliśmy przekopywać stertę ze zdwojoną energią i nową nadzieją.

Znaleźliśmy o wiele więcej przedmiotów, które bezdyskusyjnie pochodziły z hotelu - rachunki, zbite naczynia kuchenne, bankietowe jadłospisy, kilogramy resztek jedzenia, zużyta pościel, tony małych butelek po alkoholu. Były nawet jakieś ubrania, ale kiedy wybiła piąta godzina, po płaszczu wciąż nie było śladu.

Monk postanowił zakończyć poszukiwania na ten dzień, a ja nie kryłam wdzięczności. Byłam zmęczona i chciałam się dokładnie umyć przed spotkaniem

z Joem. Poza tym, powiedzmy to sobie szczerze, nasze morale było bardzo niskie.

Jeszcze raz podziękowaliśmy strażakom za pomoc. Joemu powiedziałam, że za dwie godziny będę czekała na niego w domu.

Kiedy wychodziliśmy z Monkiem z magazynu, z biura zszedł do nas Chad Grimsley i zapytał, czy mógłby zamienić z nami parę słów.

Wsiedliśmy do jego samochodziku, tego samego, w którym Monk poukładał worki ze swoimi śmieciami, i Grimsley wywiózł nas na drugi koniec zakładu. Zatrzymał się przed narożnikiem wydzielonym grubą liną, przy którym była ustawiona tablica z napisem: SEKTOR DZIEWIĄTY. WYŁĄCZNIE NAJCZYSTSZE ODPADY.

Grimsley odwrócił się do Mońka.

- To jest chyba odpowiednie miejsce na pańskie śmieci, panie Monk?

Monk bardzo długo się wpatrywał w ogrodzony sektor, a potem zrobił coś zdumiewającego. Zdjął rękawice i podał Grimsleyowi rękę.

- Dziękuję — powiedział poważnym tonem.

- Gdy tylko będzie pan miał ochotę, może pan tutaj przyjść i wszystko osobiście sprawdzić. - Grimsley uściśnął mu dłoń.

Monk z powrotem włożył rękawice i z promiennym uśmiechem zaczął wyładowywać z samochodziku swoje worki i układać je za grubą liną.

- To bardzo miło z pana strony - powiedziałam do Grimsleya.

Grimsley pokręcił głową.

- Pan Monk to szczególna osoba. Tylko się domy ślam, jakie wewnętrzne demony musiał pokonać, żeby spędzić cały dzień wśród ton śmieci. To jest naprawdę coś, pani Teeger. Coś, co zasługuje na pełne uznanie i szacunek. — Skinął głową w kierunku niebie-

skich worków w samym środku nowo otwartego sektora dziewiątego. - Chociaż tyle mogę dla niego zrobić. Kiedy Monk wgramolił się z powrotem do samochodu, widziałam w jego oczach błogie zadowolenie. Nie udało nam się znaleźć ani skrawka dowodu, który pogrzyźłyby Lucasa Brena, ale chociaż niewielka częśćka porządku została przywrócona.

Monk nie wychodzi z domu

Monk pozwolił mi się pierwszej wykapać, ponieważ przewidywał, że pobyt w łazience zajmie mu wiele godzin. Zasugerował zresztą, żeby Julie, jeśli poczuje nagłą potrzebę, zechciała pomyśleć o skorzystaniu z wygód u pani Throphammer.

Kiedy Monk wszedł pod natrysk, posadziłam Julie przed sobą w salonie i udzieliłam jej na wieczór paru szczegółowych instrukcji. Kazałam jej nie spuszczać Monka z oka, pilnować, żeby pod moją nieobecność nie poprzerstawał wszystkiego w domu, i dzwonić natychmiast, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli.

- Aha, więc teraz to ja mam się nim opiekować? - zapytała Julie.

- Tak bym tego nie ujęła - odpowiedziałam. - Proszę cię tylko, żebyś strzegła naszego domu, naszego dobytku i naszego prawa do prywatności.

- Innymi słowy, mam się nim opiekować i do tego jeszcze być ochroniarzem?

- Do czego zmierzasz?

- Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż opiekowanie się przez cały wieczór Monkiem, podczas gdy ty wychodzisz sobie na randkę ze strażakiem - powiedziała Julie. - Jeśli mam się kimś opiekować, to żądam zapłaty. Sześć dolarów za godzinę plus zwrot kosztów.

- Jakich kosztów?

- Zawsze coś się może zdarzyć.

- Jeśli porządnie zrobisz, co do ciebie należy, to nie ma prawa się zdarzyć.

- No dobra. Sześć dolarów za godzinę i dokładasz się do kurczaka na obiad - powiedziała. - Chyba nie chcesz, żeby pod twoją nieobecność Monk gotował obiad w naszej kuchni. Kto wie, co może odkryć, pozmieniać lub wyrzucić...

Dobry argument. Kiedy Julie stała się taka spozstrzegawcza? Zastanawiające. I kiedy się nauczyła tak negocjować? Dorastała o wiele za szybko.

- Dobrze, umowa stoi - powiedziałam.

Uścisnęłyśmy sobie ręce na znak zawarcia kontraktu, a potem czule przygarnęłam córkę do siebie. Kiedy ją puściłam, spojrzała na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

- A to za co? - zapytała.

- Bo dorastasz — odpowiedziałam. - Bo mnie ujmujesz. Zadziwiasz. Bo jesteś. Czy mam mówić dalej?

- Nie, robi mi się od tego niedobrze.

Rozległo się pukanie. Julie zeskoczyła z kanapy i otworzyła drzwi. W progu stał Joe Cochran z bukietem kwiatów.

- Och, nie musiałeś mi znowu przynosić kwiatów - powiedziałam.

- Nie przyniosłem ich dla ciebie. Raczej dla siebie; na wypadek gdybym niezbyt dokładnie się umył po upojnym dniu spędzonym w składowisku śmieci - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. - Są bardzo wonne. Nie masz nic przeciwko temu, żebym przez cały wieczór miał je przy sobie?

- Jednak wolę zaryzykować.

Wzięłam od niego kwiaty i włożyłam do wazonu. Powiedziałam Julie, żeby nie czekała na mnie ze spaniem, dałam jej buziaka i wyszliśmy.

Joe zaprosił mnie na obiad do Audiffred, wytwornego francuskiego bistro, które mieściło się, bardzo

stosownie, na parterze historycznego budynku Audiffred przy Market Street 1, niemal nad brzegiem zatoki. Budynek wznosił pod koniec dziewiętnastego wieku pewien ogarnięty nostalgią Francuz, zatem nie brakuje mu typowych paryskich motywów architektonicznych, jak mansardowy dach, dekoracyjne parapety z cegieł i wysokie okna ze spłaszczonym łukiem.

Audiffred było elegantszym lokalem niż strój, jaki włożyłam na ten wieczór, ale w San Francisco przyjęła się już filozofia z Los Angeles, gdzie wszędzie można wejść w dżinsach i obuwiu sportowym, byle z nastawieniem, że zupełnie ci to nie przeszkadza. Czego jak czego, ale odpowiedniego nastawienia nigdy mi nie brakowało. Szkoda tylko, że samym nastawieniem nie można spłacać rat za dom.

Joe zamówił dobrze wysmażony stek z podłużnymi ziemniaczkami i szpinakiem. W jadłospisie nadmieniono, że krowa, która poświęciła życie dla posiłku Joego, była weganką i nie zażywała hormonów. Nigdy wcześniej w restauracyjnym menu nie widziałam wzmianki o diecie krowy.

Ja z kolei zamówiłam jagnięce żeberka. Kiedy jednak zapytałam naszą z pozoru sympatyczną kelnerkę, czy moja owieczka również była weganką, ta spojrzała na mnie tylko tępym wzrokiem. Nie pokazała cienia uśmiechu nawet wtedy, kiedy zapytałam ją, jakie jest ulubione danie ryb, zanim wylądują na talerzu. Joe za to setnie się ubawił i to się najbardziej liczyło.

- Podchodzą tu do wszystkiego trochę za poważnie - powiedział Joe. — A jedzenie nie jest na tyle smaczne, żeby tak zadzierać nosa.

- To dlaczego tu przychodzisz?

- W sumie źle nie karmią, wewnątrz jest przyjemne, a lokal od ponad stu lat jest zaprzyjaźniony ze strażą pożarną.

- Masz na myśli to, że przekazują wam jakieś dotacje?

- Dużo lepiej - powiedział Joe. - Przekazują gorzałkę.

Jak wyjaśnił, Audiffred był jednym z nielicznych, budynków, które przetrwały katastrofalne trzęsienie ziemi w 1906 roku i szalejące potem pożary.

- Właściciel mieszczącego się tutaj salonu obiecał każdemu strażakowi beczułkę whisky, jeśli uratują budynek od pożogi — opowiadał Joe. — Budynek udało się uratować i po dziś dzień strażak może tu się napić za darmo.

- Może kelnerzy są ponurzy, bo wiedzą, że nie zapłacisz za drinka? — wysunęłam przypuszczenie. -Swoją drogą, nie jestem pielęgniarką, ale czy powinieneś pić alkohol po tym, co się wczoraj stało?

Joe dotknął bandaża.

- Niby po tym? Och, to pestka. Bywało gorzej.

- Naprawdę?

- Na plecach mam paskudne oparzenie sprzed paru lat - powiedział. - Nieładnie to wygląda, dlatego do restauracji wkładam koszulę.

- Och, a ja się tak zastanawiałam, po co włożyłeś koszulę - rzuciłam.

Joe opowiedział mi, jak doszło do poparzenia. Szczerze mówiąc, nie bardzo pamiętam szczegóły poza tym, że palił się jakiś dom czynszowy, że zawaliły się jakieś schody i że nie było już drogi ucieczki. Kiedy opowiadał, jego twarz rozgorzała od wypieków, gestykulował coraz żywiej, a gorączkowe słowa płynęły z jego ust strumieniem. Najwyraźniej była to historia, którą chętnie przywoływał z pamięci i lubił opowiadać, choć pozostawiła mu bliznę na całe życie.

Wiem, że tak się dzieje na pierwszych randkach: ludzie opowiadają historie, które stawiają ich w jak najlepszym świetle lub ilustrują ważne aspekty ich

życia czy charakteru. Czasami jednak ujawniają rzeczy, których ludzie ci wcale nie zamierzali ujawniać.

Opowieść Joego niewątpliwie dowodziła jego odwagi, bohaterstwa i troski o innych ludzi, ale dostrzegłam w niej także coś innego. Zrozumiałam, że Joe lubi walczyć z pożarem. Ba, on kocha walkę z pożarem. Ryzyko dla niego nic nie znaczy. Oba wypadki, ten sprzed paru lat i ten wczorajszy, były z gatunku tych „o mały włos” i prędzej czy później przytrafi mu się kolejny.

„Ech, zwykły dzień w pracy”.

Joe kochał walkę z ogniem tak samo, jak Mitch kochał loty bojowe. Powód, dla którego Joe wydał mi się atrakcyjny, wcale mnie nie dziwi. Był przystojnym mężczyzną, miał ciało, które mogłabym pożerać wzrokiem, i przypominał mi Mitcha. Jednak im więcej mówił, im bardziej mnie oczarowywał, tym większy czułam niepokój.

Czy to normalny lęk przed rozpoczęciem nowego związku? Czy jednak coś więcej?

Podano do stołu. Joe zapytał, jak mi się udaje łączyć obowiązki samotnej matki i pracę u Mońka. Miałam wrażenie, że zapytał mnie o to tylko dlatego, żeby zjeść stek, zanim ostygnie, a nie mógł przecież jednocześnie jeść i opowiadać kolejnej pasjonującej historyjki ze strażackiego życia.

Zatem teraz ja miałam opowiedzieć historię, która pokaże, jaką to jestem inteligentną, wesołą, troskliwą, silną i wspaniałą osobą. Mój ledwie uchwytny niepokój przemienił się w wyrazistą i łatwą do określenia panikę. Co mam mu opowiedzieć, żeby osiągnąć cel? Nie sądzę, bym miała wiele do opowiadania.

- Nie wydaje mi się, żebym obowiązki samotnej matki miała z czymkolwiek łączyć. Julie jest najważniejsza, ważniejsza ode mnie i wszystkiego innego.

Ja tylko staram się przebrnąć przez każdy nowy dzień, nie psując po drodze zbyt wiele.

- Jak to się stało, że pracujesz u pana Mońka?

Niech będzie, przynajmniej mam coś do powiedzenia. Choć w przeciwieństwie do barwnych opowieści Joego o jego bliskich spotkaniach ze śmiercią, moja historia nie należała do tych, które opowiadałam z wielką chęcią. O wiele lepiej się czułam, opowiadając zabawne anegdotki o osobliwych natręctwach Mońka, choć zawsze potem miałam poczucie winy, że nadużywam jego zaufania.

—Kiedys późno wieczorem włamał się do mojego mieszkania jakiś mężczyzna. Wysłałam z pokoju wprost na niego. Próbował mnie zabić. Ale to ja zabiłam jego. Policja nie potrafiła dojść, dlaczego intruz w ogóle się znalazł w moim domu, więc wezwali na pomoc Mońka.

Joe odłożył widelec.

—Zabiłaś człowieka?

Przytaknęłam.

- Nie chciałam. To było działanie w obronie własnej. Wciąż trudno mi uwierzyć, że to zrobiłam. Wy daje mi się, że w takich sytuacjach górę bierze instynkt. Zrobiłam wszystko, żeby przetrwać. Miałam szczęście; w zasięgu mojej ręki znalazła się para nożyczek. Gdyby ich tam nie było, nie żyłabym.

Nigdy nie sądziłam, że mogę być zdolna do aktu przemocy, zwłaszcza do zabicia człowieka. Staram się unikać tego wspomnienia. Niezmiennie budzi we mnie potworne przerażenie. Jednak nie przerażał mnie ani napastnik, ani walka, ani fakt, że nieomal straciłam życie. Prawdziwym koszmarem była myśl o tym, co stałoby się z Julie, gdyby mnie zabił.

Co by jej zrobił? A gdyby zdołała uciec, jak wyglądałoby jej życie po odejściu obojga rodziców tak gwałtowną śmiercią? Może to ten strach dał mi siłę, by

podjąć walkę i raczej zabić napastnika, niż samej dać się zabić. Dał mi impuls, którego w innych okolicznościach nigdy bym nie poczuła.

Po tym zdarzeniu, mimo protestów Julie, zapisałam ją na zajęcia taekwondo. Chciałam mieć pewność, że jeśli kiedyś zostanie zaatakowana, górę weźmie jej instynkt i okaże się silniejszy od wszystkiego.

Widziałam, że Joe chętnie posłuchałby paru szczegółów na temat tego, jak zabiłam człowieka, ale był na tyle uprzejmy i delikatny, żeby o nie nie pytać. Pytał więc o inne rzeczy.

- Dlaczego napastnik wybrał twój dom?

- Monk doszedł do wniosku, że chodziło mu o kamień w akwarium ze złotymi rybkami mojej córki — wyjaśniłam. — Kawałek skały z księżycyca.

- Z tego księżycowego księżycyca? — Joe podniósł w górę palec.

- Tak, z tego — odpowiedziałam. — To długa historia.

- Jesteś pełna tych długich historii. - Sięgnął ponad stołem i ujął mnie za rękę. - Chciałbym usłyszeć je wszystkie.

Miał dużą, ciepłą i silną rękę. Mimowolnie wyobraziłam sobie jej dotyk na moim policzku, na moich plecach, na moich nogach.

Z bólem zdałam sprawę, ile miesięcy minęło od czasu, kiedy ostatni raz spędziłam więcej czasu z mężczyzną, wiecie, co mam na myśli. Mimo to niepokój, który mnie nie opuszczał, był silniejszy niż pożądanie.

Jestem normalną kobietą, zdrową i względnie młodą. Nie wstydę się swoich potrzeb i nie czuję się nimi skrępowana, więc nie o to chodziło. Nie chodziło też o niepewną perspektywę życia z nowym mężczyzną. Byli już po Mitchu inni mężczyźni i nie czułam przy nich tego rodzaju podenerwowania. Nie cho-

dziło też wcale o obawy, jakie mogłabym odczuwać wobec tego, jakim człowiekiem jest Joe, ani wobec tego, jak przyjęłaby go Julie.

Niemniej jednak niepokój we mnie tkwił. I wcale nie znikał.

Niespodziewane wibrowanie telefonu komórkowego wybawiło mnie od konieczności opowiadania Jo-emu kolejnej historii. Z ociąganiem i zakłopotaniem wysunęłam dłoń z ręki Joego, żeby odebrać telefon.

Byłam pewna, że dzwoni Julie, bo Monk zrobił w domu coś potwornego; może poukładał inaczej rzeczy w szufladach w mojej sypialni. Ciarki mi przeszły po plecach, gdy pomyślałam sobie, na co Monk (a w tym wypadku także Julie) mógł tam natrafić.

Ale to nie była Julie, tajemnice mojej alkowy pozostały bezpieczne. Dzwonił kapitan Stottlemeyer.

- Jest z tobą Monk? - zapytał.

- Nie ma - odpowiedziałam. - Dlaczego?

- Mam morderstwo i jestem ciekaw opinii Mońka. Mogłabyś go tutaj przywieźć?

Nie było nic dziwnego w tym, że Stottlemeyer prosi Mońka o pomoc w rozwiązaniu zagadki jakiegoś konkretnego zabójstwa. Monk był stałym doradcą Departamentu Policji San Francisco, na zasadzie umowy o dzieło w danej sprawie, choć nikt mi nigdy nie zdradził, ile na takim dziele zarabia.

Stottlemeyer podał mi adres miejsca zbrodni. Było to blisko restauracji, tyle że najpierw musiałam wrócić do domu po Mońka.

- Będziemy za jakąś godzinę - powiedziałam i zamknęłam kłapkę telefonu. - Tak mi przykro, Joe, ale musimy się zbierać. Popelniono morderstwo i po-li-cja prosi Mońka o konsultację.

- Czy ta sprawa nie może poczekać do deseru?

- Pomyśl o niej tak, jakby to było wezwanie do gaszenia pożaru — powiedziałam.

- Jasne - powiedział i kiwnął na kelnerkę, prosząc o rachunek.

W drodze do domu opowiedziałam Joemu o moich służbowych obowiązkach względem Mońka, ponieważ nie bardzo rozumiał, z czego w ogóle się utrzymuję. Wyjaśniłam mu więc, że moja praca polega głównie na tym, żeby pomagać Monkowi w pokonywaniu zwykłych, codziennych problemów oraz na ułatwianiu mu interakcji z ludźmi, żeby spokojnie mógł się koncentrować na rozwikływaniu zabójstw. Poza tym nieustannie zaopatruję go w całe mnóstwo chusteczek higienicznych, a za sprawą wody Sierra Springs, jedynej, jaką Monk pije, pilnuję, żeby się nie odwodnił.

- Nie mam pojęcia, jak dajesz sobie z tym wszystkim radę - powiedział Joe, odprowadzając mnie do drzwi.

- Przez większość czasu ja też tego nie wiem.

Pocałował mnie. Był to prawdziwy, głęboki i namiętny pocałunek. A ja go odwzajemniłam. Pocałunek trwał najwyżej minutę, ale kiedy się od siebie oderwaliśmy, serce tak mi łomotało, jakbym przebiegła dwa kilometry. Był to pocałunek, który wiele obiecywał, zrodzony z nagłości naszego przymusowego rozstania. Dla mnie niósł też nutę melancholii. Z jakichś powodów czułam, że jest to dla mnie pocałunek pożegnalny, choć następnego dnia rano znowu mieliśmy się spotkać na składowisku śmieci.

Nie miałam jednak czasu zastanawiać się nad uczuciami, bo bardzo się spieszyłam. Uderzyłam pięścią w drzwi łazienki, żeby Monk wyszedł spod natrysku. Krzyknęłam do niego, że Stottlemeyer natychmiast go potrzebuje. Potem zadzwoniłam do pani Thropham-ner, która zgodziła się przyjść na wieczór do Julie.

- Mimo to oczekuję zapłaty za przepracowane go dziny - oświadczyła Julie.

—Ale pan Monk ani na chwilę nie wyszedł z łazienki — powiedziałam. - Nic nie musiałaś robić.

—To już nie jest mój problem. - Julie wzruszyła ramionami.

Sięgnęłam do portfela i wręczyłam jej dwudziestodolarowy banknot. Nie miałam dziesiątki ani drobnych, tylko to, co wydał mi ostatnio bankomat.

- Proszę. Nadwyżkę zachowaj na moim koncie na poczet następnej umowy.

Monk wyszedł z łazienki idealnie uczesany, w świeżym ubraniu, jakby właśnie zaczynał dzień. Łazienka za jego plecami wyglądała tak, jakby nikt jej nigdy nie używał. Stał i poprawił się niespokojnie w nowym ubraniu.

—Coś nie w porządku? - zapytałam.

—Wciąż czuję się brudny — odpowiedział.

- Jestem pewna, że to przejdzie.

—Ja też — powiedział Monk. - Za ileś lat.

- Lat?

—Nie więcej niż dwadzieścia. No, albo trzydzieści, choć jestem chyba zbyt konserwatywny.

Wyliczyłam sobie, że na jeden rok przypada mniej więcej jedna tona śmieci, którą musimy przerzucić.

Monk zauważył kwiaty wazonie.

- Kto je kupił? - zapytał.

- Joe. Właściwie kupił je dla siebie. Obawiał się, że wciąż zalatuje śmieciami — wyjaśniłam. - Więc może się panu spodobać.

Monk pochylił się i powąchał bukiet. Potem się wyprostował i zaczął rozluźniać ten swój dziwny supeł w karku, który dokuczał mu, gdy coś nie pasowało mu do całości.

Już miałam zapytać, co zwróciło jego uwagę w tym bukiecie, kiedy do mieszkania wpadła pani Throphamner i zaraz rzuciła się do telewizora.

- Wybaczcie, na czterdziestym czwartym zaczy-

na się kryminał - powiedziała w biegu. - Nie mogę się spóźnić na morderstwo.

- Wszystko rozumiem - powiedział Monk, kierując się w stronę drzwi. - My się właśnie spóźniliśmy na morderstwo.

Monk i chusteczki anty bakteryjne

Kapitan Stottlemeyer czekał przy Harrison Street, gdzie autostrada numer 80 kończyła się w centrum miasta płataniną zjazdów i wjazdów. Wycie zimnego wiatru i huk przetaczającego się nad nami ruchu samochodowego dawały jeden, głośny, przejmujący do szpiku kości ryk. Brzmiał tak, jakby to sama ziemia krzyczała z bólu.

Autostrada biegła nad zarośniętą chwastami, dużą działką, która była ogrodzona przedziewiałą drucianą siatką, w wielu miejscach poprzerwaną. Stottlemeyer stał przed jedną z dziur, lekko skulony, z rękami głęboko w kieszeniach płaszcza i podniesionym kołnierzem dla osłony przed smagającym wiatrem. Technicy z medycyny sądowej, ubrani w lekkie niebieskie wiatrówki, przechadzali się wolno za jego plecami w poszukiwaniu śladów przestępstwa.

Działka była usiana starymi, przywleczonymi ze śmietników kanapami, zaplamionymi materacami i lichymi budowlami, skleconymi z resztek płyt wiórowych, kawałków blachy falistej i kartonów, wzniesionymi na drewnianych paletach transportowych. Przed niektórymi z tych prowizorycznych szop stały, niczym auta na podjazdach domów, marketowe kosze na kółkach, załadowane wypełnionymi czymś plastikowymi workami.

- Przepraszam, że ściągnąłem cię w takie miejsce, Monk - zaczął Stottlemeyer.

—Gdzie ludzie? - zapytał Monk.

- Jacy ludzie?
- Którzy tu mieszkają. — Monk ogarnął ręką miasteczko kartonowych domków.
- Gdy tylko ktoś odkrył trupa, puciekali w popłochu jak przestraszone szczury - powiedział Stottlemeyer. - Kiedy trwał masowy exodus, przejeżdżał akurat patrol policyjny. Tłumek wzbudził zainteresowanie policjantów, więc zaczęli się rozglądać. Całe szczęście, że był tu radiowóz, w przeciwnym razie moglibyśmy znaleźć ciało po paru tygodniach albo w ogóle nigdy.
- Dlaczego?
- Nieczęsto się tu zapuszczamy - wyjaśnił Stottlemeyer. — A nawet jeśli, to, że tak powiem, ciało nie leżałoby nam po drodze.
- Kapitan zaprosił nas gestem do dziury w płocie, podtrzymując w górze rozdartą część siatki. Monk wahał się przez moment, a potem się do mnie odwrócił.
- Będzie potrzebny kombinezon — powiedział.
- Jaki kombinezon? — zapytałam.
- Ten, który miałem dzisiaj na sobie — odpowiedział Monk. — Będzie mi potrzebny.
- Zwróciliśmy go w drodze do domu - powiedziałam. - Sam pan się upierał, że powinien być natychmiast spalony.
- Wiem - zgodził się Monk. - Potrzebuję drugiego takiego samego.
- Ten sklep jest już zamknięty.
- Nie szkodzi - oświadczył Monk. — Możemy poczekać.
- Jest zamknięty na dobre, w każdym razie dla pana - powiedziałam. — Właściciel nie pozostawił nam cienia wątpliwości.
- To ja poczekam w samochodzie, a wy idźcie sami. Stottlemeyer warknął.

—Monk, jest późno. Pracuję od szesnastu godzin. To już dzisiaj trzecie morderstwo. Jestem głodny, trzęsę się z zimna i chcę już iść do domu.'

—To się świetnie składa - powiedział Monk. - W takim razie spotkajmy się tutaj jutro rano.

Odwrócił się, żeby odejść, ale Stottlemeyer złapał go za ramię.

—Chodzi mi raczej o to, że albo przeleziesz przez tę dziurę, albo cię przez nią przerzucę. Wybór należy do ciebie.

—Wolałbym trzecie wyjście.

—Trzeciego wyjścia nie ma.

—To może czwarte? Trzy to i tak nie najlepsza liczba.

—Co powiesz na to, żebym przerzucił cię w tej chwili?

—To trzecia opcja, a mówiłeś wcześniej, że są tylko dwie — zauważył Monk. - Jak można prowadzić z tobą rozsądną rozmowę, skoro jesteś taki niekonsekwentny?

Stottlemeyer zrobił w stronę Mońka złowieszczy krok.

—Dobrze, dobrze! - Monk zamachał rękami. - Daj mi minutę.

Monk spojrział na dziurę, spojrział na działkę za dziurą, a potem na mnie. Po chwili jeszcze raz spojrział na wszystko po kolei.

—Zostało ci pięć sekund - powiedział Stottlemeyer tonem, w którym pobrzmiwał zły zamiar.

Monk wyciągnął do mnie rękę i strzelił palcami.

—Chusteczki.

Podałam mu cztery. Dwoma dokładnie wytarł miejsca na siatce, których zamierzał dotknąć przy przechodzeniu przez dziurę. Dwie pozostałe posłużyły mu jako osłona na palce, kiedy dotykał przetartych przed chwilą miejsc.

Wziął głęboki wdech i jednym krokiem przeszedł na drugą stronę, po czym natychmiast odskoczył gwałtownie z krzykiem na ustach.

— Co się stało? — zapytałam.

- Nakrętka od butelki — jęknął.

Powiedział to bez tchu, jakby o mały włos nie nadepnął na mnie.

Przeszłam przez otwór w siatce, a Stottlemeyer ruszył za mną, rzucając Monkowi piorunujące spojrzenie.

- Tędy — rzucił kapitan i wyszedł na czoło, prowadząc nas w poprzek działki w kierunku autostrady,

Monk znowu wrzasnął. Spojrzałam na niego.

— Papierek od cukierka - jęknął.

— Spędził pan cały dzień wśród trzydziestu ton śmieci, a boi się pan papierka po cukierku?

- Nie mam odzieży ochronnej - stwierdził Monk. - Poza tym to był bardzo duży papierek.

Odwróciłam się do niego plecami i pomaszerowałam dalej przez kępy chwastów.

Monk ruszył przed siebie, co chwilę dziko podskakując, jakby grał w klasy na rozżarzonych węglach.

Nie wiem, co tak dokładnie omijał, ale prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodziło. Może psie kupy, a może mlecze; dla Mońka obie te rzeczy były tak samo odrażające.

Jeśli widać było po mnie złość, to tylko dlatego, że naprawdę byłam zła. Irytujące było już to, że przerwano mi obiecującą randkę i kazano łązić po cuchnącym sikami obozowisku bezdomnych, żebym zobaczyła ukrytego tu gdzieś truposza. Znoszenie do tego wszystkiego irracjonalnych lęków Mońka było już ponad moje siły.

Jeśli jednak w ten zimny, wietrzny wieczór miałam być ze sobą szczerą, to musiałam przyznać, że nie gryzłam się ani tą działką, ani morderstwem, ani nawet

Monkiem; chodziło o uczucie, jakiego doznałam, kiedy całowałam Joego, i o to, co ono miało oznaczać.

Stottlemeyer zaprowadził nas przed nasyp, usypany pod zjazdem z autostrady, gdzie na mocno stwardniałej ziemi stała niewielka przybudówka z kartonu, wciśnięta pomiędzy stromizną nasypu a filar wiaduktu. Z wejścia do przybudówki sterczały dwie stopy w mokasynach, związane taśmą klejącą. Przypomniała mi się Zła Wiedźma, kiedy Dorotka zwała na nią dom w krainie Oz.

—Ofiara jest w środku - powiedział Stottlemeyer.

—Tak, rozumiem - odpowiedział Monk.

—Nie wejdiesz do środka?

—Dopóki nie będę miał kombinezonu, to nie.

—Dlaczego przez cały czas nie chodzisz w tym cholernym kombinezonie? - zirytował się Stottlemeyer.

—Nigdy nie musiałbyś się martwić, że musisz oddychać albo że czegoś dotknąłeś!

—To byłoby dość niezręczne - odpowiedział poważnie Monk. - W sensie towarzyskim.

—W sensie towarzyskim? - zapytałam.

—Nie lubię ściągać na siebie uwagi - wyjaśnił Monk. - Jednym z największych moich detektywistycznych atutów jest naturalna umiejętność przeniknięcia w każdą konstelację towarzyską, gładko i niepostrzeżenie.

—Ale pomyśl, ile zaoszczędziłbyś na chusteczkach - powiedział Stottlemeyer.

Monk wyciągnął brelok z kluczami i ukrytą w nim latareczką oświetlił wnętrze kartonowej budy. W wąskiej smudze światła ukazał się trup leżącego na plecach mężczyzny. Miał na sobie co najmniej pół tuzina koszul. Jego broda była gęsta i splątana. Poza tym był absolutnie nierozpoznawalny. Głowę miał strzaskaną cegłą, zapewne tą pokrwawioną, która leżała obok jego ciała.

Odwrociłam wzrok.

Dopóki nie poznałam Mońka, udawało mi się iść przez życie, nie natykając się w każdej chwili na zmasakrowane zwłoki, nie widząc ludzi, którzy zostali zastrzeleni, zasztyletowani, uduszeni, pobici, otruci, poćwiartowani, przejechani bądź skatowani na śmierć cegłą. Teraz co tydzień widzę dwie, trzy ofiary zabójstw. Czasem się zastanawiam, kiedy wreszcie przywyknę do ich widoku i czy będę lepszym człowiekiem, jeśli nigdy nie przywyknę.

- To nie twój przyjaciel? - zapytał Mońka Stottlemeyer.

- Czy ten człowiek w y g l ą d a na mojego przyjaciela? Nie było cię tutaj, kiedy roztrząsaliśmy kwestię kombinezону?

- Byłem i nigdy tego nie zapomnę - odpowiedział Stottlemeyer. - Mimo to wydawało mi się, że możesz go jednak znać. Dlatego cię wezwałem.

- Tylko dzisiaj kąpałem się dłużej niż ten człowiek w całym swoim życiu — oświadczył Monk. - Skąd ci przyszło do głowy, że możemy się znać?

Stottlemeyer wskazał ręką na skraj nasypu. Monk spojrzął w tym kierunku i zobaczył parędziesiąt rozsypanych w zielsku, zamkniętych paczek z chusteczkami antybakteryjnymi Wet Ones.

Monk spojrzął na mnie i w jednej sekundzie oboje nas oświeciło. Poczułam zimny dreszcz, który nie miał nic wspólnego z zacinającym, chłodnym wiatrem.

- Więc jednak go znasz - zawyrokował Stottlemeyer, patrząc na nasze miny.

- Widzieliśmy go, jak zebrał na ulicy koło Excelsioru - wyjaśniłam. - Chciał pieniędzy, ale Monk dał mu chusteczki.

- Jakżeby inaczej... — mruknął Stottlemeyer.

- Niełatwo go teraz rozpoznać - dodałam. — Wygląda zupełnie inaczej... Ta zakrwawiona twarz, ta...

Nie mogłam dalej mówić. Stottlemeyer pokiwał głową.

—Rozumiem. W porządku.

—To nie jedyny powód, dla którego nie mogliśmy go rozpoznać - powiedział Monk.

Odwrócił się z powrotem do budy, przykucnął przy wejściu i raz jeszcze światłem latarki omiółł kartonowe wnętrze i ciało. Kichnął.

Po chwili wstał, wzdrygnął lekko ramionami, a kiedy znowu na nas spojrzął, w jego wilgotnych oczach dostrzegłam błysk podniecenia.

—Wiem, kto go zabił - oznajmił.

—Wiesz? - Stottlemeyer osłupiał. - Kto?

—Lucas Breen.

—Breen?! - Stottlemeyer westchnął ciężko. — Daj spokój, Monk. Jesteś pewien? Według ciebie Breen zabija starsze panie, psy, włóczęgów... Co ta za dziwak, jakiś seryjny morderca, czy co?

Monk pokręcił przecząco głową i pociągnął nosem.

—To człowiek, który chce, żeby uszło mu na sucho morderstwo. Sęk w tym, że aby to osiągnąć, musi dalej zabijać.

—Dlaczego uważasz, że to robota Breena? - zapytał Stottlemeyer.

—Spójrz na siebie. Masz płaszcz zapięty po szyję. - Monk się odwrócił i poświecił na martwego człowieka. - On nie ma na sobie płaszcza.

—Zapewne w ogóle nie ma płaszcza — zauważył Stottlemeyer.

—Jednak miał, kiedy go widzieliśmy - zapewnił Monk. - Wielki, brudny, postrzępiony płaszcz. Tyle tylko, że ściśle mówiąc, wcale nie był brudny i postrzępiony. Był nadpalony i osmalony. I przeszedł nam koło nosa. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, czego szukamy i na co patrzymy, od razu rozwiązałibyśmy zagadkę morderstwa i prawdopodobnie ocalili temu człowiekowi życie.

Ciekawiło mnie, czy Monk czuje się równie głupio jak ja. I czy ma takie samo poczucie winy.

- Lucas Breen zabił go, żeby odebrać swój płaszcz. Wcześniej opróżnił kieszenie z chusteczek. - Monk znowu kichnął. - Co pokazuje jego bezwzględny brak poszanowania dla ludzkiego życia.

Nie byłam pewna, co Monk miał na myśli. Czy o nieludzkim postępowaniu Breena miało świadczyć zamordowanie człowieka z powodu płaszcza czy też wyrzucenie z kieszeni chusteczek antybakteryjnych? Nie odważyłam się zapytać.

Stottlemeyer wskazał ręką ciało.

- Uważasz, że ten mężczyzna miał na sobie płaszcz Lucasa Breena?

Monk przytaknął i wydmuchał nos w chusteczkę.

- Tego wieczoru, gdy popełniono morderstwo, zapewne grzebał w kontenerze ze śmieciami. Sam się prosił o śmierć, to się doigrał.

- Ale to nie grzebanie w śmieciach go zabiło - powiedział Stottlemeyer.

Monk wyjął z kieszeni zamykany hermetycznie woreczek i wcisnął do niego chusteczkę.

- Gdyby czynnikiem jego zejścia nie był płaszcz, to prędzej czy później byłyby nim zdradliwa choroba brudnych rąk i powolna śmierć w potwornych mękach.

- Czynnikiem zejścia? - zapytał Stottlemeyer.

- Powolna śmierć w potwornych mękach? - zapytałam.

- Dzięki Ci, Boże, za chusteczki antybakteryjne Wet Ones - powiedział Monk.

- Skąd, do diabła, Breen wiedział, że ten facet ma jego płaszcz? - zapytał Stottlemeyer.

Znałam odpowiedź na to pytanie, ale wcale nie czułam się z tym mądrzejsza. Wręcz przeciwnie.

- Kiedy rozmawialiśmy z Breenem w holu jego

biurowca, ten człowiek przeszedł za oknem, pchając koszyk na kółkach. Breen go zauważył.

- Musiał się chyba skichać ze strachu - stwierdził Stottlemeyer. - Siedzi przed detektywami, którzy oskarżają go o morderstwo, a ten gość przechodzi obok i ma na sobie jedyny dowód rzeczowy, który może go wysłać na stryczek. Odtąd na pewno szukał tego człowieka jak maniak.

- Tak - powiedziałam. — A my spędziliśmy cały dzień na przetrząsaniu śmieci z całego San Francisco, tylko po to, żeby odejść z kwitkiem.

Stottlemeyer spojrział w górę na wieczorne niebo.

- Ktoś tam w górze śmieje się z nas do rozpuku.

- Był już lekarz z medycyny sądowej? - zapytał Monk.

- Odjechała krótko przed waszym przybyciem.

- Powiedziała, od jak dawna ten człowiek nie żyje?

Kapitan przytaknął.

- Mniej więcej od dwóch godzin.

- Może mamy jeszcze trochę czasu - powiedział Monk.

- Na co? — zapytałam.

- Na to, żeby Breen się nie wykrecił od trzech morderstw - powiedział Monk.

Monk bawi się w kotka i myszkę

Bay Bridge, most łączący San Francisco z Oakland, to właściwie dwa mosty - pierwszy prowadzi na wyspę Yerba Buena, a drugi wiedzie dalej. Oba mosty łączy tunel, który przecina wyspę na pół.

Do Yerba Buena przylega Wyspa Skarbów, płaski kawałek lądu, sztucznie usypany z okazji Międzynarodowej Wystawy „Golden Gate” w 1939 roku, który rząd Stanów Zjednoczonych przejął podczas drugiej wojny światowej na bazę dla marynarki wojennej.

Wyspa Skarbów wzięła swoją nazwę od grudek złota znalezionych w ziemi zwożonej tutaj z delty rzeki Sacramento. Gdybym miała jednak szczerze powiedzieć, to prawdziwa wyspa skarbów leży po drugiej stronie zatoki, na północ od San Francisco, w hrabstwie Marina.

Mała wyspa Belvedere, długa na półtora kilometra i szeroka na niecały kilometr, to enklawa dla prawdziwych bogaczy, którzy z okien i tarasów nadmorskich rezydencji, wartych miliony dolarów, spoglądają na panoramę San Francisco, zatokę i most Golden Gate. Może w ziemi na Wyspie Skarbów rzeczywiście są grudki złota, ale garść piachu z wyspy Belvedere warta jest więcej niż pół hektara gruntu w jakimkolwiek innym miejscu w Kalifornii.

Gdyby to więc zależało ode mnie, to dla samej precyzji nazw nadawanych wyspom, tej masie ziemi przywiezionej z rzeki Sacramento i wrzuconej w środek zatoki kazałabym odebrać nazwę Wyspa Skarbów i nadać ją wyspie Belvedere.

Oczywiście na Belvedere zamieszkał Lucas Breen, bo jakie inne miejsce miałyby podobny status. Razem z żoną zajmował wystawną i ogromną posiadłość w stylu toskańskim, z własną, pogłębioną przystanią, gdzie cumował ich jacht. (Nie żebym coś miała przeciw bogatym ludziom; a też pochodzę z zamożnej rodziny, choć sama nie mam wiele pieniędzy. Nie mogę natomiast znieść u wielu bogatych ludzi ich poczucia wyższości i mniemania, że wszystko im wolno.)

Aby dostać się do domu Breena, musieliśmy wyjechać z miasta mostem Golden Gate, przejechać przez Sausalito, potem przez groblę prowadzącą na wyspę i wreszcie pokonać krętą drogę na gęsto zalesionym stoku. Mimo syreny i koguta zajęło nam to całe czterdzieści minut. Kiedy wjeżdżaliśmy na groblę, Stottlemeyer wszystko wyłączył. Nie chciał straszyc mieszkańców wyspy.

Brama do rezydencji Breenów była szeroko otwarta. Zupełnie jakby się nas spodziewał, co nie mogło oznaczać niczego dobrego.

Rezydencja znajdowała się na wzniesieniu, na które prowadził kręty podjazd. Rozpościerał się z niego rozległy widok na wyspę Angel, półwysep Tiburon, panoramę San Francisco i most Golden Gate - jeżeli niebo nie jest czarne i zamglone, jak było w chwili, kiedy zajechaliśmy na miejsce.

Zaparkowaliśmy za srebrnym sportowym samochodem Breena, bentleyem continentalem. Kiedy wysiedliśmy, Stottlemeyer zatrzymał się i położył dłoń na smukłej masce bentleya.

- Silnik jeszcze ciepły - powiedział i pogłaskał maskę, jakby to było udo kobiety. - Jak myślisz, Monk, jak bym wyglądał w czymś takim?

- Jak ktoś, kto siedzi w samochodzie.

- To nie jest samochód, Monk. To bentley.

- Wygląda mi na samochód — powiedział zdziwio-

ny Monk. - Co to jeszcze robi? - Monk był śmiertelnie poważny.

- Nieważne. - Stottlemeyer machnął ręką i ruszył w kierunku wejścia do willi.

Nadusił na dzwonek i podniósł policyjną odznakę do małej kamery przemysłowej zainstalowanej nad drzwiami, choć najprawdopodobniej Breen wiedział o nas od chwili, gdy przekroczyliśmy bramę jego posesji.

Po minucie otworzył drzwi. Miał zaczerwienione oczy, zakatarzony nos i bonżurkę narzuconą na domowy dres. Wyglądał naprawdę źle. Dobrze mu tak, pomyślałam. Im bardziej mu źle, tym lepiej.

- Co tu, do diabła, robicie? Właśnie miałem się kłaść spać — powiedział Breen na powitanie. - Nie słyszał pan nigdy o takim urządzeniu jak telefon?

- Nie mam w zwyczaju umawiać się telefonicznie z mordercami — odpowiedział Stottlemeyer.

- Kapitanie, jestem potwornie przeziębiony, żony nie ma w domu i marzę tylko o tym, żeby się położyć do łóżka - powiedział Breen. - Porozmawiamy innym razem.

Breen zaczął zamykać nam drzwi przed nosem, ale Stottlemeyer zatrzymał je ręką i przepychając się, wszedł do środka.

- Porozmawiamy teraz.

- Będzie pan tego żałował - ostrzegł Breen.

Z zakatarzonym nosem i łzawiącymi oczami wyglądał i mówił jak rozkapryszone dziecko.

- Nic nie szkodzi — stwierdził Stottlemeyer. - Gdy bym nie żałował tego i owego, nie miałbym nad czym rozmyślać i nie miałbym pretekstu do paru głębszych.

Podążając śladem kapitana, przeszliśmy obok Breena do dwupiętrowej rotundy, zamkniętej u góry kopułą z witrażami. Monk zasłonił nos i obszedł Breena dużym łukiem, choć sam również miał katar.

Rotunda wznosiła się nad salonem. Jego dominującym elementem były rozsuwane drzwi i olbrzymie okna, które niczym obrazy zamykały w swoich ramach fantastyczną panoramę San Francisco, migoczącego teraz we mgle blaskiem miejskich świateł. Z naszej lewej strony, obok szerokich schodów, znajdowało się przejście do wypełnionej książkami pracowni, a w niej masywny kamienny kominek, w którym wesoło huczał ogień.

—Jak rozumiem, przekazano panu, by przestał mnie pan wreszcie nachodzić? - powiedział Breen, wycierając nos w chusteczkę.

—Chodzę zwykle tam, gdzie prowadzą mnie dowody - odpowiedział Stottlemeyer.

—Niedługo zacznie pan chodzić na rozmowy kwalifikacyjne - odparł Breen. - A więc co ważnego skłoniło pana, by narażać swoją policyjną odznakę?

—Dzisiaj wieczorem został zamordowany pewien bezdomny mężczyzna — zaczął Stottlemeyer.

—Wielka szkoda. Czego w związku z tym pan ode mnie oczekuje?

—Przyznania się do winy - powiedział Monk.

—Niech mi pan coś powie, panie Monk. Czy ma pan zamiar oskarżać mnie o każde morderstwo popełnione w tym mieście?

—Bezdomny miał pański płaszcz. - Monk kichnął i wyciągnął do mnie rękę po chusteczkę.

Podaliśmy mu od razu kilka.

—Mówiłem już wcześniej. Żona przekazuje moje stare rzeczy do Goodwilla.

Breen przeszedł wolno do pracowni i usiadł ciężko w skórzanym klubowym fotelu, przodem do kominka. Na stoliczku przy fotelu stał kieliszek brandy. Nie trzeba było wyjątkowych zdolności detektywistycznych, żeby się domyślić, że Breen musiał tu siedzieć, kiedy podjechaliśmy pod bramę.

- Hm, wygląda na to, że każdy, kogo spotykamy, kupuje w Goodwillu pańskie rzeczy — stwierdził Stottlemeyer.

- Szczęśliwcy — odparł Breen.

- W moich oczach ten bezdomny nie wyglądał na szczęśliwca — wtrąciłam. - Ktoś kompletnie zmiażdżył mu cegłą twarz.

- Płaszcz, o którym mowa, nie pochodził z Goodwilla. - Monk wydmuchał sobie nos, a potem wrzucił chusteczkę do ognia w kominku. - Był to ten sam szyty na zamówienie płaszcz, który włożył pan, idąc na bankiet charytatywny „Ocal zatokę”, ale którego już pan nie miał, wracając z bankietu do domu. - Monk przykucnął przed kominkiem i patrzył, jak chusteczka się dopala. - To ten sam płaszcz, który miał pan na sobie, kiedy poszedł pan udusić Esther Stoval i podpalić jej dom — powiedział Stottlemeyer. — Ten, którego zapomniał pan od niej zabrać. Z którego powodu musiał pan się przebrać za strażaka, żeby go odzyskać. Który wreszcie wyrzucił pan do kontenera na śmieci przy hotelu Excelsior, gdzie znalazł go człowiek, którego pan później zabił.

- Pan chyba majaczy - powiedział Breen do Stottlemeyera i skinął głową w kierunku kucającego przed kominkiem Mońka. - Pan jest jeszcze bardziej stuknięty od niego.

- Pan go spalił - odezwał się naraz Monk.

- Co spaliłem?

- Spalił pan ten płaszcz. - Monk wskazał ręką kominek. - Widzę jeden z jego guzików.

Przykucnęliśmy ze Stottlemeyerem obok Mońka i spojrzeliśmy w płomienie. Bez dwóch zdań, w żarze jaśniał mosiężny guzik z monogramem Lucasa Breena. Kapitan wstał i spojrzął z góry na Breena.

- Często używa pan swoich rzeczy na rozpałkę?

- Oczywiście, że nie. — Breen pociągnął łyk bran-

dy, a potem podniósł kieliszek do ognia i przyglądał się w jego świetle bursztynowemu płynowi. - Guzik musiał się urwać z mankietu marynarki, kiedy dokładałem drewno w kominku.

—Chciałbym tę marynarkę zobaczyć — powiedział Stottlemeyer.

—A ja chciałbym zobaczyć pański nakaz rewizji — odpowiedział Breen.

Stottlemeyer stał bez słowa, patrząc tylko groźnie. Breen przebił go kartą atutową i Stottlemeyer dobrze o tym wiedział. Wszyscy wiedzieliśmy. Breen uśmiechnął się zadowolony z siebie. Pomyślałam, że pewnie nawet zęby myje zadowolony z siebie.

—Wielka szkoda, że nie zawsze udaje się zdobyć to, co byśmy chcieli, choć, szczerze mówiąc, mnie to się zwykle udaje. - Breen wzniosł kieliszek w stronę Stottlemeyera. - Pan natomiast wygląda mi na człowieka, któremu to się udaje nader rzadko. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to uczucie.

—A ja nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to uczucie siedzieć w celi śmierci — powiedział Stottlemeyer. - Ale już niedługo pan mi to powie.

Monk znowu kichnął. Podałam mu jeszcze jedną chusteczkę.

—Jak, panie kapitanie, zamierza mnie pan w niej umieścić? - zapytał drwiąco Breen. - Przypuśćmy, czysto teoretycznie, że rzeczywiście jestem winny wszystkich tych zbrodni, które mi pan zarzuca. Jeśli to prawda, to zgodnie z pańską teorią jedyny potrzebny panu dowód rzeczowy spłonął właśnie w płomieniach tego kominka, wraz z nadzieją na postawienie mnie przed sądem.

Breen pociągnął jeszcze jeden łyk brandy i pociągnął nosem. Można by przypuszczać, że to smarknięcie podkopało jego poczucie siły, wyższości i samozadowolenia, ale nic bardziej mylnego. Czuł się

naprawdę pewnie w swoim przekonaniu, że nas pobił.

Spojrzelismy ze Stottlemeyerem na Mońka. Do niego należała odpowiedź, genialna dedukcja, która miała pogrzyźć tego łajdaka i udowodnić mu winę popełnienia morderstwa.

Monk ściągnął brwi, zmrużył oczy i kichnął.

Stottlemeyer podwiózł nas do mojego samochodu. Nikt nie mówił ani słowa. Monk nawet przestał smarkać. Nie było już wiele do powiedzenia. Lucas Breen miał rację. Wygrał. Trzy morderstwa ujdą mu na sucho.

Oczywiście wszystkich nas boleśnie to dotknęło, ale wydaje mi się, że Stottlemeyera i Mońka gnębiło coś więcej niż sama krzycząca niesprawiedliwość, że człowiek winny zbrodni pozostanie na wolności. Tu chodziło o coś znacznie głębszego i bardziej osobistego.

Ich znajomość przez długie lata opierała się na prostej prawdzie: Monk był genialnym detektywem, a Stottlemeyer dobrym. Nie jest to w żadnym razie przytyk pod adresem Stottlemeyera. Awansował na kapitana dlatego, że potrafił ciężko pracować, z poświęceniem i talentem. Udało mu się rozwiązać zagadki większości zabójstw, w których sprawie prowadził dochodzenie, a z liczby skazanych dzięki niemu przestępców dumny byłby każdy inny glina w dużym mieście.

Ale Stottlemeyer nie był każdym innym gliną. Pracował w San Francisco, mieście Adriana Mońka. Każdemu detektywowi trudno byłoby się mierzyć z geniuszem Mońka. Tymczasem dla Stottlemeyera sytuacja była jeszcze trudniejsza. Przez długi czas był też bowiem jego partnerem na służbie. Kariera zawodowa Stottlemeyera nierozwiązalnie łączyła się z osobą Mońka. I nie miało znaczenia, że zaburzenia obse-

syjno-kompulsywne pozbawiły Mońka odznaki policyjnej. Stottlemeyer i Monk, w ich własnych oczach, na zawsze już pozostaną partnerami - a także w oczach Departamentu Policji San Francisco.

Choć Stottlemeyer mógł się czuć zniechęcony zdumiewającym zmysłem obserwacji Mońka i jego niebywałą zdolnością logicznego myślenia, to mimo wszystko w pełni polegał na zaletach przyjaciela, co w moim odczuciu było krzywdzące wobec niego samego. Również departament polegał na Monku. Dlatego zresztą wciąż tolerowano jego wszystkie — niemałe — ekscentryczności. Myślę, że do pewnego stopnia Monk był tego świadom.

Kiedy policji trudno było rozgryźć zabójstwo, wzywano Mońka. I zawsze, z wyjątkiem jednej jedynej sprawy, morderstwa własnej żony, Monk potrafił wskazać zabójcę.

Do dzisiaj.

Porażka z Breenem była dla Mońka tym dotkliwsza, że Stottlemeyer nie prosił go tym razem o pomoc. To on wciągnął w to wszystko Stottlemejera, a teraz odznaka policyjna kapitana zawisła na cienkim włosku.

Więcej nawet, na włosku zawisła również przyszłość Adriana Mońka jako konsultanta policji. Skoro nie można już liczyć na to, że Monk bez trudu rozwikła każdą zbrodnię, to czy policja, a także Stottlemeyer, mają powód, by zwracać się do niego z prośbą o pomoc? Jaką musieliby mieć motywację, żeby tolerować jego irytujące fanaberie?

Żleczynił Stottlemeyer, oczekując, że Monk nigdy go nie zawiedzie, że w odpowiedniej chwili zawsze błysnie cudowną myślą. Skoro jednak wcześniej Monk robił to tak wiele razy, to rzecz, która dla każdego innego byłaby tylko mało realistyczną nadzieją, dla nich stała się podstawą zawodowej współpracy.

Dzisiaj Stottlemeyer postawił to wszystko na jedną kartę i przegrał. Jeśli z powodu Mońka zostanie zdegradowany lub straci pracę, to będzie to oznaczało również definitywny kres kariery Mońka jako konsultanta policji w San Francisco.

Być może także kres ich przyjaźni. Bo co mogłoby ich do siebie zbliżyć, jeśli zabraknie im kryminalnych zagadek do rozwiązywania? Co miałyby ich łączyć?

Może za bardzo nad tym deliberowałam, ale gdy tak jechaliśmy przez ciemność i mgłę, to wydawało mi się, że to właśnie słyszę w tej niezręcznej, grobowej ciszy i to widzę na ich kamiennych twarzach.

Kiedy wróciliśmy z Monkiem do domu, pani Throphammer leżała na kanapie pogrążona we śnie i chrapała niemiłosiernie, a na stoliczku obok niej stała szklanka z wodą i jej sztuczną szczęką. W telewizji szedł kolejny odcinek kryminału *Hawaje 5-0*; Jack Lord, w odprasowanym niebieskim garniturze zabijał właśnie wzrokiem Rossa Martina, który w roli rodowitego hawajskiego herszta, z odpowiednio ucharakteryzowaną twarzą, wyglądał po prostu śmiesznie.

Monk przycupnął obok szklanki z wodą i z zainteresowaniem przyjrzał się sztucznym zębom pani Throphammer, jakby były jakimś rzadkim gatunkiem zanurzonym w formalinie.

Wyłączyłam telewizor, pani Throphammer obudziła się z głośnym charknięciem, zaskakując Mońka, który stracił równowagę i przysiadł na podłodze.

Pani Throphammer, wciąż nieprzytomna i dezorientowana, sięgnęła odruchowo po szczękę, ale przewróciła szklankę i wylała wodę na podbrzusze Mońka.

Monk zapiszczał, odchylił się gwałtownie do tyłu, a proteza wylądowała w okolicy rozporka jego przemoczonych spodni.

Pani Throphammer nerwowo sięgnęła po zęby,

zachwiała się i pod własnym ciężarem opadła na Mońka, który zaskowyczał i zaczął gwałtownie wzywać pomocy, nie chcąc w ogóle dotykać pani Throp-hamner.

Julie wypadła z sypialni z zaspanymi oczami i w piżamie.

- Co się dzieje?

- Pani Throphamner wylała wodę z zębami na spodnie pana Mońka — wyjaśniłam krótko. - Pomóż mi, dobrze?

Po chwili podniosłyśmy z Julie panią Throphamner. Ze złością porwała z podbrzusza Mońka protezę, wpakowała ją sobie do ust i rozdrażniona wymaszzerowała z mieszkania, nie mówiąc choćby „dobranoc”. Nie miałam nawet okazji, żeby jej zapłacić.

Monk dalej leżał na plecach i wpatrywał się tępo w sufit. Nie ruszał się. Nie mrugał oczami. Wystraszyłam się, że wpadł w stan katatonii. Nachyliłam się do niego.

- Panie Monk, nic panu nie jest?

Nie odpowiadał. Odwróciłam głowę i spojrzałam na Julie.

- Przynies mi z lodówki butelkę wody Sierra Springs.

Julie kiwnęła głową i wybiegła po wodę.

- Panie Monk, proszę, niech pan coś powie. Monk zamrugał i wyszeptał chrapliwym głosem.

- Dzisiejszy dzień to prawdziwy koszmar.

- Tak, owszem.

- Nie, naprawdę koszmar - powiedział Monk. - Składowisko śmieci. Obozowisko bezdomnych. Sztuczna szczeka na podbrzuszu. To chyba nie wydarzyło się naprawdę?

Wróciła Julie z butelką. Otworzyłam ją i wyciągnęłam w stronę Mońka.

- Obawiam się, że jednak tak, panie Monk.

Usiadł, wziął ode mnie butelkę i zaczął pić łapczywie, jakby była to whiskey. Po chwili rzucił za siebie pustą butelkę.

— Jeszcze... — stęknął i spojrzał na Julie. — Idź lepiej do łóżka, złotko. Tu będą się działy rzeczy straszne.

Monk i Marmaduke

Monk wypił jeszcze dwie butelki Sierra Springs, a cztery następne zabrał ze sobą do sypialni, zatraskując za sobą drzwi.

Nad ranem znalazłam go śpiącego na łóżku; leżał na brzuchu w ubraniu, tak jak wieczorem opadł na pościel, a na podłodze leżały rozrzucone puste butelki po wodzie. Zebrałam je po cichu i wyszłam, nie budząc go.

Tego dnia przypadała moja kolej na zawieszenie Julie i jej koleżanek do szkoły i muszę przyznać, że bardzo się obawiałam zostawić Mońka samego w domu. Nie bałam się, że może mieć samobójcze myśli czy czegoś równie strasznego - bałam się tego, co Monk może zrobić w domu, gdy się go spuści z oka. Czy po powrocie zastanę wielkie zmiany w szafach? Wszystkie rzeczy będą poukładane według rozmiaru, kształtu i koloru?

Zastanawiałam się, czy jednak go nie zbudzić i nie zabrać ze sobą na objazd, ale obraz Mońka, wciśniętego w samochodzie między dokazujące, hałaśliwe nastolatki, szybko rozwiął te myśli. Wczorajszy dzień był dla niego wystarczająco koszmary, zresztą dla mnie również.

Postanowiłam zaryzykować i zostawić go samego. Kazałam Julie pospieszyć się przy śniadaniu, napisałam dla Mońka notkę z informacją, gdzie jestem, i pospieszenie pojechałam po inne dzieciaki, by zawieźć je wszystkie do szkoły.

Kiedy wróciłam po czterdziestu pięciu minutach,

Monk wciąż spał. Odetchnęłam z ulgą, ale jednocześnie poczułam niepokój. Monk nie miał w zwyczaju spać tak długo, w każdym razie nie w moim domu. Zastanawiałam się, czy nie zawiadomić doktora Krogera, ale około dziewiątej Monk wreszcie wstał. Wyglądał tak, jakby przez całą noc chodził po okolicznych barach. Ubranie miał wygniecione, włosy rozczochrane, a twarz nie ogoloną.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby był taki niechlujny, taki ludzki. Ten widok chwycił za serce.

- Dzień dobry, panie Monk - powiedziałam jak najweselszym głosem.

Monk przyjął powitanie skinieniem głowy i podreptał boso prosto do łazienki. Dopiero w południe wyszedł ponownie z sypialni — ubrany już w świeże rzeczy, schludny jak tylko on potrafi. Ale zamiast przyjść do kuchni na śniadanie, zawrócił po prostu i zamknął się z powrotem w sypialni, by w ciszy i spokoju odchorowywać swojego mineralnego kaca.

Nie byłam pewna, co robić, więc zajęłam się domowymi sprawami; praniem i przygotowaniem rachunków do zapłaty. Za wszelką cenę próbowałam nie myśleć o Lucasie Breenie i morderstwach, których się dopuścił. Usiłowałam też nie myśleć o Joem i niepokojach, które mnie nurtowały w związku z naszą racz-kującą znajomością. Nic więc dziwnego, że myśl-la-łam wyłącznie o Breenie i Joem.

Nie umiałam w żaden sposób dowieść, że Breen jest winny morderstwa, ale za to rozumiałam już, co niepokoiło mnie w spotkaniach z Joem. Tak, wiem, to było oczywiste, teraz widzę to wyraźnie, ale wtedy nie widziałam. Tak to już jest, kiedy człowiek jest w trakcie nawiązywania nowej znajomości, nawet jeśli są to tylko dwa pierwsze spotkania. Tak bardzo jest uwiązany niepewnością, pragnieniami i oczekiwaniami, że nie dostrzega tego, co ma przed oczami.

Może podobnie jest z detektywem w trakcie śledztwa. Znajduje się pod taką presją, by rozwikłać zagadkę, i bombardowany jest tak wielką liczbą faktów, że wydaje się niemożliwe, by wszystko jasno widział. Zamiast wyraźnego obrazu ma przed oczami tylko śnieżenie.

Wyobrażam sobie, że podobnie bywało ze Stottlemeyerem i Disharem. Często widziałam, jak bardzo się angażują w prowadzone dochodzenia i jak wiele pracy w nie wkładają. Z Monkiem jest na odwrót. U niego dochodzenie wydawało się proste, za to wszystko inne niepomiaralnie trudne.

Tak bardzo zwracaliśmy uwagę na to, jak trudno przychodzi Monkowi radzić sobie z najprostszymi rzeczami w życiu, że nie zauważyliśmy, ile wysiłku wkłada w śledztwo i ile samego siebie kładzie przy tym na szalę.

Rozwiązania zawiłych zagadek kryminalnych zdają się przychodzić mu z taką lekkością i szybkością, że kręcimy tylko ze zdumienia głowami i uznajemy to za cud. Nawet się nie zastanawiamy nad całym jego potencjałem emocjonalnym i umysłowym, którym musi zawiadywać, aby owego „cudu” dokonać.

Mówimy przecież o człowieku, który nie potrafi wybrać dla siebie miejsca w kinie, ale który jednocześnie potrafi powiązać tysiące możliwych tropów prowadzących do właściwego rozwiązania. To w rzeczywistości nie może być takie łatwe, jak by się zdawało. Tu musi wchodzić w grę naprawdę ciężka robota. Jestem pewna, że niekiedy nawet on nie dostrzega rzeczy, które dla każdego są oczywiste lub które normalnie byłyby oczywiste także dla niego. Czy Monk ma kogoś, do kogo mógłby się zwrócić, kto w takich chwilach zrozumiałby jego udękę? Nie ma. Bo nie ma drugiego Adriana Monka. W każdym razie ja o nim nie słyszałam.

Mimo to postanowiłam spróbować. Poszłam do jego pokoju i zastukałam do drzwi.

- Proszę wejść - powiedział.

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam, jak siedzi na brzegu łóżka z książką na kolanach. Uśmiechnął się do mnie i postukał palcem w otwartą stronę.

- Bezcenne - powiedział.

Usiadłam obok niego i zerknęłam na książkę, którą czytał. Był to zbiór popularnych niegdyś, krótkich historyjek komiksowych z Marmadukiem, dogiem niemieckim wielkości konia.

W historyjce, na którą Monk właśnie spoglądał, Marmaduke wracał do budy z oponą samochodową w pysku. Podpis pod rysunkiem brzmiał: „Marmaduke uwielbia ganiać za samochodami”.

- Ha, ten Marmaduke — powiedział Monk. — Jest taki wielki.

- Tak, to humor, który się nigdy nie starzeje - powiedziałam.

To było oczywiście kłamstwo. Nie umiałam sobie wyobrazić, żeby Monk, czy ktokolwiek inny, widział dzisiaj w tych rysunkach coś śmiesznego. Ale przynajmniej poznałam tajemnicę, jak odzyskać siły po nocy strawionej na hulaszczym piciu wody mineralnej.

- Ha, taki z niego psotnik.

Monk odwrócił stronę i pokazał rysunek, na którym Marmaduke zabiera swojego pana na krótki spacer i tak go ciągnie, że mężczyzna niemal frunie w powietrzu. Podpis pod spodem brzmiał: „Kiedy wyprowadzam Marmaduke'a na spacer, zawsze się zrywa chłodny wiatr”.

- Jak się pan czuje?

- Wyśmienicie — odpowiedział bez przekonania.

Przewrócił kolejną stronę.

- Dostanie pan Lucasa Breena, panie Monk. Ja to wiem.

- A jeśli nie? — zapytał Monk. - Kapitan Stottlemeyer może zostać zdegradowany, a Julie będzie miała złamane serce.

- Przeżyją - pocieszyłam go.

- Ja nie - odparł i znowu przewrócił stronę.

Marmaduke wskakuje do basenu i tak chlapie wodą na wszystkie strony, że w basenie nie zostaje ani jedna kropla. Podpis: „Kto zapraszał Marmaduke^ na nasze party w basenie?!“

Monk pokręcił głową i się uśmiechnął.

- Ha, jest taki olbrzymi.

- Nie może pan rozwiązać każdej sprawy, panie Monk. Za dużo pan od siebie wymaga.

- Jeśli uda mi się znaleźć osobę, która zabiła moją żonę, nie będę już musiał rozwikływać ani jednego morderstwa więcej - powiedział. - Zanim więc ten dzień nastąpi, muszę rozwikłać pozostałe.

- Nie rozumiem.

- Wszystko ma swój porządek, Natalie. Jeśli nie będę potrafił dojść sprawiedliwości dla Esther Stoval, Sparky'ego i tego bezdomnego mężczyzny, to jaką mogę mieć nadzieję, że uczynię to kiedyś dla Trudy?

Nie miało to dla mnie żadnego sensu. Poza tym była to jedna z najsmutniejszych rzeczy, jakie usłyszałam.

- Panie Monk, jak może pan brać na siebie takie brzemie? Przecież te zabójstwa nie mają nic wspólnego z tym, co się stało z Trudy.

- W życiu wszystko jest ze sobą połączone. Dlatego właśnie można dostrzec to, co nie pasuje do całości.

Pokręciłam głową.

- Nie, nie wierzę w to. Naprawdę sądzi pan, że jeśli rozwiąże pewną magiczną liczbę kryminalnych zagadek, to odprawi pan pokutę i Bóg powie panu, kto zabił pańską żonę?

Monk zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie ma w tym żadnej magii ani nic duchowego. Po prostu wciąż mi brakuje umiejętności, by rozwi-
kłać zagadkę zabójstwa żony. Jednak to się może
zmienić któregoś dnia, jeśli rozwiązę wystarczająco
dużo innych spraw.

—Panie Monk — powiedziała łagodnym głosem. -
Jest pan najlepszym detektywem na świecie.

—To za mało — odpowiedział Monk. - Ponieważ
ten, kto zabił Trudy, wciąż jest na wolności. Podobnie
jak Lucas Breen.

Monk odwrócił następną stronę.

- Nie może pan tak wobec siebie postępować, pa-
nie Monk. Wyznacza pan sobie poziom doskonałości,
któremu nikt nigdy nie dorówna.

—Ha, ten stuknięty piesio co chwilę wpada w ta-
rapaty. — Monk się uśmiechnął i wskazał palcem
książkę. .

Marmaduke goni kota, który uciekł na drzewo. Pies
wrywa więc całą wielką sosnę z korzeniami, ku roz-
paczy kilkorga dzieci, które przytaszczyły pod drzewo
deski, gwoździe i młotki: „Coś mi się wydaje, że jednak
nie zbudujemy dzisiaj domku na drzewie”.

- Oj, wpada, wpada. - Poklepałam go po ramie
niu i wyszłam z pokoju.

Adrian Monk był bez cienia wątpliwości najbardziej
skomplikowanym człowiekiem, jakiego w życiu
spotkałam, i być może najbardziej tragicznym. Bardzo
chciałabym, żeby zrzucił z siebie trochę winy, którą tak
się zadręcza.

Oczywiście byłam odpowiednią osobą do takich roz-
mów. Ileż to nocy przeleżałam, patrząc w sufit i roz-
myślając nad tym, czy Mitch zginął z mojej winy.
Gdybym kochała go bardziej, nie mógłby nas zostawić.
Nie byłby pół świata dalej. Nikt nie zestrzeliłby go z
nieba. Gdybym kochała go bardziej, nie miałby

takiej potrzeby latania; nie potrzebowałby nikogo i niczego poza mną. Ale najwyraźniej nie kochałam go dość mocno, ponieważ wyjechał. A teraz nie żyje.

Wiedziałam, że obwinianie się o śmierć Mitcha jest dziecinne i nieracjonalne, ale trudno było mi zaprzeczyć, że miałam takie poczucie winy. Wciąż je mam.

Czy naprawdę tak bardzo różniliśmy się z Monkiem?

On miał chyba jednak więcej szczęścia. Wiedział, co robić, aby na powrót uporządkować sobie świat. Ja nie miałam pojęcia. Jaką pokutę miałabym odpracować, by przywrócić porządek w moim świecie?

Weszłam do kuchni i wyjrzałam przez okno. W ogrodzie zobaczyłam panią Throphammer przy różach, których intensywna woń napływała aż do mojego mieszkania. Miałam nadzieję, że wydarzenia poprzedniego wieczoru nie zniechęciły jej do opieki nad Julie. Stałam się trochę zależna od pani Throphammer. Pierwszym krokiem do podtrzymania w niej dobrego ducha byłaby zapewne spłata wczorajszego długu.

Wracałam do salonu, żeby poszukać torebki i pieniędzy dla pani Throphammer, kiedy Monk wybiegł nagle ze swojego pokoju z wielkim uśmiechem na ustach i otwartą książką w rękach.

- On, to on! - powiedział triumfalnie.

- Kto i co?

- Marmaduke! — powiedział Monk, stukając palcem w rysunek z sosną wyrwaną z korzeniami. - On znalazł sposób na Lucasa Breena.

Stottlemeyer siedział nachmurzony w gabinecie. Książka Monka leżała przed nim na biurku. Za plecami kapitana stał Disher i spoglądał mu przez ramię.

- Oto rozwiązanie naszej zagadki - powiedział Monk.

Siedzieliśmy na krzesłach przed biurkiem Stottlemeyera i czekaliśmy na jego reakcję. Kapitan jeszcze

raz rzucił okiem na komiks, a potem znowu spojrzął na Mońka.

- Chyba żartujesz? — powiedział w końcu.

Zapewne nie takiej reakcji oczekiwał Monk, ale nie powinien się dziwić. Wcześniej zareagowałam zupełnie tak samo.

- Całkowicie się z kapitanem zgadzam - odezwał się Disher. — To niemożliwe, aby pies wyrwał z korzeniami takie drzewo. Nawet taki wielki pies jak Marmaduke.

- Oczywiście, że by wyrwał - powiedział Monk.

- Nie w tym problem... — próbował się wtrącić Stottlemeyer.

- Drzewa takiej wysokości głęboko zapuszczają korzenie — przekonywał Disher. — Gdyby samochód uderzył w takie drzewo, nawet by nie drgnęło.

- Marmaduke to wulkan siły i energii - mówił Monk.
- Samochody nie.

- Przystaniecie w końcu czy nie? - przerwał im Stottlemeyer. — Nie jestem pewien, czy pojmujesz powagę sytuacji, Monk. W związku z wczorajszą wizytą u Breana otrzymałem od szefa oficjalne upomnienie. W przyszłym tygodniu mam stanąć przed komisją rewizyjną i wyjaśnić powody swoich działań. Mogą mnie zdegradować.

- Nie zrobią tego, jeśli aresztujesz Lucasa Breana - zauważył Monk.

- Jeśli pokażę mu komiks z Marmadukiem, a on się przyzna, tak? O tym myślisz?

- Ogólnie rzecz biorąc, tak - odpowiedział Monk, stukając wymownie palcem w książkę. - To niepodważalnie wiąże osobę Breana z trzema zabójstwami.

- Szczerze mówiąc, Monk, nie bardzo to widzę - przyznał Stottlemeyer.

Monk zaczął więc tłumaczyć, dzieląc się z nami odkryciem, którego dokonał podczas czytania książ-

żeczki, i prostym planem działania, jaki mu przyszedł do głowy. Mogłam się tylko uśmiechnąć pod nosem i jeszcze raz zachwycić tajemniczym sposobem działania umysłu Adriana Mońka. Wiedziałam, że ma rację. To była nasza jedyna nadzieja, aby przyskrzy-nić Lucasa Breena.

Stottlemeyer milczał długo, ważąc w myślach słowa Mońka.

—Jeśli znowu stanę oko w oko z Breenem i prze gram, odbiorą mi odznakę — powiedział Stottlemyer. - Muszę być pewny, że masz rację.

—Mam rację — zapewnił Monk. Stottlemeyer zacisnął usta i pokiwał głową.

—Dobrze. W takim razie do roboty.

Wstał i włożył płaszcz.

—A ja? — zapytał Disher. - Co ja mam robić?

—Zostań tu, Randy. Dopilnuj, żeby na bezdomnym i jego dobytku przeprowadzono testy, o których mówił Monk.

—Mogę tego dopilnować przez telefon komórkowy - powiedział Disher. - Wolałbym udzielić panu wsparcia w akcji, kapitanie.

—Wiem - powiedział Stottlemeyer. - Ale nie chciałbym, żeby i tobie się oberwało odłamkiem, jeśli w wypadku fiaska moja kariera wyleci w powietrze. W grze Marmaduke'a i Mońka rzucę na stół tylko jedną odznakę; moją własną.

Disher kiwnął głową. Stottlemeyer ścisnął go za ramię i wyszliśmy z gabinetu.

—Marmaduke - mruknął Stottlemeyer. - Naprawdę wielkie psisko.

—Największe - dodał Monk.

Monk i zupa małżowa

Bez Mońka jazda windą do gabinetu Lucasa Breena na trzydziestym piętrze trwała o wiele krócej. Stot-tlemeyer założył ręce na piersi i stukał nerwowo nogą o podłogę. Ja trzymałam w uchylonej torbie niespodziankę dla Lucasa Breena i słuchałam straszliwej wersji instrumentalnej przeboju Kylie Minogue *Can't Get You Out of My Head*, który jak najbardziej zasługiwał sobie na swój tytuł. Okropna muzyka z windy natrętnie brzmiała mi w uszach, kiedy byliśmy już w poczekalni.

Przepiękna Azjatka powitała nas swoim najefektowniejszym grymasem, który miał oznaczać uśmiech. Na głowie miała zestaw słuchawkowy, łączący ją bezpośrednio z centralką telefoniczną. Kilka płaskich monitorów, wbudowanych w kontuar jej biurka, pokazywało obraz z kamer przemysłowych zainstalowanych w holu, podziemnym parkingu i w innych częściach budynku. Na jednym z ekranów zauważyłam Mońka, który siadał do stolika w kawiarni Boudin. Zanim usiadł, wyłożył siedzenie krzesła serwetkami.

- Jak już informował pana nasz wartownik na dole - powiedziała recepcjonistka do Stottlemeyera — pan Breen jest dzisiaj bardzo zajęty i wolałby, aby przyszedł pan w innym terminie.

Otworzyła kalendarz i przejechała wzdłuż strony ostrym, pomalowanym na czerwono paznokciem.

- Wydaje mi się, że mógłby pana przyjąć w marcu przyszłego roku, zakładając oczywiście, że wciąż bę-

dzie pan zajmował obecne stanowisko w szeregach policji.

Stottlemeyer zmusił się do bardzo nieszczerego uśmiechu.

—Proszą powiedzieć panu Breenowi, że jak najbardziej rozumiem jego natłok zająć, ale doprawdy potrzebny mi jest tylko moment, gdyż chciałbym wyrazić swoje ubolewanie.

—Przyszedł go pan przeprosić? - zapytała Azjatka, wypinając w łuk swoją idealnie wyepilowaną brew.

—Chciałbym wręcz paść mu do nóg - powiedział Stottlemeyer.

—Ja również — dodałam.

— Spodoba mu się to — stwierdziła recepcjonistka. Tym razem jej uśmiech był jak najbardziej szczerzy i z lekka sadystyczny.

—Nie wątpię - stwierdził Stottlemeyer.

Azjatka zadzwoniła do Breena i wytłumaczyła mu cel naszej wizyty. Nie wiem, co jej odpowiedział, ale po chwili kiwnęła przyzwalająco głową w naszą stronę.

—Możecie wejść. - Skinęła lekko w kierunku gabinetu Lucasa Breena.

Zastanawiało mnie, czy ta kobieta jest prawdziwa, czy może jest jakimś ożywionym robotem, i czy melodia, którą nuci sobie pod nosem, nie brzmi czasem tak, jak ta z windy.

Kiedy podchodziliśmy do gabinetu, drzwi się rozsunęły. Lucas Breen stał na środku pokoju i w niczym już nie przypominał człowieka z poprzedniego wieczoru. Nie było ani śladu po przeziębieniu i ubrany był w jeden ze swoich eleganckich, szytych na miarę garniturów.

—Wygląda pan dziś dużo lepiej - powitał go Stottlemeyer.

—Macie sześćdziesiąt sekund - rzucił Breen, patrząc na zegarek.

Na spinkach jego mankietu zauważyłam monogram.

- Tyle mi w zupełności wystarczy - powiedział Stottlemeyer. - Chciałem tylko przeprosić za kłopoty, jakie sprawiałem panu w ostatnich paru dniach. Przecież od początku pan mówił, że pańska noga nigdy nie stanęła w domu Esther Stoval.

- Nigdy się z tą panią nie spotkałem - potwierdził Breen. - Pan jednak w ogóle nie chciał mnie słuchać. Za to oskarżał mnie pan o każde morderstwo popełnione w tym mieście.

Stottlemeyer podniósł ręce w geście poddania.

- Ma pan rację. Myliłem się. Słuchałem Mońka, podczas gdy powinienem był słuchać pana. Nic dziwnego, że był pan wściekły.

Breen kichnął i wytarł nos w chusteczkę.

- W rzeczy samej. Skoro już o Monku mowa, gdzie on jest?

- Winda nie bardzo mu służy - powiedziałam. — Wolał zostać na dole. Ale mogę do niego zadzwonić z telefonu komórkowego. Wiem, że też chciałby zamienić z panem parę słów.

Wyjęłam telefon, jednym przyciskiem wybrałam zapisany w pamięci numer Mońka i włączyłam funkcję głosnomowiacą, abyśmy wszyscy mogli usłyszeć, co Monk ma do powiedzenia.

- Mówi Adrian Monk. - W głośniku rozległ się jego głos. - Czy dobrze mnie słyszać?

- Tak - odpowiedziałam.

- Uwaga, próba mikrofonu. Raz. Dwa. Trzy.

Stottlemeyer wziął ode mnie telefon.

- Monk, słyszymy cię świetnie—krzyknął. - Przejdź do rzeczy. Pan Breen nie poświęci nam całego dnia. I tak już zmarnowaliśmy sporo jego cennego czasu.

Breen z wdzięcznością kiwnął głową w stronę Stottlemeyera, pociągnął nosem i znowu dmuchnął w chusteczkę. Oczy zaczęły mu lekko łzawić.

- Chciałem powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu wczorajszego najścia pańskiego do mu - powiedział Monk. - Mam nadzieję, że przyjdzie mi pan ode mnie mały podarunek, jako zadośćuczynienie za przykrości, których pan zaznał z naszego powodu.

Sięgnęłam do torby i wyjęłam z niej dużego, białego, puszystego kota, tureckiego vana z brązowymi plamkami na główce i ogonie. Wyciągnęłam go do Breena.

Breen natychmiast zaczął kichać i gwałtownie się cofać.

- Bardzo jestem wdzięczny za ten gest, ale jestem uczulony na koty.

- Zatem w żadnym razie nie trzymałby pan kota w domu - zmartwił się Monk.

- Oczywiście, że nie. - Breen strzelił w telefon pionującym spojrzeniem, jakby stał tam Monk we własnej osobie, a potem przeniósł wzrok na mnie. - Zechce pani trzymać to kocisko z dala ode mnie?

Umieściłam kota z powrotem w torbie.

- Wcale nie był pan wczoraj przeziębiony, to była alergia - odezwał się znowu Monk. - Pański płaszcz był pokryty włoskami kociej sierści z domu Esther Stoval. Przywłókł pan te alergeny do domu, kiedy postanowił pan spalić płaszcz w kominku. Dlatego również kichałem. Też jestem uczulony na kocią sierść i stąd wiem, że to pan zabił Esther Stoval, Sparky'ego i tego bezdomnego człowieka.

To kot w komiksie z Marmadukiem rozjaśnił Monkowi umysł. Monk skojarzył sobie, że kichał, kiedy parę dni temu pierwszy raz spotkał na ulicy bezdomnego i kichał wczoraj wieczorem, w kartonowej szopie bezdomnego pod autostradą. Początkowo sądził, że mężczyzna sypiał z kotami, ale w pobliżu jego przybudówki nie było żadnych kotów.

Lucas Breen poczerwieniał ze wściekłości. Skierował teraz swoje gniewne, łzawiące oczy wprost na Stottlemeyera.

- Sądziłem, że przyszedł pan mnie przeprosić.

- Kłamałem. Przyszedłem aresztować pana pod zarzutem morderstwa. Skoro już o tym mowa, ma pan prawo zachować milczenie...

Breen mu przerwał.

—Jestem uczulony na pyłki kwiatowe, pleśń i jedne z perfum mojej żony. To, że mi cieknie z nosa, niczego jeszcze nie dowodzi.

- Jednak kocia sierść już czegoś dowodzi - powiedział Monk. - Tego tureckiego vana Esther wzięła do siebie dosłownie parę dni przed śmiercią. To rzadka rasa. Założę się, że włoski z sierści tego kotka, i innych kotów pani Stoval, znajdziemy w pańskim domu i samochodzie.

—Właśnie w tej chwili trwa w pana domu rewizja - poinformował Stottlemeyer. - Zrobimy analizę DNA i porównamy sierść znaną u pana z sierścią zebraną w domu Esther Stoval. Na pewno będzie pasować.

—A przecież twierdzi pan, że nie ma u siebie kota, a pańska noga nigdy nie stanęła w domu pani Stoval - ciągnął Monk. - To można wyjaśnić tylko w jeden sposób. Pan jest mordercą.

To było dość dziwne. Monk podsumowywał całą sprawę i przypierał zabójcę do muru, nie przebywając z nim w jednym pokoju. To nawet w części nie mogło przynieść takiej satysfakcji, jaką Monk by miał, gdyby mógł spojrzeć rywalowi w oczy — w każdym razie w moim odczuciu. Ale nareszcie się skończyło. Morderstwo nie ujdzie Lucasowi Breenowi na sucho. Przedsiębiorca pójdzie do więzienia.

Breen próbował się uśmiechnąć szyderczo, na co było miło popatrzeć. To był bardzo słaby, niezdecydo-

wany uśmiech. Brakowało mu tego nikczemnego poczucia władzy i tej głupiej pewności siebie, jakie kryły się w szyderstwach, którymi obdarzał nas tyle razy w ciągu ostatnich dni.

- Podrzuciliście jakieś dowody, żeby mnie zrobić! W jakiejś osobistej, chorej zemście.

- Niech pan to sobie oszczędzi na proces - stwierdził sucho Stottlemeyer. — Pójdzie pan z nami.

Breen zignorował Stottlemeyera i wymaszerował z gabinetu do recepcji.

- Tesso, połącz mnie natychmiast z moim adwokatem.

Wyszliśmy tuż za nim. W pewnym momencie Breen nagle się obrócił, wyrwał mi z torby kota i cisnął piszczącego zwierzaka Stottlemeyerowi w twarz. Kapitan się zachwiał i zrobił parę kroków do tyłu, mocując się z drapiącym zwierzakiem.

W tym czasie Breen wbiegł z powrotem do gabinetu, w biegu celując pilotem w drzwi. Stottlemeyer złapał wreszcie kota, upuścił go na kolana recepcjonistki i ruszył za Breenem, ale w chwili, kiedy był przy drzwiach, te zatrzęsły mu się przed nosem z głośnym brzęknięciem.

- Cholera! - krzyknął Stottlemeyer.

- Co się stało? - dopytywał się Monk przez telefon.

- Breen ucieka - powiedziałam, a potem się odwróciłam do recepcjonistki, która odruchowo głaskała kota. - Niech pani otworzy drzwi!

- Nie mogę - odpowiedziała.

Miałam ochotę ją udusić.

- No dobrze. - Stottlemeyer wyjął pistolet i przez krótką chwilę bałam się, że ją zabije. - Ja otworzę.

Wycelował w drzwi.

- To pancerne drzwi - wyjaśniła Azjatka.

Stottlemeyer zaklął i schował pistolet do kabury.

- Czy Breen ma tam prywatną windę?

Nie odpowiedziała.

Kapitan obrócił jej krzesło w swoją stronę i pochylił się do niej tak blisko, że niemal dotykał nosem jej nosa.

Kot podrapał mu twarz i ciekły po niej strużki krwi. Nie wiem, cóż czuła recepcjonistka, mając przed sobą taki okropny widok, ale kot był przerażony. Zeskoczył z jej kolan i wdrapał się po nogawce moich spodni z powrotem do torby.

- Zadałem pani pytanie - wycedził Stottlemeyer.

- Swoje pytania niech pan zachowa dla adwokata pana Breena — odpowiedziała lekko załamującym się głosem.

- Czyżby chciała pani być oskarżona o współudział w morderstwie?

- Nie może mnie pan oskarżyć, nikogo nie zabiłam.

- Właśnie pomogła pani uciec trzykrotnemu mordercy. Myślę jednak, że ława przysięgłych może potraktować panią bardzo łagodnie.

- Och, na pewno - wtrącił Monk przez mój telefon. - Od razu się zorientują, jaka z pani ciepła i uczciwa osoba.

Azjatka zamrugwała.

- Tak, Breen ma u siebie prywatną windę.

- Dokąd prowadzi? - zapytał Stottlemeyer.

- Prosto na podziemny parking.

Stottlemeyer wskazał na monitory z kamer prze mysłowych.

- Proszę je włączyć.

Recepcjonistka wcisnęła jakiś przycisk i na jednym z ekranów pojawił się lśniący bentley Lucasa Breena, zaparkowany na prywatnym miejscu. Na drugim monitorze zobaczyliśmy Mońka, który krążył po holu z telefonem przyciśniętym do ucha.

Stottlemeyer ryknął do mojego telefonu:

—Monk! Breen daje nogę. Właśnie biegnie na parking. Nie zdążę tam dotrzeć. Musisz go zatrzymać.

—Niby jak mam to zrobić? — zapytał Monk.

—Nie wiem - odpowiedział Stottlemeyer. — Ale szybko coś wymyśl.

Monk ruszył biegiem i zniknął nam z ekranu. Stottlemeyer oddał mi telefon, wyjął z kieszeni swoją komórkę i zadzwonił na policję z prośbą o wsparcie.

Odwrociłam się do recepcjonistki i wskazałam monitor, na którym było widać hol na parterze. Chciałam zobaczyć, co dalej robi Monk.

—Może pani poruszyć tą kamerą? — zapytałam.

—Kamery są nieruchome - odparła.

Oczywiście. Cały system bezpieczeństwa był tak skonstruowany, że nie mógł wykonać ani jednej rzeczy, której domagałby się Stottlemeyer albo ja.

—Może mi pani pokazać wyjazd z parkingu i ulicę?

Recepcjonistka wcisnęła jakiś przycisk i na podzielonym przez środek ekranie pojawiły się dwa obrazy. Na jednym z nich obiektyw kamery skierowany był na wyjazd z parkingu. Na drugim obiektyw znajdował się na zewnątrz i obejmował wyjazd oraz chodnik przed parkingiem. Zerknęłam na poprzedni ekran, na którym widać było zaparkowanego bentleya. Zobaczyłam, jak Breen wybiega z windy i wsiada do samochodu.

Spojrzałam znowu na podwójny ekran. Gdzie Monk? Co on robi? Był tylko jeden prosty sposób, żeby się dowiedzieć. Przyłożyłam telefon do ucha, ale usłyszałam przerywany sygnał. Monk się rozłączył.

Stottlemeyer zamknął klapkę swojego telefonu i dołączył do mnie.

—Gdzie jest Monk?

—Nie wiem - odpowiedziałam.

Patrzyliśmy na obraz z kamery skierowanej na

wyjazd z parkingu. Widzieliśmy, jak Breen cofa samochód i odjeżdża z piskiem opon.

- Wezwałem posiłki i podałem opis samochodu Breena wszystkim patrolom - powiedział Stottlemeyer.

- Nie powinno być trudno zauważyć bentleya na ulicy lub którymś z mostów.

- Jeśli nie porzuci samochodu, gdy tylko się stąd wydostanie - powiedziałam.

- Tak. Cóż, zawiadomiłem też lotniska, dworce kolejowe i straż graniczną.

To wcale mnie nie uspokoiło. Uciekinierom, którzy mieli o wiele mniejsze możliwości od Lucasa Breena, udawało się zwodzić władze przez długie lata. Breen z całą pewnością miał odłożoną i ukrytą na wszelki wypadek gotówkę. Dręczyła mnie jakaś potworna pewność, że jeśli Breenowi uda się wydostać z budynku, to po prostu wyparuje.

Nigdy go już nie znajdziemy.

Patrzyliśmy w monitory recepcjonistki, śledząc dalszy rozwój sytuacji. Zobaczyliśmy, jak Bentley się rozpędza po rampie w kierunku wyjazdu z parkingu.

Wtedy zobaczyliśmy również Mońka.

Stał na chodniku, przed samym wyjazdem, i trzymał w rękach dwa bochenki chleba.

Stottlemeyer zmrużył oczy i zbliżył twarz do monitora.

- Czy on ma w rękach chleb? - zapytał.

- Wygląda mi na chleb — powiedziałam, przenosząc wzrok z jednego monitora na drugi.

Na jednym z ekranów widać było Mońka, blokującego wyjazd z parkingu. Na drugim wprost na niego pędził samochód Lucasa Breena.

- Do diabła, co ten Monk robi?! - zaniepokoił się Stottlemeyer.

- Chyba chce się zabić - stwierdziłam. - Breen go przejedzie.

Breen jechał w kierunku bramy wyjazdowej z ogromną prędkością, a mając przed sobą Mońka, w ogóle nie próbował zwolnić. Ba, chyba nawet przyspieszył.

Tymczasem Monk nie ruszał się z miejsca. Stał z dwoma bochenkami chleba w rękach, niewzruszony niczym Clint Eastwood, czekając ze stoickim spokojem na samochód. Nawet Clint wyglądałby w tej sytuacji śmiesznie.

Dosłownie w ostatniej sekundzie Monk rzucił bochenkami w przednią szybę samochodu Breena i uskoczył w bok. Siłą uderzenia bochenki rozprysły się na kawałki, obryzgując szybę gęstą mazią chleba i zupy małżowej, całkowicie przesłaniając Bree-nowi widok.

Bentley w pełnym pędzie wyleciał z parkingu na ulicę. Prowadząc na oślep, Breen dojechał zygzakiem do najbliższego zakrętu, gdzie uderzył w rząd zaparkowanych samochodów. Bentley zgniótł się jak zdegnięta puszka po piwie i wzniecił przenikliwy jazgot alarmów samochodowych, biegnący w jedną i drugą stronę ulicy.

Zdumiony Stottlemeyer spojrzał na mnie z niedowierzaniem w oczach.

- Czy dobrze widziałem, że Monk zatrzymał rozjeżdżony samochód, rzucając w niego chlebami z zupą małżową?

- Chlebkami na zakwasie — dodałam sama mocno wstrząśnięta.

—Tak właśnie myślałam - powiedział i rzucił się do windy. - Nie mogę się doczekać, żeby napisać o tym w raporcie.

Spojrzałam na monitor i zobaczyłam, jak Monk niezdarnie staje na nogi. Wyjął telefon i wybrał jakiś numer. Moja komórka zadzwoniła w chwili, kiedy Stottlemeyer wchodził do windy.

—Powinniście wezwać karetkę - powiedział Monk.

- Breen jest ranny? — zapytałam.
- Ja jestem ranny - odpowiedział Monk. - Zadra-
pałem skórę na dłoni.
- Myślę, że jakoś pan przeżyje - powiedziałam.
- Czy zdajesz sobie sprawę, ile ludzi chodzi co dzień
po tym chodniku? Kto może wiedzieć, co oni noszą na
.swoich podszewkach. My tu sobie rozmawiamy, a w
moich żyłach może już płynąć śmiertelny zarazek.

Kiedy Monk mówił, na sąsiednim monitorze zoba-
czyłam coś, co przeraziło mnie o wiele bardziej niż
zarazki z chodnika. Z rozbitego samochodu wygramolił
się Lucas Breen. Miał rozwichrzone włosy, wymięte
ubranie, był zakrwawiony i pokryty odłamkami szkła.

W rękę trzymał pistolet.

- Panie Monk, Breen ma pistolet! - krzyknę-
łam. - Niech pan ucieka!

Monk się odwrócił i zobaczył, jak Breen idzie niezbyt
pewnym krokiem w jego stronę, celując z broni, którą
trzymał w trzęsącej się ręce. Ludzie na ulicy zaczęli
krzyczeć w panice i rozpierzchli się na wszystkie strony.
Nawet recepcjonistka wstrzymała oddech, choć siedziała
bezpieczna za biurkiem, trzydzieści pięter nad ulicą,
patrzając tylko w ekran monitora.

Wiedziałam, co czuła; to przypominało oglądanie
horroru w telewizji, tyle tylko, że osoby na ekranie
wcale nie były aktorami.

Jedynymi ludźmi widocznymi na ulicy byli teraz
Monk i Lucas Breen z wściekłym wyrazem twarzy.

- Chyba nie chce pan tego zrobić - powiedział Monk,
wciąż przyciskając do ucha telefon.
- Nigdy w życiu niczego bardziej nie pragnąłem —
odparł Breen. — Nienawidzę cię każdą cząstką mojej
istoty.

Słyszałam go doskonale przez telefon, a całą tę

przerażającą scenę widziałam z różnych ujęć na monitorach przekazujących obrazy z kamer przemysłowych.

- Niech go pan trochę zwodzi — powiedziałam. — Stottlemeyer już jedzie na dół.

- To byłby wielki błąd - powiedział Monk.

- Och, doprawdy? Daj mi choć jeden powód, dla którego nie miałbym roztrzaskać ci łba!

- Spadek ruchu turystycznego.

Breen uśmiechnął się szeroko, pokazując parę szczerb po wybitych zębach.

- Do zobaczenia w piekle, Monk.

Padł strzał, ale to nie Monk, lecz Lucas Breen się okrecił, wypuszczając z ręki pistolet.

Monk się odwrócił i zobaczył porucznika Dishera. Wychodził ostrożnie zza któregoś z samochodów, wciąż mierząc w Breena, który przyciskał do siebie zranioną rękę.

- Policja! — krzyknął Disher. - Podnieś ręce do góry i połóż się twarzą do ziemi. Natychmiast!

Przedsiębiorca osunął się na kolana, położył na brzuchu i rozłożył przed sobą ręce.

Disher podbiegł do Breena, przełożył mu ręce na plecy i skuł je kajdankami.

- Dobry strzał - pochwalił Monk.

- Raczej szczęśliwy - powiedział Disher. - Celowałem w klatkę piersiową.

- Nieważne, w co celował - powiedziałam przez telefon. - Niech mu pan podziękuje, panie Monk.

- Uratowałeś mi życie - powiedział Monk. - Dziękuję.

- Wykonuję tylko swoje obowiązki - odparł skromnie Disher, ale wyraźnie był z siebie dumny.

Ja też byłam z niego dumna. W tej chwili Stottlemeyer wypadł z budynku i podbiegł do mężczyzn.

- Randy, co ty tu robisz?
- Pomyślałem, że może panu być potrzebne wsparcie, kapitanie - powiedział Disher. — Więc pojechałem za wami. Zaparkowałem na ulicy.

Stottlemeyer rozejrzał się, dokonując szybkiej oceny sytuacji. Potem wyciągnął z kieszeni gumową rękawiczkę i trzymając ją jak szmatkę, podniósł z ziemi pistolet Lucasa Breena.

- Inaczej mówiąc - powiedział. - Nie wykonałeś rozkazu przełożonego.

- Nie pamiętam, kapitanie, by wyrażał pan swoje zdanie w formie rozkazu.

- Świetnie - odpowiedział Stottlemeyer. - W takim razie ja też nie pamiętam.

- Ktoś naprawdę powinien wezwać karetkę - odezwał się Monk.

Stottlemeyer spojrział na Breena, który związał się i jęczał na ziemi.

- Tak... Potwornie się męczy.

- Miałem na myśli siebie — powiedział Monk i podniósł rękę.

Na monitorze nie widziałam dobrze jego dłoni, ale zobaczyłam minę Stottlemeyera.

- To tylko zadrapanie, Monk.

- Ludzie na chodnik spluwają - powiedział Monk. - Psy się załatwiają. Takie zadrapanie może się okazać śmiertelne.

- Masz rację - stwierdził Stottlemeyer. - Randy, wezwij migiem karetkę.

Disher kiwnął głową, wyjął telefon i zadzwonił.

Stottlemeyer objął Monka ramieniem.

- Świetnie ci poszło, Monk. Po prostu znakomi cie. Pomysł z zupą małżową to majstersztyk.

- Niezupełnie — odpowiedział Monk, pokazując Stottlemeyerowi małą plamkę od zupy na marynarce. — Marynarka nadaje się do wyrzucenia.

Monk i pokój doskonały

Jeszcze na posterunku, kiedy składaliśmy wszyscy zeznania, Monk i Stottlemeyer dowiedzieli się, że mieli całkowitą rację. Policja znalazła w domu Breena kocią sierść, która, według wstępnych badań, pasowała do sierści znalezionej na zwłokach bezdomnego i w domu Esther Stoval. Próbki sierści wysłano do laboratorium, by przeprowadzić testy DNA, ale nikt nie miał wątpliwości, co wykażą wyniki. Jednocześnie policijni technicy wciąż badali odciski palców i nitki ubrań zebrane wcześniej ze strażackiego ekwipunku.

Wszystko to były wspaniałe wiadomości, ale najważniejsza była ta, że Lucas Breen został aresztowany bez możliwości zwolnienia za kaucją i siedział zamknięty na oddziale więziennego szpitala.

Jeśli chodzi o Mońka, Stottlemeyera i mnie samą, to zagadkę śmierci Esther Stoval, strażackiego psa, Spark[^]ego, i bezdomnego mężczyzny mogliśmy uznać za rozwiązaną.

Siedzieliśmy w gabinecie Stottlemeyera na rutynowej odprawie po zakończeniu dochodzenia. Monk, Stottlemeyer i Disher mieli okazję, aby pogratulować sobie dobrze wykonanej roboty, skoro nikt inny nie miał zamiaru tego zrobić.

- Po tym, co się dzisiaj stało - mówił Stottlemeyer - zupa małżowa w bochenku chleba na zakwasie wejdzie do standardowego wyposażenia każdego radiowozu. Zredukuje niebezpieczne pościgi samochodowe na ulicach, a poza tym znakomicie smakuje.

Monk wcale się nie śmiał z dowcipu, głównie dlatego, że po prostu go nie słuchał. Zajęty był ścieraniem chusteczką antybakteryjną płamki po zupie małżowej na marynarce, co wcale nie było łatwe. Nie tylko płamka nie chciała zejść, ale Monk miał jeszcze problemy z utrzymaniem chusteczki w grubo obandażowanej dłoni. Monk miał większy opatrunek po zadrapaniu niż Lucas Breen po ranie postrzałowej.

—Co z pana wezwaniem przed komisję rewizyjną? - zapytałam Stottlemeyera.

—Odwołane - odpowiedział. - Zastępca komendanta baka natomiast coś o jakiejś pochwałce.

- Dla pana? - zapytałam.

Stottlemeyer pokręcił głową i spojrzął na Dishera, który obserwował zmagania Mońka z płamą na marynarce.

- Dla ciebie.

Disher podniósł wzrok i natychmiast się zarumienił.

—Dla mnie? Naprawdę?

- Nie tylko ocaliłeś Monkowi życie. Udało ci się rozładować śmiertelnie groźną sytuację i obezwładnić uzbrojonego napastnika, nikogo nie zabijając ani nawet poważnie nie raniąc, sprawcy nie wyłączając.

Bardzo mi się podobało, że Lucas Breen nie był już nikim więcej niż tylko „sprawcą”.

Och, jakże nisko upadają wielcy bohaterowie!

- A pan, kapitanie? - zapytał Disher. - Pan za służy na uznanie za odmowę odstąpienia od śledztwa, mimo presji politycznej ze strony skorumpowanego członka Komisji do spraw Policji.

—Ja będę sobie dalej tutaj pracował, to mi wystarczy - powiedział Stottlemeyer. - Sprzeciwianie się przełożonym i ośli upór nie należą do cnót, które departament by pochwalał.

—A co będzie miał z tego pan Monk? — zapytałam.
- Wdzięczność i szacunek departamentu policji -
odpowiedział Stottlemeyer.
—Wystarczyłby solidny odplamiacz - odezwał się
Monk.

Tak czy owak, dzień zakończył się pomyślnie, co
było gigantyczną zmianą na lepsze w porównaniu z tym,
gdzie byliśmy dzień wcześniej - zanurzeni po pas w
hałdzie cuchnących śmieci.

—Czy możemy powiedzieć strażakom, że zabójca
Sparky'ego został ujęty? - zapytałam.

Stottlemeyer przytaknął.

—Jasne. Byle nie roztrąbili tego w mediach. Szef
nie znosi, gdy ktoś zdoła go ubiec przed kamerami
telewizji.

Pożegnaliśmy się, a w drodze do domu zatrzyma-
liśmy się z Monkiem w remizie, żeby obwieścić wszyst-
kim aresztowanie Lucasa Breena.

Kiedy weszliśmy do środka, strażacy byli zajęci
myciem i pucowaniem wozów strażackich pod komendą
i czujnym okiem kapitana Mantootha. Monk od razu
podszedł do stosu czystych, równo złożonych ręczników
i wziął jeden do ręki.

- Czy mogę? — zapytał.

- Będziemy zaszczytzeni, panie Monk - odpowiedział
Mantooth.

Monk uśmiechnął się uszczęśliwiony i z werwą
zabrał się do polerowania lśniącej już chromowanej
kraty chłodnicy.

Joe zszedł z wozu i dołączył do nas. Miał na sobie
firmowy T-shirt straży pożarnej San Francisco, chyba o
jeden rozmiar za mały, bo uwypuklał jego szeroką klatkę
piersiową i silne ramiona. Oddech uwiązał mi w krtani.
Był taki przystojny.

- Udało ci się rozwikłać zagadkę morderstwa, któ-
re przerwało nam wczoraj randkę? — zapytał.

Przytaknęłam.

- To pan Monk znalazł rozwiązanie, nie ja. Udało mu się też złapać zabójcę Sparky'ego. To był Lucas Breen.

- Ten przedsiębiorca budowlany? - wtrącił zdziwionym głosem kapitan Mantooth.

- Tak. Ten sam.

Słyszac to, strażacy przerwali swoje obowiązki i zaczęli do nas podchodzić.

- Dlaczego taki bogaty i wpływowy człowiek miał by zabijać psa w remizie? - zapytał Joe.

To było dobre pytanie, strażacy otoczyli mnie więc z zaciekawieniem, by wysłuchać długiej i szczegółowej odpowiedzi, zostawiając w samotności rozanielo-nego Mońka, który z radością w sercu pucował wóz strażacki.

Kiedy skończyłam opowiadać, strażacy kiwali głowami i patrzyli na mnie zdumionym wzrokiem. Zaraz zaczęli wymieniać między sobą uwagi na temat tego, co usłyszeli, a ja chwyciłam Joego za rękaw i odciągnęłam go na bok.

- Wspaniałe wiadomości. Wyjedźmy gdzieś na weekend, musimy uczcić to, co zrobiłaś dla Sparky'e-go - powiedział Joe. -I dla mnie.

- To naprawdę wspaniały pomysł, ale...

- Zabierzemy Julie - przerwał mi Joe. - Muszę jeszcze raz jej podziękować za to, że zaangażowała w tę sprawę pana Mońka. Na pewno się ucieszy. Poza tym chciałbym ją bliżej poznać.

Położyłam mu dłoń na policzku, by przestał na chwilę mówić.

- Nie, Joe. Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo nie chcę, żeby Julie zaczęła się o ciebie martwić tak, jak ja się martwię - odpowiedziałam. — Właśnie dlatego nie możemy się już spotykać.

Cofnęłam dłoń. Joe spojrzął na mnie, jakbym go tą ręką spoliczkowała.

- Nie rozumiem — powiedział. - Wydawało mi się, że jest nam ze sobą bardzo dobrze.

- Bo tak było - zapewniłam. — Jesteś wspaniałą, a ja z wielką radością spędzałam z tobą czas. Myślę, że bardzo się do siebie zbliżyliśmy.

Potrząsnął głową, jakby chciał nabrać jasności myśli.

- Więc w czym problem?

- To właśnie jest problem. To, kim jesteś. I to wszystko. — Ogarnęłam ręką wnętrze remizy. - Jesteś strażakiem.

- No i?

- Płacą ci za narażanie życia. To bardzo szlachetne, wspaniałe i bohaterskie — mówiłam. - Ale dla mnie i dla Julie to bardzo źle. Już raz straciłyśmy ukochanego człowieka, który także dokonywał szlachetnych, wspaniałych i bohaterskich czynów. Ty jesteś do niego bardzo podobny. Obie zakochałybyśmy się w tobie, a ja nie potrafię i nie chcę jeszcze raz przez to przechodzić.

Joe zmusił się do słabego uśmiechu.

- A jeśli obiecuję, że nic mi się nie stanie?

- Tego niestety nie możesz mi obiecać.

- Nikt nie może - powiedział Joe. - Ciebie też może jutro potrącić ciężarówka na przejściu dla pieszych.

- Wiem, ale ja nie zarabiam na życie, wychodząc na ulicę pod rozpędzone ciężarówki — powiedziałam. - Nie mogę znowu się zaangażować w związek z kimś, kto wykonuje niebezpieczną pracę. Nie mogę się znowu zamartwiać i podejmować takiego ryzyka, i nie mogę tego zrobić córce. Ona potrzebuje, obie potrzebujemy, człowieka, który wykonuje najbezpieczniejszy zawód na świecie.

- To rzeczywiście się nie kwalifikuję.
- Szkoda, bo bardzo bym chciała.
- Mnie też szkoda. - Wziął mnie w ramiona i pocałował delikatnie, słodko i smutno. - Jeśli kiedyś zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać.

Uśmiechnął się, odwrócił się do mnie plecami i wyszedł z budynku. Patrzyłam, jak odchodzi, i z trudem powstrzymywałam łzy. Zauważyłam, że Monk i kapitan Mantooth spoglądają w moją stronę. Monk wrzucił ręcznik do kosza i podszedł do mnie.

- Wszystko będzie dobrze? — zapytał.

- Kiedyś na pewno - odpowiedziałam.

Dostrzegł łzy w moich oczach i drzenie warg.

- Chciałabyś pożyczyć ode mnie komiks z Marmadukiem?

Uśmiechnęłam się i przytaknęłam bez słowa. Po moim policzku popłynęła samotna łza.

- Bardzo chętnie.

Kiedy powiedzieliśmy Julie, że zabójca Sparky'e-go został złapany, rzuciła się wystraszonemu Mon-kowi na szyję i uścisnęła go z całych sił.

- Dziękuję, panie Monk.

- To miło, kiedy klient czuje się usatysfakcjonowany.

- Coś dla pana zrobiłam - powiedział Julie. - Mogę pokazać?

- Oczywiście - odpowiedział Monk.

Julie kiwnęła ręką, byśmy za nią poszli, a sama pospieszyła z przodu korytarzem, prosto do swego pokoju. Gdy tylko Monk zobaczył jej plecy, dał mi szybko znak, prosząc o chusteczkę. Podałam mu jedną.

- Dzieciaki są cudne - powiedział. - Ale to chodzące kloaki pełne zarasków.

Spojrzałam na niego spode łba.

- Czy nazwał pan przed chwilą moją córkę chodzącą kłoką pełną zarasków?

- Och, to również bardzo bystra, przemiła i pełna uroku osoba - zapewnił Monk. — Z bezpiecznej odległości.

Julie stała już przy swoim pokoju i trzymała dłoń na klamce. , — Uwaga, przygotować się — powiedziała.

Monk zerknął na mnie.

- Będę po tym musiał przyjąć serię zastrzyków?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Julie otworzyła drzwi i machnęła zapraszająco ręką, z wielkim, pełnym dumy uśmiechem na twarzy. Pierwsza zajrzałam do środka.

Julie posprzątała w pokoju. Ale to słowa trochę krzywdzące, bo nie oddają całej prawdy. Pokój był nieskazitelnie czysty, a wszystkie rzeczy na nowo poukładane.

- Powinien pan to zobaczyć, panie Monk - powie działałam.

Monk z wahaniem wsadził głowę za drzwi, a potem spojrzął na Julie.

- Co zrobiłaś?

- Wymonkowałam pokój.

- ...Wymonkowałaś?- zapytał Monk.

- Książki mam teraz ustawione według autora, gatunku literackiego i roku wydania. Płyty kompaktowe są uporządkowane według wykonawców w stosach oznaczonych parzystymi liczbami. - Weszła dalej do pokoju i otworzyła garderobę; rzeczy miała ułożone według koloru i rodzaju, podobnie buty. -Poukładałam wszystko w szafie i we wszystkich szufladach.

Monk wszedł do pokoju i z nieskrywanym podziwem spojrzął na półkę z pluszakami.

- Ułożyłaś zwierzaki według gatunków - zauważył.

- I wielkości - dodała. - Również według tego, czy są płazami, gadami, ptakami czy ssakami.

- Ależ musiałaś mieć zabawę - powiedział Monk, i mówił to szczerze.

Z wyrazu jego twarzy mogłabym nawet wnosić, że zazdrościł jej tego przedsięwzięcia.

- Och, tak - przytaknęła Julie. - Bawiłam się set nie.

Nie wierzyłam własnym oczom. Jak na dziecko, które prozione o zasłanie łóżka podnosi z podłogi poduszkę, była to prawdziwa rewolucja.

- Musiało ci to zająć całe godziny—powiedziałam.

- Właściwie parę dni. Ale chciałam pokazać panu Monkowi, że... — Julie przerwała i wzruszyła ramionami, nie mogąc znaleźć słów, którymi chciała to wszystko wyrazić. - Sama nie wiem. Chciałam tylko podziękować.

Pocałowałam ją.

- Kocham cię, szkrabie.

- Ale nie zrobiłam tego dla ciebie, mamó.

- Czy mimo wszystko mogę być z ciebie dumna? — zapytałam.

Julie odwróciła się do Mońka.

- Co pan o tym sądzi?

Sama byłam ciekawa. Monk dotknął wyprężonego wąsa jednego z jej pluszowych lwów i się uśmiechnął.

- Chyba żałuję, że jutro muszę wracać do domu — powiedział.

Monk i niewłaściwe zęby

Kiedy rano się obudziłam, Monk był już spakowany, ubrany i gotowy do wyjścia. Uparł się, że zrobi nam śniadanie. Spodziewałam się ustawionych równo na stole miseczek z płatkami Chex, ale ku mojemu zaskoczeniu usłyszałam, że Monk zamierza zrobić na śniadanie jajka.

- Ja poproszę jajecznicę — powiedziała Julie.

—Może do tego jeszcze LSD i trochę trawki, co?— Monk obrzucił ją karcącym spojrzeniem, a potem spoj rzał na mnie takim wzrokiem, jakby dawał mi do zro zumienia, że jako matka nie sprawdziłam się w najbar dziej fundamentalnych kwestiach.

Julie zmarszczyła zdziwiona brwi.

- Co to jest LSD? I dlaczego miałabym jeść trawę?

- Nieważne - powiedziałam i tym razem to ja obrzuciłam Mońka karcącym spojrzeniem. - Jak pan przygotowuje jajka?

- Jest przecież tylko jeden sposób - odpowiedział.

Z wprawą eksperta rozbił jajka o krawędź patelni. Żółtka zlały się na patelnię, a białka uformowały wokół nich perfekcyjne koła. Wcale nie przesadzam: p e r f e k c y j n e koła.

- Gdzie się pan tego nauczył?

—Kwestia praktyki - odpowiedział Monk. - Cała tajemnica kryje się w nadgarstku.

—Mógłby mnie pan nauczyć? - zapytała Julie.

—Chyba mamy za mało jaj — odpowiedział Monk.

—Ile potrzeba?

- Tysiąc.
- Obie z Julie spojrzaliśmy na niego zdziwione.
- Skąd pan wie, że właśnie tyle?
- Dokładnie było ich dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem - odpowiedział Monk. - Ale rozbiłem jeszcze siedem, żeby uzyskać parzystą i okrągłą liczbę.
- Oczywiście — powiedziałam. - To tłumaczy wszystko.
- Możesz dziś kupić więcej jajek? - zapytała mnie Julie.
- Nie mam zamiaru kupować tysiąca jajek — odparłam. - Będziesz się musiała uczyć stopniowo, rozbijając na śniadanie dwa jajka dziennie.
- To będzie trwało latami - jęknęła.
- Za to będziesz miała cel w życiu — odpowiedziałam.

Monk podpiekł w tosterze parę kawałków chleba, przekroił je na idealne połówki i podał nam na osobnych talerzach razem z pomarańczami, oczywiście obranymi i pociętymi w idealnie równe trójkąciki.

Śniadanie było przygotowane tak perfekcyjnie, że w gruncie rzeczy wyglądało jakoś sztucznie i dziwnie nie wzbudzało apetytu, jakby produkty były zrobione z plastiku.

Julie jednak nie miała takich uprzedzeń. Z lubością rozkoszowała się posiłkiem. Skończyła jeść tuż przed przyjazdem samochodu, który zawoził ją dzisiaj do szkoły. Pocałowała mnie w policzek i wybiegła z domu.

Monk posprzątał ze stołu i pozmywał naczynia. Potem zostaliśmy sami, nie mając wiele do roboty. Żadnych morderstw do rozwikłania. Żadnych śledztw do przeprowadzenia.

- Jakie mamy plany na dzisiaj? - zapytałam.
- Przeprowadzka do domu i porządki - powiedział Monk.

—Nie było tam pana od wielu dni - zauważyłam. —
Co tam może być do sprzątanania?

—Każdy centymetr kwadratowy - odpowiedział Monk. - Nad budynkiem rozstawiono namiot i wpompowano w niego mnóstwo trucizny. To śmiertelna pułapka. Przez wiele dni będziemy skrobać na czworakach centymetr po centymetrze.

—Pan tak, ale nie ja - odpowiedziałam. - Zawarłam z panem umowę o pracę jako asystentka, a nie gospoś. Będę tylko nadzorować.

—Czyli?

—Czyli będę siedzieć na kanapie, czytać czasopiśma i patrzeć, jak pan pracuje - odpowiedziałam. — Jeśli ominię pan jakieś miejsce, to je panu wskażę.

Sięgnęłam po torebkę i kluczyki do samochodu. Monk chwycił walizki i poszliśmy do samochodu. W ogrodzie zobaczyliśmy panią Throphammer, która od rana krzątała się przy różach. Przypomniało mi się, że wciąż jestem jej winna pieniądze.

—Dzień dobry, pani Throphammer - powitałam ją. — Pani kwiaty wyglądają dziś precudnie.

—Zupełnie jak ty, moje złotko - odpowiedziała.

Przynajmniej nie żywiła urazy.

—Och — odezwał się raptem Monk. - Byłbym zapomniał.

—Właśnie, ja też - powiedziałam, sięgając do torebki.

Zanim jednak wyjęłam pieniądze, przed domem zatrzymał się samochód i wysiadł z niego Stottlemeyer.

Monk postawił walizki na ziemi i oboje podeszliśmy się przywitać z kapitanem.

—Witaj, Monk, witaj, Natalie - powiedział Stottlemeyer. — Piękny dzień, prawda?

—Owszem, piękny. - Zdziwiło mnie, że potrafił się nim zachwycać, zważywszy na to, ile każdego zwyczajnego dnia ma przed sobą obrzydliwości i śmierci. - Czy

pan Monk jest już panu potrzebny w jakiejś sprawie?

- Nie — zaprzeczył Stottlemeyer. — Jechałem do biura i pomyślałem, że zatrzymam się po drodze, żeby przekazać dobrą nowinę. Mamy Breena.

- Już wczoraj go mieliśmy — stwierdził Monk.

- Wczoraj mieliśmy kocią sierść — uściślił Stottlemeyer. - Dzisiaj mamy odciski palców. Laboranci znaleźli jego odciski na wewnętrznej stronie strażackich rękawic. Może byłby w stanie wyłgać się z kociej sierści, ale z tego już się nie wykreści. Znowu wykonałeś dla mnie kawał dobrej roboty, Monk. Jak zawsze.

- Ty również - odpowiedział Monk. - Właściwie chciałbym, żebyś zrobił dla mnie coś jeszcze.

- Mam sobie zawiązać jeszcze razy buty? Zapiąć pasek na inną dziurkę? Zmienić tablicę rejestracyjną w samochodzie, żeby wszystkie cyfry były parzyste?

- Och, to byłoby cudownie — powiedział Monk. -A jak już będziesz miał trochę czasu, aresztuj panią Throphammer.

Odwrociłam się w kierunku pani Throphammer, która wychodziła z ogrodu z wężem do podlewania róż.

- Nie uważa pan, panie Monk, że posunął się pan o krok za daleko? - zapytałam. - Zupełnie przez przy padek upadła na pański brzuch.

Stottlemeyer spojrzał ponad moją głowę.

- To jest pani Throphammer?

- Tak - potwierdził Monk.

- I ona upadła na twój brzuch?

- Tak — powiedział Monk.

- To może raczej ciebie powinienem aresztować? — stwierdził Stottlemeyer.

Monk spojrzał na niego wilkiem i podszedł do pani Throphammer, która zwiwała wąż.

- Przepraszam, pani Throphammer — powiedział

Monk, a ona się do niego odwróciła. —Jest pani aresztowana pod zarzutem morderstwa.

- Morderstwa? — wyrwało mi się.

Stottlemeyer, pani Throphamner i ja wypowiedzieliśmy to słowo właściwie w tej samej chwili. Zabrzmieliśmy jak zgodny chór.

—Jej mąż wcale nie wyjechał na ryby do wynajętego domku pod Sacramento - zaczął mówić Monk. - Leży zakopany w ogrodzie. Dlatego pani Throphamner posadziła tu najbardziej wonne róże i ciągle je zmieniała; aby stłumić woń rozkładającego się ciała.

Wiedziałam, że w kwestii morderstw Monk nigdy się nie myli, ale tym razem nie mógł mieć racji. Pani Throphamner morderczynią? Po prostu śmieszne.

Pani Throphamner westchnęła ciężko, wolno wypuszczając powietrze.

- Jak się pan domyślił? - zapytała po chwili.

—Więc to prawda? - rzuciłam wstrząśnięta.

Pani Throphamner przytaknęła.

- Cieszę się, że pan na to wpadł. Jestem już zmęczona ciągłą pracą w ogrodzie, a poczucie winy wpędza mnie w obłęd. Bardzo go kochałam.

- Wiem, że pani go kochała - powiedział Monk. — Dlatego nie do końca dała mu pani odejść. Zatrzymała pani sobie jego zęby.

—Zęby? — wtrącił Stottlemeyer.

- Sztuczną szczękę - wyjaśnił Monk. - Właśnie w tej chwili ma ją w ustach.

—N a p r a w d ę ? — Stottlemeyer zmrużył oczy i wpatrzył się w usta pani Throphamner, ale ona zacisnęła wargi i odwróciła głowę. - Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy, Monk?

—Kiedy pani Throphamner opiekowała się Julie, lubiła oglądać telewizję, a szczękę trzymała wówczas obok siebie na stoliku - mówił Monk. - Miałem sposobność przyjrzeć się zębom bliżej. To z całą pewnością-

cią męska proteza. Górne siekacze są u mężczyzny silne i duże, a u kobiety trochę węższe, dziąsło ma u mężczyzny grubszy łuk, co więcej, wewnętrzna część protezy...

- Dobrze już, dobrze - przerwał mu Stottlemeyer. Patrzył na twarz pani Throphamner, czekając, aż ujrzy choć kawałek zębów jej męża. — Wierzę. Co cię naprowadziło na ślad?

- Kwiaty, które strażak Joe przyniósł dla Natalie, kiedy szli na randkę - tłumaczył Monk. - Powiedział, że miały przytłumić odór śmieci. To dało mi do myślenia na temat pani Throphamner, a potem wszystko zaczęło się układać w całość.

Zajął mi to dobrych kilka sekund, ale wkrótce mnie również wszystko zaczęło się układać w całość. To było dwa dni temu! Poczułam, jak tężeję z gniewu. Palce zacisnęły mi się w pięści. Miałam wrażenie, że palce u nóg również.

- Milton mnie oszukiwał przez czterdzieści lat małżeństwa, aż trudno uwierzyć, prawda? - powie działa pani Throphamner. - Pod Sacramento nie łowił rybek, tylko panienki. Musiałam go zabić, bo...

- Chwileczkę. — Przerwałam jej i odwróciłam się do Mońka. - Od środy pan wiedział, że ta kobieta jest morderczynią, i nic mi pan nie powiedział?

- Miałem na głowie tyle innych rzeczy — Monk zaczął się bronić. — Musiałem rozwikłać zagadki trzech tajemniczych morderstw. Oboje byliśmy przecież bardzo zajęci.

- Pozwolił mi pan zostawić moją córkę z tym potworem?

- Wiedziałem, że na czas śledztwa potrzebna jest opiekunka do dziecka.

- To morderczyni! - wrzasnęłam.

- Hm, no tak... Ale poza tym można na niej polegać - powiedział Monk.

- Polegać?! - Zrobiłam krok w kierunku Mońka, a on cofnął się o pięć. - Cmoka sztuczną szczęką martwego mężusia!

- Właśnie to chciałem powiedzieć - podchwycił Monk. - Ona zabija tylko mężów. Konkretnie jednego. Drugiego przecież jeszcze nie ma. Zresztą pewnie nie będzie już miała. Julie nic się nie stało. Jest bezpieczna.

- Ale pan nie jest! - Odwróciłam się do Stottlemeyera. - Niech pan zabiera również Mońka, kapitanie. Niech mi go pan weźmie z oczu, zanim go zamorduję i zakopię w s w o i m ogródku!

Kiedy odchodziłam, usłyszałam, jak Monk mówi do Stottlemeyera coś, co każdy sąd, jak kraj długi i szeroki, uznałby za zrozumiały i uzasadniony powód do dokonania morderstwa.

- Ach, te kobiety - powiedział Monk. - Zachowują się tak nieracjonalnie.